

Francis Dunbridge

KLASYCZNY
BRYTYJSKI
KRYMINAŁ

TEN DRUGI

C&T



Inspektora Forda lata pracy w policji nauczyły, że rzeczy rzadko bywają takie, na jakie wyglądają, zaś w sprawach morderstw nie zdarza się to praktycznie nigdy...

Sprawa zwłok odkrytych na łodzi mieszkalnej to niezbiecie potwierdzała. Bo co z tego, że Katherine Walters rozpoznała, kto kręcił się na łodzi w czasie zbrodni: „To był Henderson. Nie mam co do tego wątpliwości”. Hendersonowi, nauczycielowi miejscowej szkoły, wypłatanie się z tej kłopotliwej sytuacji przyjdzie bez trudu.

Dopiero piękna Billie Reynolds, drugi świadek tamtych podejrzanych zająć, wprawia go w zakłopotanie. Teraz inspektor Ford może powiedzieć: „Nie wierzę panu, Henderson. Nie wierzę w ani jedno pańskie słowo...”

Jednak do końca śledztwa będzie jeszcze bardzo daleko...

FRANCIS DURBRIDGE (1912-1998) to bez wątpienia jeden z najbardziej znanych, obok Agathy Christie i Dicka Francisa, przedstawicieli „starej brytyjskiej szkoły kryminału”.

C&T



19,90 zł

W SERII
POWIEŚCI



Francisa Durbridge'a:

**JAK BŁYSKAWICA
UMARŁY DLA ŚWIATA
MOJA ŻONA MELISSA
JAGUAR I LALKA**

Dunbridge

**TEN
DRUGI**

Przekład:
VIOLETTA DOBOSZ

C&T
TORUŃ

Tytuł oryginału:
THE OTHER MAN

Copyright © 1957 by Francis Durbridge
Copyright © for the Polish edition by „C&T”, Toruń 2005
Copyright © for the Polish translation by Violetta Dobosz

Opracowanie graficzne:
MAŁGORZATA WOJNOWSKA

Redaktor wydania:
PAWEŁ MARSZAŁEK

Korekta:
MAGDALENA MARSZAŁEK

Skład i łamanie:
KUP „BORGIS” Toruń, tel. (56) 654-82-04

ISBN 83-89064-96-0

Wydawnictwo „C&T” ul. Św. Józefa 79, 87-100 Toruń,
tel./fax (56) 652-90-17.

Toruń 2005. Wydanie I. Ark. wyd. 10; ark. druk. 11,5.
Druk i oprawa: Wąbrzeskie Zakłady Graficzne Sp. z o.o.
ul. Mickiewicza 15, 87-200 Wąbrzeźno.

1

Na obrzeżach Medlow w przepięknej okolicy w Buckinghamshire znajduje się liceum z internatem Rockingham. Mimo iż nie tak znane jak inne prywatne szkoły w Anglii, Rockingham osiąga wyniki niezgorsze; od półtora wieku przygotowuje mężczyzn zacnych i inteligentnych do wykonywania najrozmaitszych, zawsze szacownych profesji. Młodszy rangą oficer prowadzący na patrol swoich ludzi w Malezji, przepracowany, słabo opłacany wikary w robotniczej dzielnicy Londynu, konstabl w odległym zakątku afrykańskiego lądu — wszyscy oni być może kształcili się w Rockingham. To tu do odpowiedzialnego wypełniania swych ciężkich obowiązków przygotowywało się trzech generałów dywizji, zwierzchnik sił powietrznych, redaktor naczelny jednej z gazet oraz dwóch ministrów. Przy tym dwa pokaźne pomniki mają świadczyć o bojowym duchu absolwentów Rockingham.

David Henderson, doktor nauk ścisłych i magister literatury angielskiej, wyszedł z klasy po ostatniej tego dnia lekcji. Przystanął na dziedzińcu i rozejrzał się dokoła z zadowoleniem: w Rockingham wszystko było bezpieczne i trwałe, mimo tak niepewnych czasów. Nawet o tej intelektualnej pustyni, to jest o klasie piątej młodszej, pomyślał z czymś w rodzaju czułości. Klasa piąta młodsza składała się z chłopców w wieku lat piętnastu i pół oraz szesnastu, zaś do obowiązków Hendersona należało przepchnięcie ich do klasy szóstej. W wielu przypadkach była to praca trudna i niewdzięczna, lecz gdyby było inaczej, Henderson wcale by się jej nie podjął. Pod pachą trzymał zeszyty swoich podopiecznych, które miały mu zapewnić tego wieczora interesującą lekturę. Temat, jaki zadał, brzmiał: „Co mógłbym

uczynić, aby w Anglii żyło się lepiej"; powinny się tu znaleźć — pomyślał kpiarsko — prawdziwe klejnoty...

David Henderson miał trzydzieści osiem lat, nieco poniżej metra osiemdziesięciu wzrostu, wyjątkowo ciemne niebieskie oczy i posturę bardzo szczupłego człowieka. A czarne włosy zaczęły się już nieco przerzedzać.

Gdy z wyróżnieniem ukończył Oxford, uzyskując z niezwykłą łatwością tytuł magistra literatury angielskiej, przepowiadano mu świetlaną akademicką karierę. Jednak rok 1940 zastał go na pokładzie korbety, uwikłanego w małą akademicką Bitwę o Anglię. Po trzech latach niemal nieprzerwanej służby na morzu odkrył własne przywiązanie do tej szczególnej jednostki marynarki wojennej.

Po demobilizacji horyzont Hendersona ograniczył się wyłącznie do chłopców. Jego niewątpliwy spryt w ujarzmianiu tych nieobliczalnych istot w połączeniu z umiejętnością przekazywania wiedzy w sposób interesujący nawet dla najgorszych nygusów klasy piątej młodszej szybko zapewniły mu posadę nauczyciela i wychowawcy w Rockingham. Odnosił na tym polu niesłychany sukces — w rzeczy samej, tak wielki, że liczni rodzice posyłający synów do Rockingham pytali nieśmiało, czy są jeszcze miejsca „u Hendersona”.

On sam natomiast nigdy specjalnie nie zabiegał o sympatię swych uczniów. Jednak w przeciwieństwie do innych pedagogów mocno wierzył, że zawstydzanie i wyszydzenie absolutnie nie pomagają w kształtowaniu charakteru chłopca. Różgę stosował sporadycznie i niechętnie, gdy już jednak zdecydował się jej użyć, skutki były długotrwałe i wręcz szokujące.

Zbliżając się do budynku, w którym mieścił się jego pokój, Henderson uśmiechnął się lekko do siebie. Chłopiec oczekujący go w gabinecie spodziewał się pewnie, że dostanie różgi już za kilka minut.

Roger Ford stał właśnie przy wejściu do pokoju, gdy Henderson wyłonił się zza rogu. Mina ucznia zdradzała, że wynik spotkania z wychowawcą jest już według niego przesądzony. „Zbierało się, zbierało i mam teraz za swoje...” Niezły gagatek z niego — pomyślał z pobłażaniem David Henderson.

Roger Ford był synem cieszącego się dobrą sławą inspektora policji i zawdzięczał swoją obecność w Rockingham niemal wyłącznie Hendersonowi. Pensja policjanta rzadko pozwala na kształcenie syna

w prywatnej instytucji, ale dzięki przygotowaniu z Hendersonem młody Ford zdołał uzyskać stypendium. A podobnie jak niemal wszyscy nauczyciele, Henderson miał wśród uczniów swoich pupili i z trudem udawało mu się to przed nimi ukryć. Roger Ford, dzięki swojemu zachowaniu, należał właśnie do jego ulubieńców.

Był wysokim, poważnym młodzieńcem o inteligentnej twarzy i miłym usposobieniu. Gdy Henderson się zbliżył, chłopiec zaszczerpał nogami i zwilżył usta.

— Ach, Ford — odezwał się nauczyciel. — Wejdz, proszę.
Chłopak mruknął: — Tak, proszę pana. — I podążył za nim do gabinetu.

Henderson zdążył już dostać od życia w kość i teraz lubił korzystać z wygód, które mu ono zaoferowało. Jego pokój był przestronny, nie całkiem po kawalersku surowy i niezwykle przytulny. Roger Ford pomyślał, że fajnie byłoby tutaj usiąść, napić się herbaty i zjeść grzankę. Jednak wzięwszy pod uwagę okoliczności, w najbliższym czasie siadanie może mu sprawiać niemałe trudności.

— To niezbyt miłe, że wpadłeś w tarapaty pod koniec semestru — zauważył Henderson.

Powiesił togię i usiadł przy biurku. Przyglądał się młodzieńcowi spokojnie, nieco badawczo.

Doigrałeś się Roger — pomyślał chłopiec. Najpierw pogada trochę, podroczy się ze mną, a potem da mi w skórę. No cóż, byle nie trwało to za długo...

— Przykro mi, proszę pana — odezwał się w końcu.

— Pan Granger poradził mi, żebym dał ci w skórę — kontynuował dręczyciel. — I być może powinienem to zrobić.

— Ależ nie, proszę pana. To znaczy, tak, proszę pana.

— Ostatecznie jeśli każdy chłopiec wypychałby do basenu nie lubianych przez siebie kolegów, gdzie podziałaby się dyscyplina?

Roger Ford usiłował znaleźć odpowiedź, która nie byłaby ani bojaźliwa, ani bezczelna, i w końcu zdecydował się na: — No właśnie, gdzie, proszę pana?

Henderson uśmiechnął się nagle szeroko.

— Ponieważ kończy się już semestr, zaś Justin Major z pewnością sam się o to prosił, uznamy sprawę za niebyłą.

Ford wyraźnie się odprężył.

— Jednak następnym razem, gdy zobaczysz Justina Majora pochylającego się nad basenem, postaraj się zapanować nad odruchami. Zrozumiano, Ford?

— Tak, proszę pana.

— To dobrze. A teraz masz ochotę na herbatę i grzanekę?

— Och, tak. Z wielką chęcią, proszę pana.

Klawy facet z tego starego poczciwego Hendersona. Naprawdę klawy.

Herbata i grzanki zostały przygotowane w niewiarygodnym wręcz tempie przez panią Williams, gospodynię Hendersona, która wraz z poczęstunkiem przyniosła niewielką paczkę.

— To dla pana — rzekła. — Przyszła właśnie pocztą. Przesyłka polecona.

Henderson przyglądał się przez chwilę paczuszcze, po czym odłożył ją na biurko.

— Dziękuję, pani Williams.

— Jeśli nie będę już panu potrzebna — powiedziała gospodyni — to chyba polecę do Medlow.

Henderson skinął głową. — Oczywiście, proszę bardzo. Uśmiechnął się do Forda wpatrującego się w posmarowaną masłem grzanekę.

— Często się, Ford.

Henderson wypił herbatę i zapalił fajkę.

— Czy w czwartek ktoś po ciebie przyjedzie?

— Tak, proszę pana. Ojciec.

— To dobrze. O której godzinie?

— O siódmej rano.

— O siódmej? To dość wcześnie, nawet jak na inspektora policji, nieprawdaż?

— Och, ojciec zawsze bardzo wcześnie wstaje, proszę pana — odparł Roger, od niechcienia otwierając leżącą na stole książkę i patrząc na przedtytułową kartkę.

— Jeśli chciałbyś pożyczyć tę książkę — rzekł Henderson — to proszę bardzo.

Roger podniósł niepewnie wzrok, jakby został przyłapany na jakimś niecnym uczynku. — Prawdę mówiąc, chciałbym, jeśli to możliwe. Wygląda na niezwykle interesującą.

— Bo jest interesująca — potwierdził nauczyciel. — Proszę, weź ją sobie.

Chłopiec wziął do ręki książkę i znowu spojrzął na kartę przedtytułową.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, co to jest?

— Zapewne odcisk ubrudzonego masłem palca!

Ford wyszczerzył się głupio. — Przepraszam, proszę pana — rzekł. — Właściwie to chodziło mi o znaczenie cytatu.

— Cytatu? Jakiego cytatu?

— Tego, proszę pana. *Suavitor in modo, fortiter in re...*

— Niech zobaczę — odparł cierpliwie Henderson.

Popatrzył na kartkę i zmrużył oczy. Potem uśmiechnął się do Rogera.

— To znaczy: „W rzeczy mocno, w sposobie łagodnie” — wyjaśnił poważnym głosem. — Tak mogłoby chyba brzmieć motto szkoły.

Henderson podał książkę Rogerowi i zerknął na zegarek.

— Lepiej już zmykaj, Ford — rzekł. — Muszę dziś przebrnąć przez dwadzieścia pięć nabazgranych, najeżonych błędami wypracowań i czas, żebym się za nie zabrał.

Gdy Roger Ford wyszedł, Henderson popatrzył leniwie na pierwszą pracę. Uśmiechnął się, czytając pierwsze zdanie; najwyraźniej Sinclair Minor, nieco zbuntowany syn zasiadającego w parlamencie socjalisty, proponował rewolucyjne zmiany w systemie edukacji. Nagle klepnął mocno ręką w stos zeszytów i niemal z żalem spojrzął na niewielki pakunek, który przybył z popołudniową pocztą.

Po rozpakowaniu Henderson zobaczył męski zegarek na rękę. Przyglądał mu się przez chwilę, po czym zdjął własny zegarek, a zaplął na przegubie nowy. Z szuflady w biurku wyjął mały skórzany notes i automatyczny pistolet kaliber 32 hiszpańskiej produkcji. Zachowywał się spokojnie, rozważnie, bez pośpiechu. Rzucił jeszcze jedno szybkie spojrzenie na stos wypracowań i westchnął cicho; wyglądał prawie, jakby ubolewał nad koniecznością kontemplacji śmiercionośnej broni i wolałby powrócić do czytania, oceniania i wewnętrznego trawienia planów reformy Sinclaira Minora. W końcu odłożył własny zegarek do szuflady i przyjrzał się pistoletowi. Badał go ze znanstwem człowieka obytego z bronią, gdy zadzwonił telefon.

Nauczyciel podniósł słuchawkę.

— Halo? — odezwał się. — Henderson, słucham.

Zdecydowany, kulturalny głos oznajmił: — Mówi Cooper.

— Ach... — odparł Henderson z rezygnacją, jakby ostatecznie ze pchnął wypracowania klasy piątej młodszej w najdalsze zakamarki swojego umysłu.

— Dostałeś zegarek? — spytał głos na drugim końcu linii.

Henderson dotknął odruchowo zegarka. — Tak. Właśnie mi go dostarczono. Myślisz, że zdążymy?

Głos Coopera zabrzmiał ostro i chrypliwie: — Będziemy musieli spróbować. Możesz przyjechać od razu?

— Tak.

— Dobrze. Spotkamy się na miejscu.

Cooper z mocnym trzaskiem odłożył słuchawkę. Henderson popatrzył na zegarek i wziął do ręki pistolet.

Mieszkalne łodzie na rzece w pobliżu Medlow pełne są leniwej, nie-dbałej elegancji charakterystycznej tylko dla nich. Nic nie zakłóca ich błógiego postoju. W weekendy przepracowani biznesmeni z londyńskiego City odkrywają, że wcale nie są tak znużeni, jak im się wydawało — przemęczenie objawia się najczęściej dopiero w poniedziałkowe poranki. Młodzi i nie całkiem młodzi figlują w ukryciu, kwitną pozamałżeńskie przyjaźnie. Zawsze pełno tu miłości i śmiechu, zaś nieliczni stali mieszkańcy łodzi traktują te hulanki z wyniosłym pobłażaniem. Wydaje się niemal niewyobrażalne, że jakiegokolwiek ponure zdarzenie mogłoby mieć miejsce w tym luksusowym zakątku na Tamizie, który jeden z pośredników zajmujących się łodziami mieszkalnymi nazywa „rajem natury”.

Tego akurat popołudnia Katherine Walters zgodziłaby się z takim rajskim porównaniem. Odpoczywała, wpółleżąc, w płaskodennej łódce, którą ustawiła w cieniu wielkiego drzewa. W polu widzenia miała tylko jedną barcę, zaś płynąc w dół rzeki, zauważyła jej nazwę: *High Tor*. Była pomalowana na biało i Katherine leniwie zastanawiała się, kto ją zamieszkuje.

Czytała powieść, która była przyjemnie ciekawa, ale nie tak wciągająca, by zakłócić czar popołudnia. Od czasu do czasu zanurzała w wodzie zadbaną dłoń. Nie licząc płynących z rzadka to w jedną, to w drugą stronę łódek, rzeka zdawała się zupełnie pusta.

Katherine Walters była atrakcyjną, dobiegającą trzydziestki kobietą. Cerę i figurę miała niemal idealne, ale kości policzkowe były odrobinę zbyt wysokie, co sprawiało, że nie pasowała do obowiązującego kanonu piękności. Miała niezłe usta, pełne i zmysłowe, lecz ciemnobrązowe oczy wyglądały na nieco zmęczone.

David Henderson stał pośrodku saloniku łodzi o nazwie *High Tor*. Zwykle uporządkowany pokój, znajdował się w stanie nieopisanego bałaganu. Biurko najwyraźniej zostało dokładnie splądrowane, krzesła przewracane, a dywan zerwany z podłogi. Szafka z barkiem leżała na boku, a stojąca lampa spoczywała byle jak na oparciu kanapy.

Henderson popatrzył w zamyśleniu na ciało mężczyzny leżące na środku pokoju. Wszystko, co można było o nim powiedzieć, to tyle, że prawdopodobnie był młodym człowiekiem średniej budowy, jako że z jego rysów niewiele pozostało. Najwyraźniej twarz i głowa zostały zmasakrowane jakimś tępym narzędziem.

Henderson klęknął przy zwłokach. Zdjął z nadgarstka zegarek i założył go na rękę denata. Potem wstał; jeszcze ostatnie krytyczne, wszechgarniające spojrzenie i wyszedł na pokład łodzi.

Katherine Walters zamknęła książkę i ziewnęła. W chłodniejsze popołudnie mogłaby poświęcić uwagę dzikim swawolom niezdecydowanej kobiety zakochanej w trzech mężczyznach naraz, ale upał wprowadził ją w stan błęgiego otępienia.

Zerknęła w stronę łodzi zwanej *High Tor* i zobaczyła sylwetkę człowieka, który właśnie wyszedł na pokład. Przez chwilę patrzyła na niego leniwie. Dostrzegła, że jest wysoki, śniady i całkiem przystojny. Senna atmosfera panująca na rzece wykluczała wszelkie głębsze zainteresowanie wysokimi, śniadymi, przystojnymi mężczyznami na łodziach, ale Katherine nadal przyglądała mu się bez większego zaciekawienia.

Mężczyzna zerknął szybko w jej stronę, po czym popatrzył na brzeg. Wyglądał na beztroskiego i odprężonego. Pewnie czeka na swoją dziewczynę, stwierdziła Katherine z ospałym romantyzmem.

W międzyczasie na biegnącej wzdłuż rzeki drodze pojawił się samochód. Człowiek na łodzi jeszcze raz spojrzął w stronę Katherine, po czym odwrócił się i uniósł rękę, pozdrawiając kierowcę. W końcu

zszedł z łodzi i wszedł do samochodu. Katherine ziewnęła, wzięła do ręki książkę i o całym zdarzeniu zapomniała...

Policjanci szybko przybyli na *High Tor* i z typową dla siebie cierpliwością i dokładnością zaczęli mierzyć i fotografować pokój. Ich lekarz już tu był i wydał jak zwykle banalną, niewiele mówiącą diagnozę: mężczyzna zmarł w wyniku wielokrotnych uderzeń tępym narzędziem w twarz i głowę. Dokładny czas zgonu był niemożliwy do ustalenia — konieczna byłaby sekcja zwłok. To była typowa historia z niewielkimi odstępstwami i policyjny doktor dawno stracił rachubę, do ilu takich morderstw był już zwywany. Przywoływano go w zasadzie tylko po to, by wydał akt zgonu i spróbował ocenić, kiedy mniej więcej ów zgon nastąpił. To akurat ciało, z głową i twarzą rozbitą praktycznie na miazgę, nie wymagało wielkiej wiedzy medycznej. Któregoś dnia, pomyślał lekarz ze znużeniem i cynizmem, wezwą mnie do denata, który *nie całkiem* jeszcze umarł. Ale to się zdarzało rzadko lub nie zdarzało się wcale; w większości przypadków ofiary były albo zastrzelone, albo zakłute nożem, albo miały kompletnie roztrzaskane czaszki. Mężczyzna na *High Tor* był tak martwy jak większość „pacjentów” doktora. Lekarz nie pozostał długo na łodzi, jako że potrzebny był na posterunku, gdzie miał wydać orzeczenie, czy motocyklista, który zderzył się ze znakiem pierwszeństwa przejazdu, był w chwili wypadku pijany, czy trzeźwy. Albo martwy albo pijany — miał po prostu kolejną robotę do wykonania.

Inspektor Michael Ford przeglądał uważnie zawartość małego biurka stojącego w kącie pokoju. Jego ruchy były powolne i pozornie niedbałe. Dwadzieścia pięć lat w policji, z tego piętnaście spędzonych w wydziale kryminalnym, nauczyło go, że rzeczy rzadko bywają takie, na jakie wyglądają, zaś w sprawach morderstw nie zdarza się to praktycznie nigdy. Przekonał się, że wykrycie sprawcy takich przestępstw często zależy od niedopałków papierosów, guzików od spodni, rozbitych lusterek i skrawków listowego papieru. Westchnął lekko i z goryczą pomyślał o czekających go męczących dniach, tygodniach, a może i miesiącach, dociekliwych przesłuchań, które nieuchronnie będą musiały nastąpić po odkryciu zwłok tak zmasakrowanych. Dadzą mu one wskazówki, które wkrótce i tak zostaną uznane za nic niewarte. Nadinspektor będzie chodził struty, brukowa prasa użyje sobie na policji

za to, że tyle czasu zajmuje im ujęcie przestępcy. Niekończąca się galeria osobników będzie odpowiadać na pytania, wymyślać alibi, kłamać i ostatecznie oczyszczać się z podejrzeń. Od tej strony sprawa wyglądała na wyjątkowo nużąca, taką, której zwykle towarzyszy brak snu, regularnych posiłków i wszystko, co zazwyczaj związane z dochodzeniem w przypadku morderstwa.

Ford miał blisko czterdzieści pięć lat, ciemne włosy, mocną budowę i wygląd człowieka, na którym zawsze można polegać. Minę miał przeważnie dość srogą, ale od czasu do czasu zdarzało mu się błysnąć czarującym uśmiechem. Był spokojny, lecz bezkompromisowy. Wyrobił sobie opinię człowieka, który nigdy nie porzuca nadziei na rozwikłanie zagadki. Kilkakrotnie już przekazywano mu sprawy pozornie nie do rozwiązania — zawsze z absolutnie zadowalającym wynikiem.

Policyjny fotograf zrobił już zdjęcia i spakował sprzęt. Ford spojrział na niego znad biurka.

— Skończyłeś, Morris?

— Tak jest.

— Jak zobaczysz na zewnątrz sierżanta Brodericka, poproś, żeby przyszedł tu do mnie na chwilę.

Sierżant Broderick wszedł żwawo do pokoju. Był wysokim mężczyzną o ostrych rysach i dość ciętym, energicznym usposobieniu. Biła od niego pewność siebie i wiara we własne możliwości. Broderick doszedł do obecnej rangi w zaskakująco młodym wieku dwudziestu dziewięciu lat i Ford z żalem myślał o dziesięciu latach, jakie on sam wytruchtał na stopień konstabla. Silna osobowość i inteligencja Brodericka z pewnością zawiodą go na wyżyny w wybranym zawodzie, myślał Ford. Jest może nieco zbyt niecierpliwy, niekiedy może trochę zbyt pewny siebie, lecz mimo to doskonały z niego detektyw. Ford zawsze cieszył się, mogąc z nim pracować nad sprawą.

— O, jesteś — odezwał się Ford, spoglądając znad biurka. — Zagmatwana sprawa.

— Racja, zagmatwana — przyznał Broderick. — Był lekarz?

— Tak, przysłali Jenningsa.

— No, ten to rozpozna trupa, jeszcze zanim go zobaczy. — Najwyraźniej Broderick nie miał najlepszego zdania o policyjnym doktorze. — Co powiedział?

— To, co zwykle. Niczego nie można stwierdzić bez sekcji zwłok, a i wtedy ustalenie czegokolwiek może być trudne.

— Robi postępy — rzeki wspaniałomyślnie Broderick. — Zakładam, że facet jest rzeczywiście martwy?

— Bardziej martwego nie znajdziesz — odparł Ford oschle. — A więc czego udało nam się jak dotąd dowiedzieć?

Broderick z rozmachem wyciągnął notes.

— Denat jest Włochem. Nazywał się Rocello. Zjawił się tu około dwóch tygodni temu. Łódź należy do niejakiego Jamesa Coopera.

Ford pokiwał głową. — Znam tego Coopera. Widywałem go w miasteczku. Niski, dość dystyngowany facet z długim nosem.

— To on — potwierdził Broderick i ponownie zajrzał do notesu. — Zdaje się, że jest radcą prawnym w firmie o nazwie Dawson, Wyman i Clewes.

— Hm... To tutejsza spółka?

— Nie, londyńska. Mieści się na Sloane Square. Wygląda na to, że to niezły interes.

— O? Czemu tak uważasz?

Broderick powiódł ręką dokoła pokoju. — Popatrz tylko na to. Na utrzymanie takiego gniazdka potrzeba chyba trochę pieniędzy.

— Pewnie masz rację. No a co z tym Rocellem? Był znajomym Coopera?

— Na to wygląda. Zdaniem pani Prothero — to kobieta prowadząca sklep na High Street — w minioną środę Cooper pojechał do Londynu i zostawił łódź pod opieką Rocella.

Ford zmarszczył brwi. — W minioną środę? To znaczy, że Cooper nie wrócił tu na weekend?

— Najwyraźniej nie. Pani Prothero jest właścicielką dwóch czy trzech garaży i Cooper zwykle parkuje swój samochód w jednym z nich.

— Rozumiem. — Ford znów spojrzął na zwłoki, a potem na Brodericka. — Chyba mamy twarde orzech do zgryzienia, Bob.

Broderick wzruszył ramionami. — Mieliliśmy już twardsze.

Ford uśmiechnął się. Było coś zaraźliwego w pewności siebie Brodericka. Co prawda, w swej dotychczasowej karierze miał sporo szczęścia: udało mu się ostatnio rozwiązać dwie wyjątkowo kłopotliwe sprawy, obie bez przemęczania nóg i nużących rutynowych prze-

słuchań. Niekiedy przy sporej dozie szczęścia dostawało się sprawę, której elementy same układały się w zgrabną całość, lecz ten przypadek raczej nie należał do owej miłej kategorii.

Ford wyjął z kieszeni na piersi dwie kartki. Jedna z nich zawierała rutynowy raport z miejsca zdarzenia sporządzony przez umundurowanego funkcjonariusza, który zjawił się tu jako pierwszy. Nadspektor — człowiek nie nadużywający słów, gdy nie jest to konieczne — dopisał na nim: „Inspektorze Ford, dla pana śledztwo”. W ten sposób przełożony informował go, że ma absolutnie wolną rękę i może prowadzić dochodzenie tak, jak uzna za stosowne. Na pewno lepszy taki szef niż ci przyrośnięci do swoich foteli geniusze, co to trują od rana do nocy i oczekują, że cała sprawa — podejrzani, motywy, oświadczenia — zostanie wyjaśniona i zamknięta w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin. Na drugiej kartce Ford własną ręką zapisał, co następuje:

Katherine Walters — co widziała?
Doktor Sheldon?
Bracia Barker?
Samochód. Czy ktoś widział kierowcę?
Henderson — Włochy.
Cooper?

Z ponurą miną zauważył, że sporo tam znaków zapytania. Zwrócił się do Brodericka: — Niewiele już dziś zdziałamy, Bob. Weźmiemy się do roboty od jutra.

2

Dość typowa składanka, pomyślał doktor Richard Sheldon z odrobiną sarkazmu, opuszczając gabinet po wyjściu ostatniego pacjenta. Dwa wrzody dwunastnicy spowodowane zamartwianiem się o podatki, otyła kobieta, której przydałaby się porządna gimnastyka, i trójka dzieci z wietrzną ospą.

Richard Sheldon był lekarzem ogólnym starej daty. Siwe włosy, postawna figura i pewien szczególny dar sprawiały, że pacjenci czuli się lepiej już na sam jego widok. Matka ostatniego dziecka z ospą wywołała u niego ochotę na kieliszek sherry. Sięgał właśnie po karafkę, gdy zabrzmiał dzwonek u drzwi. Pewnie kolejny przypadek ospy, pomyślał zrezygnowany.

— Ktoś z policji chciałby się z panem zobaczyć — obwieściła pokojówka ze słabo ukrywanym poruszeniem.

Sheldon podnosił akurat kieliszek do ust.

— Ktoś z policji? — rzekł. — A cóż ja takiego zrobiłem?

Służąca zachichotała. — To policjant bez munduru, detektyw — dodała.

— Cóż, przynajmniej wiem, że nie zostawiłem samochodu w nie dozwolonym miejscu — stwierdził Sheldon. — Poproś go lepiej, żeby wszedł, Judy. — Coś mu nagle przyszło na myśl. — I przynieś, proszę, jeszcze jeden kieliszek. Musi być chyba w Anglii choć jeden policjant, który nie oprze się kieliszeczkowi sherry na służbie.

Judy wróciła z kieliszkiem i inspektorem Fordem. Ociągała się nieco z wyjściem, mając nadzieję, że dane jej będzie pozostać przy rozmowie, ale skinieniem głowy Sheldon polecił jej odejść.

— Doktor Sheldon? — zapytał szybko Ford. — Jestem inspektor Ford. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

— Ależ skąd — mruknął Sheldon. — Hm... Nie odmówi pan kieliszka sherry, prawda?

— Napiję się z przyjemnością — odparł Ford.

— Wspaniale — odparł doktor i zajął się karafką. — Nieraz zastanawiałem się, dlaczego policjanci zawsze odmawiają drinka, kiedy mają kogoś przesłuchać.

— Nie wszyscy, doktorze Sheldon.

Obaj z poważnymi minami wzniesli kieliszki.

— Pewnie zastanawia się pan, skąd moja tutaj obecność — zaczął Ford.

— Przyznam, że jestem nieco zaintrygowany. W czym właściwie mógłbym pomóc?

— O ile mi wiadomo, mieszka z panem pewna młoda dama... niejaka panna Walters.

— Zgadza się. To moja bratanica.

— Czy myśli pan, że mógłbym z nią porozmawiać?

— Oczywiście. Ale o co dokładnie...?

— Nie ma powodów do niepokoju — zapewnił Ford. — Chciałbym tylko zadać jej kilka rutynowych pytań. Prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa na łodzi mieszkalnej *High Tor*.

— Ach, tak — odparł Sheldon. — Rozmawiałem o tym z Katherine nie dalej jak dziś rano. Ofiara była Włochem, nieprawdaż?

— Zgadza się. Nazywał się Paul Rocello. Mieszkał u niejakiego pana Coopera.

— Cooper — powtórzył doktor w zamyśleniu. — Chyba miałem już okazję go poznać. Czy Rocello był jego przyjacielem?

— Tak nam się wydaje. Jednak informacje, jakie obecnie posiadamy, nie pochodzą z pierwszej ręki, ponieważ nie udało nam się jak dotąd skontaktować z panem Cooperem.

— Obawiam się, że nie będę w stanie panu pomóc, inspektorze — powiedział Sheldon. — Zdaje się, że pracował w kancelarii adwokackiej, lecz poza tym wiem o nim niewiele.

— Nam również zdawało się, że pan Cooper pracuje w kancelarii adwokackiej — odrzekł Ford.

— O? Czy znaczy to, że tak nie jest?

Ford zręcznie i grzecznie zmienił temat.

— Pewnie chciałby się pan dowiedzieć, czemu zależy mi na rozmowie z panną Walters. O ile mi wiadomo, wynajęła wczoraj łódkę i spędziła godzinę lub dwie na rzece.

— Doprawdy? — rzeki doktor. — Wiem, że wychodziła po południu, lecz nie wiedziałem, że była nad rzeką.

Z nikłym uśmiechem Ford sięgnął po notes.

— Wypożyczyła łódkę od Braci Barker i była na rzece od czternastej trzydzieści do około szesnastej. W każdym razie takie informacje udało nam się uzyskać.

— Jestem pewien, że pańskie informacje są prawdziwe, inspektorze. Bez wątpienia wie pan także, co dokładnie wtedy ja porabiałem.

— W rzeczy samej, proszę pana — odparł Ford. Niewielkie iskierki w jego oczach kłóciły się z powagą wypowiedzi. — Do piętnastej czterdzieści pięć przebywał pan w swoim gabinecie, a potem przyszedł pan tutaj, by napić się herbaty.

— Jestem pełen podziwu dla pracy naszej policji — mruknął pod nosem Sheldon. — Ma pan absolutną rację.

— Nietrudno było zgadnąć — przyznał Ford i obaj roześmiali się. Potem inspektor kontynuował: — Jak długo mieszka u pana panna Walters?

— Niezbyt długo. Jej ojciec — to jest, mój brat — zmarł nagle w dość nieszczęśliwych okolicznościach...

Przerwał, jako że do pokoju weszła Katherine.

— O, jesteś, moja droga. To jest inspektor Ford. Chciałby zadać ci kilka pytań.

Katherine przyglądała się przybyszowi zaskoczona.

— Kilka pytań? — powtórzyła zdumiona.

— Chodzi o morderstwo na łodzi — wyjaśnił Ford nieco przepraszającym tonem, dostrzegając jej inteligentne oczy i delikatne usta. — To tylko rutyna, panno Walters — dodał z uśmiechem. — Taka jest procedura w przypadku morderstwa. Wypytujemy każdą osobę w nadziei, że usłyszymy coś, co będzie miało dla nas znaczenie.

Cóż, nie sądzę, żebym była szczególnie pomocna, ale odpowiem na wszystkie pytania, jeśli tylko będę potrafiła.

— Doskonale — odrzekł Ford. — Skądinąd wiadomo mi, że spędziła pani część wczorajszego popołudnia na rzece. Zgadza się?

Katherine potaknęła: — Absolutnie. Był piękny dzień, więc wynajęłam łódkę.

— I zacumowała ją pani jakieś pięćdziesiąt metrów od *High Tor*.

— *High Tor*?

— To łódź, na której popełniono morderstwo.

— To białe cacuszko?

— Właśnie. Panno Walters, proszę mi powiedzieć, czy widziała pani lub słyszała coś, co w jakikolwiek sposób wzbudziłoby pani podejrzenia?

— Obawiam się, że najzupełniej nie. Jednak przypomina mi się teraz, że widziałam na pokładzie pewnego mężczyznę.

Czarne, krzaczaste brwi Forda ściągnęły się w jedną linię.

— Widziała pani mężczyznę?

— Tak — odparła Katherine.

— Co robił?

— Wyszedł na pokład i stał tam przez chwilę. Potem pomachał do kogoś w samochodzie na brzegu rzeki. Zszedł z łodzi, wsiadł do auta i obaj odjechali. Nic więcej nie widziałam.

— To już coś — zauważył Ford. — Która to była godzina?

— Około wpół do czwartej, jeżeli dobrze pamiętam.

Doktor Sheldon pocierał w zamyśleniu nos.

— Kiedy popełniono morderstwo, inspektorze? — zapytał.

— Trudno to orzec, doktorze. Prawdopodobnie między pierwszą w środę w nocy a szesnastą w czwartek.

— To niezbyt dokładna informacja, nieprawdaż?

— Tylko tyle był w stanie ustalić policyjny lekarz.

— Wybacz pan, że zadam jeszcze jedno pytanie — ciągnął Sheldon. — Ostatecznie to ja miałem udzielać odpowiedzi, ale czy mógłby mi pan zdradzić, w jaki sposób dokonano morderstwa?

— Oczywiście — odparł Ford. — Zdaje się, że doszło do walki i ofiara została uderzona w twarz lufą pistoletu.

Po tych słowach zwrócił się znów do Katherine:

— Przypuszczam, że nie rozpoznała pani tego mężczyzny.

— Nie. Nigdy go wcześniej nie widziałam.

— A mogłaby go pani opisać?

— Dostrzegłam jego twarz tylko przez moment, kiedy odwrócił się w moją stronę. — Katherine spojrzała przepaszająco na Forda. —

Naprawdę robię, co w mojej mocy, żeby panu pomóc, ale nie miałam pojęcia, że pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym siedziałam, znajdowały się zwłoki człowieka.

— Doskonale panią rozumiem, panno Walters — zapewnił Ford. — Poza tym i tak bardzo mi pani pomogła.

Dla pięknych młodych kobiet nie ma miejsca w śledztwie w sprawie zabójstwa, pomyślał z odrobiną goryczy. Takiej dziewczynie, na przykład, powinno być wolno poleniuchować na łódce, pójść z chłopakiem na tańce, wieść przyjemny, spokojny żywot z dala od męczących śledczych zadających głupie pytania. Ford westchnął w duchu. Jego zadaniem było tylko postawić mordercę przed wymiarem sprawiedliwości, a żeby dokonać tego w tym konkretnym przypadku, będzie musiał zadać tych przeklętych pytań znacznie więcej.

— Nie będę pani dłużej niepokoił, panno Walters. Jeszcze tylko co do tego samochodu. Czy widziała pani kierowcę?

— Niestety nie. Rozumie pan, było bardzo gorąco, zaś ja przez większość czasu czytałam książkę. Nie zwracałam większej uwagi na to, co się dokoła dzieje.

Ford uśmiechnął się nagle. — Zdarza mi się również spędzić takie popołudnie, panno Walters. Prawdę mówiąc, miałem akurat iść na urlop, kiedy wyszło na jaw to przestępstwo. Czy zauważyła pani, jaki to był samochód?

— Tak, limuzyna. To wiem z całą pewnością.

— A kolor?

— Ciemny. Czarny albo granatowy.

Spojrzała na niego przejmująco. — Wiem, co pan teraz myśli. Prawie co drugi samochód na drodze to ciemna limuzyna. Naprawdę żałuję, że nie mogę bardziej pomóc.

— Spisała się pani świetnie, panno Walters. — Głęboko osadzone oczy pod gęstymi, ciemnymi rzęsami wpatrywały się prosto w nią.

Jeszcze jedno. Czy rozpoznałaby pani mężczyznę widzianego na łodzi, gdyby dane pani było znowu go zobaczyć?

Katherine odpowiedziała po ledwo zauważalnej przerwie:

Tak, myślę, że bym go rozpoznała, inspektorze.

3

David Henderson siedział za biurkiem i poprawiał wypracowania z historii klasy piątej młodszej. Zachichotał niekiedy nad jakimś absurdalnym stwierdzeniem odnośnie panowania Hanoverów*, z rzadka westchnął nad stylistycznym czy interpunkcyjnym bykiem. Od czasu do czasu zapisał coś niebieskim ołówkiem na marginesie. Zasadniczo jednak uznał wypracowania z historii za znacznie bardziej interesujące niż wypożyczoną z biblioteki książkę. Zdecydował się już na temat następnego zadania domowego: „Wpływy Ameryki jako światowej potęgi”. To będzie naprawdę porywające.

„Ciekawe jest to, że król Francji w tamtych czasach mówił tylko po francusku...” — nabazgrał jak kura pazurem Mortimer Campbell. To rzeczywiście ciekawe, pomyślał Henderson. W chwili gdy akurat ostrzył swój niebieski ołówek, szykując się do kolejnego ataku, przez szparę w drzwiach wetknęła głowę pani Williams.

— Przyszedł pan Ford i chciałby się z panem zobaczyć — oznajmiła.

Henderson podniósł wzrok. — Pan Ford?

— Tak, proszę pana. Mógłby pan poświęcić mu parę minut?

— Oczywiście. Niech go pani poprosi, dobrze?

Ford podał Hendersonowi rękę i uśmiechnął się radośnie.

— Mam nadzieję, że panu nie przeszkadzam — rzeki inspektor.

— Skądże — odparł Henderson. — Podczas sprawdzania wypracowań chwila wytchnienia jest wręcz nieodzowna.

Ford uśmiechnął się szeroko.

* Hanoverowie — dynastia panująca w Anglii w latach 1714-1901 (przyp. tłum.).

— Wierzę panu. Czytał pan już pracę Rogera?
— Tę przyjemność mam jeszcze przed sobą. Ach, póki pamiętam. Roger oczekuje pana w czwartek rano. O siódmej.
— Przyjadę. Jak mu idzie?
— Doskonale. Trochę tylko kuleje z łaciny.
— Nie rozumiem, czemu łacina jest taka ważna — zauważył Ford. — Ja wiem tylko, co znaczy *Habeas Corpus*, i odkąd zostałem policjantem, nic więcej nie było mi potrzebne.
— Szczerze mówiąc, podzielam pańskie zdanie — rzekł Henderson. — Ale ani słowa Rogerowi. A propos, czy to w sprawie Rogera przyszedł się pan ze mną zobaczyć?
— Cóż... Nie. Słyszał pan chyba o morderstwie na łodzi.
— Rzeczywiście, słyszałem. A więc to panu przydzielili tę sprawę?
— Zgadza się.
— I myśli pan, że mogę przyczynić się do jej rozwikłania? Obawiam się, że wykrywanie przestępców nie jest moją najmocniejszą stroną.
— Do tego wystarczy tylko odrobina logiki — odparł skromnie Ford. — No cóż, zamordowany mężczyzna był Włochem o nazwisku Paul Rocello. Przybył tu z Wenecji. Mówił mi pan chyba kiedyś o swoim pobycie we Włoszech... w Wenecji, jeśli dobrze pamiętam.
— Tak, przebywałem we Włoszech od kwietnia czterdziestego czwartego roku do grudnia czterdziestego szóstego — przyznał Henderson. Wyglądał na lekko zaskoczonego. — Dlaczego pan o tym wspominał?
— Zastanawiałem się, czy podczas pobytu w Wenecji nie słyszał pan tego nazwiska.
Henderson spojrział na policjanta rozbawiony. — Wenecja to bardzo duże miasto, inspektorze.
— Domyślałem się. Pomyślałem tylko, że może Rocello to popularne nazwisko w tej części Włoch.
— To bardzo możliwe. Niestety, nie będę chyba panu zbyt pomocny, inspektorze. Może zdołam przysłużyć się w jakiś inny sposób.
Ford uśmiechnął się.
— To powinno panu bardziej pasować...
Inspektor wyjął z kieszeni kartkę.

— Na zegarku denata był wygrawerowany ten napis. Wiem tylko, że to łacina. Jednak poziom łaciny w policji... cóż... pozostawia wiele do życzenia. Może mógłby pan to dla nas przetłumaczyć?

Henderson wziął kartkę i patrzył.

— Zobaczymy — powiedział. — *Suavitor in modo, fortiter in re*. Moja łacina również nie jest już taka płynna jak dawniej — moim podstawowym zadaniem jest wbijanie tym urwisom do głowy zasad angielskiego, jak pan wie. Ale chyba uda mi się z tym uporać. To znaczy: „W rzeczy mocno, w sposobie łagodnie”.

— „W rzeczy mocno, w sposobie łagodnie”, tak? — rzekł z ponurą miną Ford. — Sentencja bardzo na miejscu, wzięwszy pod uwagę okoliczności. Rzecz dokonana przez mordercę w istocie wymagała mocy. Dosłownie roztrzaskał głowę tego biedaka w drobny mak.

Odebrał od Hendersona skrawek papieru.

— Bardzo dziękuję, panie Henderson. Przykro mi, że zabrałem panu czas.

— Do usług, inspektorze. To chyba dość intrygująca sprawa.

— Delikatnie mówiąc, proszę pana — odparł Ford i wziął do ręki kapelusz. — Póki co, spokoju nie daje mi Cooper, właściciel łodzi. Doprawdy, tajemniczy człowiek. Wszyscy w okolicy uważali, że jest prawnikiem i pracuje dla kancelarii o nazwie Dawson, Wyman i Clewes.

— A tak nie jest?

— W kancelarii nigdy o nim nie słyszeli.

— A więc to czyni go podejrzanym numer jeden, czyż nie?

— Nie posunąłbym się aż tak daleko — odrzekł Ford ostrożnie.

— Ależ, inspektorze. Fałszywy prawnik, który znika? Dla mnie to bardzo podejrzane. Choć, rzecz jasna, to nie mój interes.

Próbuje się ze mną droczyć, pomyślał Ford. Pewnie uważa, że policjant prowadzący sprawę jest pozbawiony poczucia humoru. Inspektor uśmiechnął się nagle.

— Ujmę to tak: Cooper jest „osobą, która mogłaby pomóc policji w prowadzeniu dochodzenia”. To wyrażenie, którym zawsze częstujemy prasę. — Spojrzał na zegarek. — Muszę ruszać dalej. Zechce pan zachować to, co powiedziałem o Cooperze, wyłącznie dla siebie.

— Oczywiście. Cóż, powodzenia, inspektorze. Cieszę się, że to pan prowadzi dochodzenie, nie ja.

Podchodząc do drzwi, Ford odezwał się jeszcze: — Jak dotąd całkiem niezłe nam idzie. Tak się składa, że Katherine Walters — bratanica doktora Sheldona — była na rzece w czwartkowe popołudnie i widziała, jak w pobliżu łodzi zjawił się samochód.

Henderson był świadom, że Ford bacznie go obserwuje. Zebrał na kupkę kilka zeszytów.

— Czy ktoś z niego wysiadł? — zapytał jakby od niechcienia.

— Nie, ale dziewczyna widziała, jak ktoś do niego wsiadał.

Henderson zdawał się być pochłonięty porządkowaniem zeszytów. — Czy policja wie, kto to mógł być?

— Nie — przyznał Ford. — Panna Walters twierdzi też, że widziała mężczyznę na pokładzie łodzi.

Henderson dodał do stosu jeszcze kilka zeszytów.

— To rozszerza krąg osób podejrzanych do trzech — rzekł powoli. — Wierzę, że wskaże pan na właściwą, inspektorze.

— Jestem pewien, że nam się to uda.

Przy drzwiach uścisnęli sobie dłonie.

— Miło było znów pana zobaczyć — rzekł wychodzący, a do jego głosu powróciła życzliwa nuta.

— Powiem Rogerowi o naszym spotkaniu — zapewnił Henderson.

Stał w drzwiach, dopóki krępa figura nie znikła mu z oczu, po czym wrócił do biurka. Zeszyt Mortimera Campbella wciąż leżał otwarty. „Zasadniczo Hanoverowie stanowili raczej kiepską paczkę...” Biorąc do ręki niebieski ołówek, czytał dalej. Potem zapalił fajkę i oparł się w fotelu. Myślał o Cooperze.

Nazajutrz rano doktor Sheldon podjechał autem pod główne wejście liceum Rockingham. Obok niego siedziała Katherine Walters.

— To zajmie tylko chwilkę, moja droga — zapewnił ją.

Wziął swoją torbę i wysiadł.

— Kto zachorował? — spytała Katherine.

— Muszę tylko zrobić zastrzyk administratorowi.

— To mało nieprzyjemne — mruknęła Katherine. — Co mu jest?

— Katar sienny. Biedaczysko męczy się z tym okrutnie. Sam nie wiem, czego bardziej nie znosi: zastrzyków czy kataru. Zaraz wracam.

Administrator był krępy pięćdziesięcioletni o czerwonej twarzy. Z rana często bywał w złym humorze. Niewielkie nadciśnienie i katar sienny, rozpoznał Sheldon. Stanowczo zbyt otyły, nie zażywa ruchu i za dużo się martwi.

Administrator przyglądał się Sheldonowi ponuro znad biurka.

— To mnie bardzo złości, doktorze — powiedział. — Dlaczego wy, medycy, nie potraficie wyleczyć czegoś tak trywialnego jak katar sienny bez zakłuwania człowieka na śmierć?

— Cóż, potrafimy — przerwał mu Sheldon, szukając w torbie strzykawki i igły — z tym że leczenie trwałoby wtedy znacznie dłużej. A teraz zechce pan podwinąć rękaw? Nieco wyżej, proszę. O tak...

No, to by było na tyle — oznajmił Sheldon, powróciwszy za kierownicę.

Uruchomił silnik i ruszył powoli przez teren szkoły.

Gdy dojechali do kortów tenisowych, Katherine popatrzyła leniwie na dwóch mężczyzn najwidoczniej kończących grę. Jeden z nich pokiwał do Sheldona, który odpowiedział tym samym. Katherine spojrzała na tamtego raz jeszcze i ścisnęła stryja za ramię.

— Ten człowiek — zaczęła natarczywie. — Kto to jest?

Sheldon popatrzył na nią z zaciekawionym.

— Który?

— Ten, którego właśnie pozdrowiłeś... ten wyższy.

— To David Henderson, jeden z wychowawców. Wspaniałe chłopisko. Skąd to poruszenie?

— Twierdzisz, że to wychowawca z Rockingham? — spytała Katherine powoli.

— Zgadza się. Gdzież indziej mógłby tutaj pełnić tę funkcję?

Doktor zachichotał z własnego żartu, ale na twarzy Katherine nie pojawił się nawet cień uśmiechu.

— Co się, u licha, dzieje, moja droga? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

— Niewykluczone, że zobaczyłam — odparła Katherine. — Widzisz, stryju, David Henderson to człowiek, którego widziałam na pokładzie tamtej łodzi...

Sheldon roześmiał się. — Coś ci się chyba pomyliło.

— Jestem najzupełniej pewna. Rozpoznałabym go wszędzie — zapewniła.

Przez moment zamiast na drogę przed sobą Sheldon spoglądał na Katherine.

— Z tej odległości mogłaś popełnić pomyłkę. Wiesz, że to poważna sprawa. To by oznaczało, że natychmiast musimy skontaktować się z inspektorem.

Inspektor Ford wszedł do salonu przez podwójne oszklone drzwi. Wyglądał na mocno ożywionego, zaintrygowanego.

— Dzień dobry, doktorze — przywitał się żwawo i uśmiechnął się do Katherine. — Witam, panno Walters.

— Miło nam, inspektorze — odparł Sheldon.

Lekarz miał wybitnie nieszczęśliwy wyraz twarzy i Ford uniósł brwi ze zdziwienia.

— Otrzymałem pańską wiadomość i zjawiłem się natychmiast — rzekł Ford. — Czy coś się stało?

— Cóż, wydarzyło się coś niepokojącego. Dziś rano, razem z bratanicą, przejeżdżaliśmy przez teren szkoły — musiałem zrobić zastrzyk administratorowi — i minęliśmy dwóch nauczycieli. Hm... naprawdę nie wiem...

Sheldon przerwał, spojrzał na Katherine, a potem na Forda.

— Rozpoznałam jednego z nich — wtrąciła się Katherine. — Człowieka, którego widziałam w czwartek na łodzi.

— W jednym z nauczycieli, tak? — spytał Ford bez najmniejszego zdziwienia.

— Jestem pewien, że zaszła jakaś pomyłka — rzucił pospiesznie Sheldon.

Ford dał mu znak, by nie przeszkadzał.

— Zna pani nazwisko tego mężczyzny, panno Walters?

— Stryj mówi, że to niejaki pan Henderson.

Delikatne drżenie żuchwy zdradziło Forda.

— Henderson? — powtórzył tępo. — Ależ to absurd. To nie mógł być on.

— A jednak — upierała się Katherine.

— Jest pani absolutnie pewna?

— Absolutnie.

Przez chwilę zdawało się, że zaskoczenie odebrało Fordowi mowę i zdolność ruchu. Pierwszy odezwał się Sheldon.

— Kiedy Katherine mi o tym powiedziała, nie wiedziałem, co robić. Najpierw pomyślałem, że powinienem porozmawiać z Hendersonem. Widzi pan, tak się składa, że to mój dobry znajomy, i nie chciałem, żeby pomyślał...

— Mam nadzieję, że jednak pan z nim nie rozmawiał — wtrącił Ford.

— Nie, w rzeczy samej, nie zrobiłem tego. Katherine poradziła mi, żebym się powstrzymał.

— To była dobra rada, panno Walters.

— Pan myśli, że się pomyliłam, prawda, inspektorze? Nie wierzy pan, że to rzeczywiście był Henderson.

Ford potarł nos. Wyglądał na zakłopotanego.

— Szczerze mówiąc, panno Walters, nie wiem, co myśleć. Zdać by się mogło, iż nie ma powodów, by wątpić, że to był Henderson. Nie przeczę jednak, że ta informacja jest dla mnie wielkim szokiem...

— przerwał i spojrzał na Sheldona. — Cóż, wie pan, doktorze, co sądzę o tym człowieku. Gdyby nie on, mój syn nigdy nie otrzymałby tego stypendium w Rockingham. Roger zawdzięcza mu praktycznie wszystko. A teraz coś takiego...

Spojrzał na Katherine niemal błagalnie.

— Strasznie mi przykro — powiedziała dziewczyna. — Naprawdę. Jednak obawiam się, że się nie pomyliłam. Z całą pewnością to Hendersona widziałam na łodzi.

— Rzecz jasna, może się okazać, że da się to wytłumaczyć w bardzo prosty sposób — stwierdził Sheldon.

Ford westchnął ciężko. — Mam taką nadzieję. Dziwi mnie jednak to, że nie dalej jak wczoraj rozmawiałem z Hendersonem o morderstwie i nawet nie wspomniał o swojej znajomości z Cooperem.

— Pytał go pan o to?

— Nie. Ale wydaje mi się to niezwykle, że sam o nim nie napomknął. — Podniósł się z krzesła i sięgnął po kapelusz. — To doprawdy wyjątkowo dziwna sprawa.

— Może poszedł na łódź zobaczyć się z Cooperem, ale go tam nie zastał — podpowiedział Sheldon.

— Być może — odrzekł Ford już spokojniej. — To jednak nie zmienia faktu, że musiał znaleźć się na łodzi po tym, jak dokonano morderstwa. Zaś w tym przypadku, to raczej niemożliwe, żeby nie widział ciała.

— Mimo to uważam, że Henderson znajdzie w stu procentach logiczne wytłumaczenie swojej tam obecności — ciągnął doktor. — To absolutnie niemożliwe, żeby miał jakikolwiek związek z tym morderstwem.

— Zgadza się z panem — odparł Ford. — I obyśmy mieli rację. — Zwrócił się do Katherine: — Zakładam, że zabawi tu pani jeszcze jakiś czas?

— Z pewnością przez tydzień lub dwa.

— Będę z państwem w kontakcie. — Ford uśmiechnął się krótko — drętwo i bez odrobiny radości. — Oboje jesteście, choć niechętnie to przyznam, istotnymi dla sprawy świadkami...

Ford wychodził od doktora Sheldona mocno zasepioany. Nie cieszyła go perspektywa rozmowy z Hendersonem. Uświadomił sobie z żalem, że na jakiś czas nauczyciel przestał być bliskim i szanowanym znajomym. Dopóki nie da satysfakcjonującego wyjaśnienia swych posunięć w poprzedni czwartek, inspektor będzie musiał go traktować jak kolejną pozycję w spisie osób w swoim notatniku. Mimo najszczerzych chęci, należało go teraz uważać za podejrzanego.

Przygnębienie Forda pogłębiło się jeszcze, gdy wsiadł do oczekującego go policyjnego samochodu. Po drodze do domu pomyślał przez chwilę o niezującej od trzech lat żonie, osieroconym, niezwykle zdolnym synu. To David Henderson w głównej mierze przyczynił się do przyjęcia Rogera do Rockingham. W swoim wolnym czasie zachęcał chłopca, namawiał i zapewniał o zdolnościach, które umożliwią mu uzyskanie stypendium. Bez jego pomocy za pięć lat chłopak znalazłby się pewnie na ulicy, szukając pracy tak, jak przed laty szukał jego ojciec, obecny inspektor Michael Ford. Teraz zaś nie było innego wyjścia, jak tylko dopisać nazwisko Hendersona do listy podejrzanych w sprawie morderstwa na łodzi. Policjant musi robić to, co do niego należy. Przesłucha Hendersona tak, jak przesłuchiwał setki innych podejrzanych o przestępstwa. Będzie kontrolował jego posunięcia, sprawdzi

alibi i dzięki swym zawodowym umiejętnościom spróbuje dotrzeć do najodleglejszych zakamarków jego świadomości.

Jednak cała ta sprawa to czyste szaleństwo, pomyślał zdenerwowany. Jak powiedział Sheldon, Henderson musi mieć jakieś wyjaśnienie swoich poczynań.

Ukłucia zwątpienia wciąż jednak nękały Forda. Co Henderson mógł robić na tej łodzi? Jak wychowawca z Liceum Rockingham mógł być zamieszany w morderstwo nieznanego Włocha?

Policyjny samochód zjechał przed wejście do domu. Kierowca był zatroskany: stary Mike Ford zwykle witał się radośnie, pytał o żonę i dzieci, rzucał parę słów o sporcie, budżecie, płacach policjantów czy piratach drogowych. Dzisiaj zaś siedział zgarbiony na swoim miejscu i milczał. Pewnie ma jakąś kłopotliwą sprawę. Ci nie umundurowani mają może trochę wyższe pensje, częściej dostają podwyżki, ale w gruncie rzeczy praca w mundurze przysparza znacznie mniej problemów.

— Będę panu jeszcze potrzebny?

— Nie, Barker, to wszystko.

— To do widzenia, szefie.

— Do widzenia, Barker.

Kierowca patrzył, jak ze skulonymi ramionami Ford wkłada klucz do zamka i znika za drzwiami. Gdy włączył pierwszy bieg i skierował wóz w stronę komisariatu, na wpół świadomie zastanawiał się, na jaką to nową przeszkodę w sprawie morderstwa natrafił jego inspektor.

Pod koniec każdego semestru od Davida Hendersona wymagano, by w kilku słowach wydał pisemną opinię o każdym z sześćdziesięciu pięciu wychowanków. Zauważył, że często był dla swoich chłopców bardziej wyrozumiały, niż na to zasługiwali. Na przykład taki Stanton Minor, ślamazarny, krościaty młodzieniec unikający wysiłku fizycznego i opychający się czekoladą — Henderson napisał o nim, że „przyszedłoby mu się nieco więcej ruchu”. Jak sam stwierdził, musi to być chyba eufemizm roku. Zastanawiał się właśnie, czy bardziej surowo potraktować Wentwortha, gdy zadzwonił telefon. Henderson odłożył pióro i podniósł słuchawkę.

— Halo? — rzucił.

Po drugiej stronie usłyszał: — Mówi Cooper. Jesteś sam?

— Tak. Możesz mówić.

W głosie Coopera brzmiało ponaglenie: — Słuchaj, Henderson... Natychmiast muszę się z tobą zobaczyć. To bardzo pilne.

— Co się stało?

— To nie jest rozmowa na telefon. Czy twoja gospodyni jest w domu?

— Nie, pojechała do Londynu. Wróci dopiero jutro.

— Dobrze — rzekł Cooper. — Będę u ciebie za dziesięć minut.

Henderson w zamyśleniu odłożył słuchawkę. Dziś wieczorem wolałby skupić się na opiniach o uczniach i uniknąć spotkania z Cooperem i jego problemami, które zawsze były pilne i zawsze odrywały go od własnych obowiązków.

Jednakże gdy w kilka minut później poszedł otworzyć drzwi, poczuł się jeszcze bardziej nieswojo, widząc zamiast Coopera inspektora Forda.

Gość wyglądał na poważnie zmartwionego. Przyglądał się Hendersonowi lekko zmrużonymi oczami. Jego głos brzmiał życzliwie, lecz ostrożnie. Powiedział:

— Nie udało mi się zawiadomić pani Williams, więc przyszedłem prosto do pana. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, pa nie Henderson.

Przybrał swój urzędowy wyraz twarzy, pomyślał nauczyciel; wszystko mu jedno, czy mam coś przeciwko temu, czy nie. Czeka mnie kolejne przesłuchanie.

Jednak odzywając się, Henderson powitał Forda tak, jak się wita niespodziewanego, acz mile widzianego gościa.

— Zawsze cieszę się, mogąc pana zobaczyć, inspektorze, przecież pan wie. Prawdę mówiąc, mam dla pana dobrą wiadomość.

— Doprawdy?

Ton Forda sugerował, że nie przyjmuje dzisiaj żadnych dobrych wiadomości.

Rozmawiałem rano z przełożonym — kontynuował uprzejmie Henderson. — Wygląda na to, że ma o Rogerze bardzo dobre zdanie — zdanie, które w stu procentach podzielam. Mój szef proponuje, żeby od następnego semestru przenieść Rogera do klasy wyżej.

— To dobrze — uciął Ford.

— Cóż, to naprawdę dobrze — rzekł Henderson. — Mam tylko nadzieję, że Roger przyjmie tę wiadomość z większym entuzjazmem niż pan.

— Niestety, nie przyszedłem tu rozmawiać o moim synu — oznajmił inspektor.

— Ach tak? W takim razie o czym chciałby pan porozmawiać?

Ford usiadł ciężko.

— To raczej urzędowa wizyta.

— Rozumiem.

Henderson uniósł brwi. — Mam nadzieję, że nie jestem o nic podejrzany. Jestem wręcz obrzydliwie porządny.

Nauczyciel uśmiechnął się pogodnie, ale inspektor zdawał się nie dostrzegać w tej sytuacji absolutnie nic zabawnego.

— Niech pan już mówi, inspektorze. Jeśli ma pan zrujnować moją reputację, niech pan to zrobi od razu.

— Czy moglibyśmy zachować powagę, panie Henderson? — spytał cicho Ford.

— Oczywiście.

Twarz Forda złagodniała nieco. Zaczął mówić:

— Zawsze uważałem pana za swojego przyjaciela. I rzeczywiście, od śmierci mojej żony był mi pan nadzwyczaj życzliwy.

— Cóż, miło mi to od pana usłyszeć, inspektorze. Ośmielę się wyznać, że myślę o panu podobnie.

— Nigdy nie uda mi się odwdzińczyć za to, co zrobił pan dla Rogera.

— Ależ to nic takiego, drogi przyjacielu. Zrobiłbym to samo dla każdego. No, ale co to za urzędowa sprawa, z którą pan do mnie przychodzi?

Ford odpowiedział dopiero po chwili:

— Znajduję się w niezręcznej sytuacji, wiedząc, że będę musiał zadać panu kilka pytań.

— Czemu uważają pan za niezręczną?

— Ostatnim razem pytałem pana o mężczyznę o nazwisku Rocello.

— To prawda. I co w związku z nim?

— Mówił pan wtedy, że nigdy o nim nie słyszał.

— To zrozumiałe, bo istotnie nigdy nie słyszałem.

— Jest pan pewien?

— Najzupełniej.

Ford westchnął. Cichym, zranionym głosem zapytał: — Panie Henderson, dlaczego nie powiedział mi pan, że był pan na tej łodzi?

— Przecież o nic takiego mnie pan nie pytał.

Inspektor zacisnął usta. Był już prawie pewien, że Henderson coś przed nim ukrywa.

— Rozmawialiśmy o tej sprawie dość długo — przypomniał mu Ford, a w jego głosie pojawiły się ostrzejsze nuty. — Pan mnie nawet wypytywał, a ja odpowiadałem szczegółowo.

— Chwileczkę, inspektorze! Powiedział mi pan tylko to, co już wiedziałem, o czym przeczytałem w gazetach.

— Dobrze — rzekł Ford. — W takim razie chciałbym wiedzieć, dlaczego nie powiedział mi pan tego, co pan wiedział? Dlaczego nie wspomniał pan o wizycie na łodzi?

Henderson pozostał niewzruszony i grzeczny. — Co każe panu sądzić, że rzeczywiście tam byłem?

— Ktoś pana widział.

— A zatem ktoś się pomylił.

— Panna Walters była w stu procentach pewna, że widziała właśnie pana.

— Panna Walters, kimkolwiek jest, pomyliła się. Przykro mi, inspektorze, ale rozmawia pan z niewłaściwą osobą. W życiu nie słyszałem o człowieku noszącym nazwisko Rocello, a moja stopa nigdy nie stanęła na tamtej łodzi. — Henderson uśmiechnął się przeproszająco. — Bardzo mi przykro, ale tak właśnie było. Żałuję, że nie potrafię panu pomóc — powiedział, myśląc: „Muszę się go pozbyć, zanim zjawi się tu Cooper. Nie mam innego wyjścia”.

W tej chwili za oknami błysnęły światła samochodu.

— Jeśli już — kontynuował — to panna Walters mogła zobaczyć mnie w Medlow.

— A więc tamtego popołudnia wybrał się pan do Medlow?

Przy odrobinie szczęścia, rozważał Henderson, Cooper domyśli się, że nie jestem sam, i zaczeka. — Przepraszam, inspektorze... Co pan mówił?

Ze zwykłą sobie niewyczerpaną cierpliwością Ford powtórzył: — Pytałem, czy był pan tamtego popołudnia w Medlow.

— Tak — odparł Henderson. — Rzeczywiście byłem.

— Mogę zapytać, co pan tam robił?

— Ma się rozumieć. Byłem u fryzjera.

Ford uniósł brwi. — U Taylora?

— Hm... tak. Zgadza się, u Taylora.

Ford powoli pokręcił głową. Popatrzył na Hendersona z wyrzutem.

— Nie, proszę pana — usłyszał zaraz. — Nie u Taylora.

— Nie u Taylora?

— Nie u Taylora.

Henderson wyszczerzył zęby w uśmiechu. Dzięki Bogu, Cooper chyba się domyślił.

— Wygląda na to, że będę musiał to sobie przypomnieć, prawda?

— dodał. — Jednak mógłbym przysiąc, że byłem u Taylora. Od tego drugiego fryzjera każdy klient wychodzi z wyglądem skazańca. Poszedłem tam raz i nigdy więcej. To mi przypomina...

— Panie Henderson — przerwał mu inspektor, siląc się na cierpliwość. — Czy moglibyśmy być ze sobą absolutnie szczerzy?

— Oczywiście, inspektorze.

— Panna Walters zapewniła mnie, że widziała pana w pobliżu *High Tor* — to nazwa tamtej łodzi. Popytałem tu i ówdzie i dowiedziałem się, że nie dojechał pan wtedy do Medlow, lecz zaparkował samochód na polu jakieś czterysta metrów od łodzi. — Ford przyglądał się Hendersonowi badawczo. — Zgadza się?

Nauczyciel zastanowił się przez chwilę, po czym rzekł: — Nie miałem pojęcia, że znajdowałem się tak blisko łodzi. Lecz ma pan rację co do samochodu. Zabrakło mi paliwa, więc zatrzymałem się i poszedłem dalej na piechotę.

— Aż do Medlow?

— Tak. Przecież to niedaleko.

Na twarzy Forda wyraźnie odbiło się niedowierzanie.

— Niestety, to nie wystarczy — rzekł surowo. — Pytałem także w Medlow — w bibliotece, na poczcie, w lanie, w większości sklepów i warsztatów. Nikt pana nie widział.

— Nikt?

— Nikt.

— Nawet panna Walters?

Inspektor westchnął. — Jak już mówiłem, panna Walters widziała, jak pan opuszcza łódź.

— Albo panna Walters wszystko to sobie wymyśliła, albo potrzebne jej są okulary — stwierdził nie przejęty Henderson.

Ford wstał. Spojrzał srogo na swego rozmówcę. „On będzie tej sprawy pilnował jak terier kości” — pomyślał nauczyciel.

— Nie sędzę, żeby panna Walters coś sobie wymyśliła — spokojnie dodał Ford. — Niedługo dowiemy się, czy potrzebne jej są okulary. Dobranoc, panie Henderson.

— Dobranoc, inspektorze. Proszę nie zapomnieć o Rogerze. W czwartek o siódmej.

— Przyjadę — zapewnił Ford.

Posłał Hendersonowi ostatnie badawcze spojrzenie i wyszedł z pokoju.

Gospodarz podszedł do barku i przygotował sobie większą niż zwykle whisky z wodą. W chwili gdy mieszał drinka, usłyszał dochodzący od drzwi głos: — Mnie też możesz nalać.

Henderson obejrzał się i zobaczył Jamesa Coopera.

Przybysz był dość niskim, żwawym, około pięćdziesięcioletnim mężczyzną. Mimo raczej niepozornej postury, miał doskonałą prezentację. Był zadbany, niemal pedantyczny w ubiorze. Miał siwe włosy i przenikliwe jasnoblękitne oczy. Trudno było wyobrazić sobie sytuację, z której nie wyszedłby jak zawsze rześki, elegancki i pewny siebie. Od czasu do czasu Henderson próbował go rozszyfrować — czynność, która, jak uważał, prowadziła go dokładnie donikąd. Cooper nie był skory do mówienia o sobie.

Henderson podał mu drinka, którego gość popijał z przyjemnością. Wyjął z kieszeni płaską papierośnicę i zapalniczkę. Wszystkie jego ruchy były precyzyjne i pewne.

— Kim był twój znajomy? — spytał.

— Ten człowiek — powiedział Henderson z naciskiem — to był inspektor Ford.

— Doprawdy?

Cooper w dalszym ciągu popijał drinka i palił papierosa, całkiem nie przejęty. Jego głos, podobnie jak twarz, był bez wyrazu.

— Myślisz, że cię widział? — zapytał Henderson.

— Nie. Zauważyłem samochód i podjechałem od tyłu.

— Całe szczęście. Twoje pojawienie się w tamtej chwili wymagałoby pewnie wyjaśnienia.

— Zakładam — mówił monotonna Cooper — że coś poszło nie tak.

— Niestety. Ktoś widział mnie, jak opuszczałem łódź w czwartkowe popołudnie.

Cooper nie zdradził najmniejszego zaskoczenia, zaniepokojenia czy strachu. Zapytał tylko: — Kto?

— Nazywa się Walters.

— Katherine Walters?

— Zgadza się.

— Ta, która mieszka z doktorem Sheldonem?

— Tak. Zdaje się, że sporo wiesz o tej młodej kobiecie.

— Wiem co nieco — enigmatycznie odpowiedział Cooper. — To właśnie z powodu panny Walters zależało mi na naszym spotkaniu.

— Nie rozumiem, Cooper. Co...?

— Poznałeś ją?

— Nie. Znam oczywiście doktora Sheldona. Ale skąd to zainteresowanie panną Walters?

Cooper rzucił niedbale: — Dwa tygodnie temu była w Wenecji.

Henderson zatrzymał w pół drogi niesioną do ust szklanę.

— W Wenecji, mówisz?

— Właśnie.

Henderson pociągnął łyk drinka.

— To pewnie zbieg okoliczności.

— Naprawdę? Ciekawe... — odparł tylko Cooper.

— Co jeszcze wiesz o tej dziewczynie?

Cooper, zamiast odpowiedzieć na pytanie, spytał: — Mówisz, że widziała cię na łodzi?

— Tak.

— Ale ty jej nigdy tak naprawdę nie widziałeś?

— W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo.

— I zobaczywszy cię tam, powiedziała o tym inspektorowi Fordowi?

— Dokładnie tak.

Cooper popatrzył w zamyśleniu. — Czy Sheldon jest może przypadkiem twoim lekarzem?

— Tak. Nawet byłem u niego jakiś miesiąc temu. Nadwreżyłem bark.

— Doskonale — stwierdził Cooper. — Proponuję, żeby odnowiła ci się ta kontuzja.

— O co ci dokładnie chodzi?

Cooper zniżył głos:

— Chodzi mi o to, że być może nieźle byłoby przyjrzeć się tej panie Walters. — Cienkie usta błyskawicznie wykrzywiły się w coś na kształt uśmiechu. — To dość miłe zadanie, jak sądzę.

4

Od śmierci żony inspektor Michael Ford i Roger mieszkali w małym jednorodziowym domku w Medlow. Ford nigdy nie nauczył się prowadzić domu, tak więc co dzień przychodziła kobieta, która gotowała im i sprzątała. Soboty i niedziele miała wolne, zatem w weekendy (podczas ferii i wakacji) Roger z ojcem pławili się w atmosferze radosnego bałaganu. W poniedziałkowe poranki, gdy inspektor wyruszał do pracy, Roger zwykle znikał z domu, jako że nieoceniona pani Bates miała skłonności do miotania się po pokojach i wyrzekania na niemożność gorszej płci zadbania o własne potrzeby.

W pierwszą sobotę wakacji Ford w wygodnych flanelowych spodniach i rozpiętej pod szyją koszuli gościł sierżanta Brodericka na podwieczorku. Ford uważał, że herbata pani Bates to zwykłe pomyje, i szczyił się umiejętnością przygotowywania naprawdę mocnego, „męskiego” naparu.

Czajnik zabułgotał i Ford wsypał do imbryka cztery łyżeczki herbaty.

— Wspaniały napój — powiedział do Brodericka. — Pobudzi ten twój błyskotliwy umysł do pracy nad naszym małym problemem.

— Miło mi usłyszeć, że uważasz to tylko za mały problem — odparł Broderick.

Wziął od Forda filiżankę z herbatą i przez chwilę popijał w zamyśleniu. W końcu przemówił: — Mike, czy ty znasz kobietę o nazwisku Billie Reynolds?

— Billie Reynolds?

— Tak. To właścicielka łodzi o nazwie *Shangri-La* zacumowanej jakieś dwieście metrów od łodzi Coopera.

— *Shangri-La*? — powtórzył Ford. — Brzmi jak nazwa jakiejś speluny.

— Od czasu do czasu chyba nią bywa — odparł Broderick sucho. — I to taką, na którą robi się naloty. A więc znasz tę kobietę?

— Znam — przyznał Ford. — Nieciekawa babeczka.

Broderick roześmiał się. — Delikatnie powiedziane.

— Była już przesłuchiwana w tej sprawie — oznajmił inspektor.

— Wszystkie posunięcia sprawdzone, niezbite alibi. Nie było jej w Medlow w chwili morderstwa: wyjechała do Londynu pociągiem o 9.25 w środę rano. Stary Fred na stacji pamięta, jak niósł jej walizkę. Widziałeś się z nią ostatnio?

Broderick uśmiechnął się szeroko. — Wczoraj wieczorem.

— O, naprawdę? Gdzie?

— „Pod Różą i Koroną” w Maidenhead. Postawiłem jej drinka. Ściśle mówiąc, nawet trzy drinki.

— Proszę, proszę — rzucił Ford z wyraźną ironią.

Wiedział, że Broderick ma cokolwiek amatorskie skłonności i lubi wodzić oczami za płcią piękną. Był niewątpliwie przystojny i zdarzało mu się wykorzystywać swoje wdzięki w pracy zawodowej.

— A jaki był właściwie cel waszego miłego spotkania? Zakładam, że, jak to mówią, łączyłeś przyjemne z pożytecznym.

— Oczywiście. Wypytywałem ją o Coopera i Rocella. Twierdziła, że zna Coopera z widzenia, ale nigdy nie spotkała tego drugiego. Mówiła też, że wyjechała z Medlow w środę i wróciła w piątek wieczorem.

Ford pokiwał głową. — To już sprawdziłem. Wszystko się zgadza.

Rzucił Broderickowi szybkie spojrzenie. I dodał:

— Nie wierzysz jej?

Ten wzruszył ramionami. — Chyba nie mam powodu. Przecież twierdzisz, że ma doskonałe alibi.

— Trudno o lepsze. Ale ty mimo to nie masz chyba najlepszego zdania o naszej drogiej Billie. Wątpisz w nią?

— No... niezupełnie. Nie nazwałbym tego wątpieniem.

— A jak byś to nazwał?

Broderick zapalił papierosa i dopiero odpowiedział: — Trochę trudno mi uwierzyć, że nigdy nie widziała Rocella. Nawet jeśli nie by-

ło jej w domu w dniu morderstwa... Do licha, facet siedział tam prawie dwa tygodnie. Billie musiała go kiedyś zobaczyć.

— Tak, coś w tym jest — wymamrotał Ford.

— Spójrz na to z tej strony, Mike: Włoch o nazwisku Rocello zostaje zamordowany na jednej z łodzi mieszkalnych. Łódź należy do jego przyjaciela — Coopera. Cooper znika. Zgadza się?

— Zgadza się.

— Owego popołudnia niejaka panna Katherine Walters widzi samochód podjeżdżający do łodzi i wsiadającego do niego mężczyznę. Później rozpoznaje tego człowieka w Davidzie Hendersonie, wychowawcy w Liceum Rockingham. Zgadza się?

Ford kiwnął głową.

— Zgadza się — powtórzył.

— Henderson twierdzi, że nigdy nie zbliżył się do łodzi...

— Był na łodzi, to już wiemy — przerwał Ford. — Pytanie tylko, dlaczego?

Broderick zastanowił się przez chwilę.

— Moim zdaniem poszedł zobaczyć się z Cooperem, a zamiast niego zastał trupa. Przeraził się i zwiął.

Ford pokręcił głową. — Widać, że nie znasz Hendersona. To nie ten typ człowieka, który spanikowałby na widok zwłok. Poza tym, czemu, u diabła, nic mi o tym nie powiedział?

— Bo nie chciał, żebyś wiedział — wyjaśnił Broderick, wzruszając ramionami. — To proste.

— Wcale nie takie proste — rzekł nieco podenerwowany Ford. — Byłem z Hendersonem zupełnie szczerzy... Dałem mu szansę wyjaśnienia mi, co tam robił. Powiedziałem mu dokładnie to, co usłyszałem od panny Walters.

— Myślisz, że mogła się pomylić?

— Bardzo w to wątpię. Nie, Bob. Obecność Hendersona na łodzi cuchnie na kilometr. I mogę się założyć, że znał Rocella... Nie mam co do tego wątpliwości.

— Nie twierdę, że nie znał Rocella. Mówię tylko, że ten pewnie był już martwy, gdy Henderson znalazł się na łodzi.

Ford dolał im obu herbaty. Zmarszczył czoło tak, że brwi utworzyły jedną linię.

— Więc co, na miłość boską, Henderson próbuje ukryć? — zawołał. — Czemu nie przyjdzie się oczyścić i powiedzieć nam, co robił na tej przeklętej łodzi?

— Bo jest znajomym Coopera i nie chce dać się w to wplątać. Broderick wziął łyk herbaty.

— A propos Coopera... Dowiedziałeś się czegoś o nim?

— Cooper — zaczął Ford z wyraźną niechęcią — to nasz „X”, wielka niewiadoma. Nikt nie wie o nim niczego poza tym, że jest właścicielem łodzi. Miał niby być adwokatem, ale nie jest. Zakładamy, że jest znajomym Rocella, ale nikt nie ma pojęcia, gdzie się, u diabła, podziewa.

Inspektor nabił fajkę tytoniem.

— Nie zdziwiłbym się — dokończył po chwili — gdyby okazało się, że Cooper — o ile naprawdę nazywa się Cooper — sam dokonał tego przeklętego morderstwa!

— A co z Hendersonem? — spytał cicho Broderick. — To twój znajomy, nieprawdaż?

— Prawda — odparł Ford lakonicznie. — Ale to nie zmienia faktu, że siedzi w tej sprawie po szyję.

Broderick dokończył herbatę, wstał z fotela i zaczął chodzić w tę i z powrotem po pokoju.

— Powróćmy na chwilę do Rocella, Mike — powiedział. — Kiedy przyjechał do Anglii?

— Mniej więcej miesiąc temu, o ile mi wiadomo. Przez trzy dni przebywał w Londynie, a potem pojechał do Liverpoolu. Z Liverpoolu przyjechał tutaj.

— Nie ma w tym nic podejrzanego — zauważył Broderick. — Nawet jeśli spotkał się z Cooperem...

— Znowu Cooper — rzekł kwaśno Ford. — W tej przeklętej sprawie wszystkie wątki prowadzą do Coopera. Zaczynam się zastanawiać, czy ten człowiek w ogóle istnieje.

— Istnieje, i to z całą pewnością — powiedział z przekonaniem Broderick. — Chciałbym jednak wiedzieć...

Przerwało im pojawienie się Rogera. Spojrzenie Forda, które wcześniej stało się ostre, teraz znacznie złagodniało.

— Witaj, synu! O co chodzi?

— Mogę napić się mleka, tato?

— Proszę bardzo. Jest w lodówce.
Ford zwrócił się ponownie do Brodericka:
— Co mówiłeś, Bob?
— Miałem cię właśnie zapytać o ten napis... o tę sentencję wygrawerowaną na zegarku. Co to było? Coś po łacinie...?
— *Suavitor in modo, fort...* jak to było? Coś z *fort...*
— *Suavitor in modo, fortiter in re* — rzucił Roger od lodówki. — To znaczy: „W rzeczy mocno, w sposobie łagodnie”.
— Kurczę — zawołał Broderick z uznaniem — myślałem, że jeden detektyw w rodzinie wystarczy! Skąd to wiesz, Roger?
— No właśnie, skąd ty to wiesz? — powtórzył Ford. — Myślałem, że jesteś kiepski z łaciny.
— Bo nie jestem najlepszy — przyznał Roger. — Ale to akurat jest proste. Pan Henderson powiedział mi, co to znaczy.
— Pan Henderson? Ależ na miłość boską, chłopcze, po coś go o to pytał?
— Pożyczył mi taką książkę o jeziorach we Włoszech, a zaraz jak się ją otworzyło, miała wypisany ten cytat.
Ford pochylił się do przodu.
— A czyje to było pismo? Pana Hendersona?
— Tak, jestem tego prawie pewny — odparł Roger.
Ford i Broderick wymienili krótkie spojrzenie.
— Czy masz jeszcze tę książkę? — spytał Broderick.
— Tak, jeszcze ją czytam. Jest naprawdę świetna.
Natarczywy dźwięk dzwonka u drzwi zabrzmiał w całym domu. Ten, kto dzwonił, był z całą pewnością mocno poruszony.
— Zobacz, kto to jest, Roger — polecił ojciec.
— No i co o tym sądzisz? — spytał Broderick, kiedy chłopiec wyszedł z pokoju.
— Do licha, sam nie wiem — odparł Ford. — Ale jedna rzecz cuchnie na kilometr. Z całą pewnością Henderson był z tym Włochem w jakiś sposób powiązany.
— Na to wygląda — zgodził się Broderick. — A gdzie w takim razie przyczepić Coopera?
— Zostawmy na razie Coopera — rzekł Ford ciężko.
W tej chwili do pokoju wrócił Roger.
— Kto to, synu?

— Jakiś pan Merson. Pyta, czy mógłbyś poświęcić mu kilka minut.

— Poproś, żeby wszedł.

Wysoki, szczupły mężczyzna około pięćdziesiątki wszedł nieśmiało do pokoju. Jego ciemnoszary garnitur był nieskazitelny, sztywny kołnierzyk i krawat stanowiły wzór poprawności finansisty z City.

Głos miał raczej wysoki, ostry i pedantyczny. Dłonie nieustannie wędrowały do węzła na krawacie, gdy mówił:

— Najmocniej przepraszam za to najście, ale okropnie zależy mi na rozmowie z panem.

— W związku z czym? — spytał Ford.

Merson zawahał się i spojrzał na Brodericka.

— Cóż... Hm... Wolałbym porozmawiać w cztery oczy, jeśli to możliwe, inspektorze.

Ford zwrócił się do kolegi i ledwo zauważalnie poruszył głową. — Może zobaczymy się później, Bob...?

Gdy Broderick wyszedł, Ford odezwał się: — A zatem, proszę pana...

Merson był wyraźnie niespokojny. Wpatrywał się w swoje wyglansowane buty. Gdy podniósł wzrok, nie patrzył inspektorowi prosto w oczy. Krętać, pomyślał Ford. Tacy ludzie to kiepscy świadkowie. Na głos zaś rzucił: — Zechce pan usiąść, panie Merson?

Gość opadł na fotel i jął bębnić palcami po niskim stoliku. Ford nadal rejestrował wrażenia: kłębek nerwów, pewnie ma nieczyste sumienie.

— Nie sądzę, byśmy się już kiedyś spotkali, inspektorze — zaczął Merson.

— Chyba nie — potwierdził Ford.

Merson pochylił się do przodu. Wciąż bawił się węzłem krawata.

— Mieszkam w Seldon House na Waverley Avenue — oznajmił. — Może pan wie, gdzie to jest?

Ford potaknął. — Wiem, łaskawy panie.

— Chciałem się z panem zobaczyć w związku ze śmiercią tego Włocha. Słowo morderstwo brzmi okropnie i ja...

— To było morderstwo, proszę pana — rzekł po cichu Ford. — Nie ma co do tego wątpliwości.

— Rozumiem. Naturalnie wkrótce się to potwierdzi.

Merson przerwał i zgrabną dłonią przeczesał rzadkie włosy. Potem mówił dalej:

— Przeszedłem się z panem zobaczyć w sprawie tego morderstwa, inspektorze.

— Tak?

— Będę zupełnie szczerzy. Widziałem coś w srode w nocy... a właściwie wcześniej rano w... hm... czwartek. Uważam, że powinien pan o tym wiedzieć. Z drugiej strony jednak nie chciałbym, żeby do kogoś innego — chociażby do mojej żony — coś z tego dotarło...

Przerwał i znów spojrzął na swoje buty. No i doczekałem się, pomyślał Ford cynicznie. Powinien był wiedzieć, że prędzej czy później sprawy łózkowe wychylą swój szkaradny łeb. Zawsze ta sama historia...

Uśmiechnął się do Mersona zachęcająco.

— Jeśli ta sprawa nie dotyczy pańskiej żony — powiedział — nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy ją do tego mieszać.

Mersonowi wyraźnie ulżyło i udało mu się nawet wywołać na twarz skąpy uśmiech.

— Dziękuję, inspektorze. Rzecz w tym, że moja małżonka znajduje się obecnie w Edynburgu, więc... er...

— Minioną srode postanowił pan spędzić z przyjaciółką? — odpowiedział Ford bez ceregieli.

Uśmiech Mersona, jak zauważył policjant, nie objął jego oczu.

— No cóż, tak — przyznał. — Właśnie tak się stało.

Uniósł ramiona okryte doskonale skrojoną marynarką i wzruszył nimi w geście lekceważenia.

— Rzecz jasna, nikt nie jest doskonały, inspektorze, a w zaistniałych okolicznościach...

— Oczywiście, łaskawy panie — rzekł Ford jak jeden światowy człowiek do drugiego.

— Otóż ta moja znajoma świetnie gra w kanastę, zaś ja za kanastą przepadam.

Kanasta, pomyślał zgryźliwie Ford. A więc tak to się teraz nazywa. Na głos zaś powiedział: — Rozumiem, proszę pana.

— Moja żona niechętnie gra w karty — kontynuował Merson z coraz większą pewnością siebie. — Tak więc korzystam z okazji, by... hm... zagrać, gdy tylko mogę.

— Naturalnie — rzekł poważnie Ford.

— Moja przyjaciółka posiada łódź mieszkalną o nazwie *Shangri-La*...

— Mówi pan *Shangri-La*?

— Tak.

— A zatem chodzi o pannę Reynolds... Billie Reynolds?

Merson wydał wąskie usta. — Er... tak. Znają pan, inspektorze?

— Tak, panie Merson. Znam ją. Ale myślałem, że w środowy wieczór przebywała w Londynie... — Ford uśmiechnął się życzliwie do Mersona. — Widzi pan, sprawdziliśmy już posunięcia panny Reynolds.

Merson sprostował: — Cóż, w rzeczy samej, pojechała do Londynu pociągiem o dziewiątej dwadzieścia pięć, ale tam nie została. Raz jeszcze wywołał na twarz słaby uśmiech i dodał:

— Przywiozłem ją z powrotem do Medlow.

Ford w zamyśleniu pocierał podbródek. Merson podobał mu się z minuty na minutę coraz mniej, ale wiedział, że musi się postarać, by nie dać tego po sobie poznać. Antypatyczny osobnik może okazać się bardzo ważnym ogniwem w łańcuchu wydarzeń.

— Przywiózł ją pan z powrotem — powtórzył obojętnie. — Zakładam więc, że podróż do Londynu miała stworzyć pozory, iż panna Reynolds przez dwa czy trzy dni pozostawała poza naszym miasteczkiem.

— Szczerze mówiąc, był to mój pomysł — przyznał Merson. — Wie pan, jacy są ludzie w tak małej społeczności, inspektorze. Nigdy nie dość ostrożności w... hm... sprawach takich jak ta.

— Rzeczywiście — wymamrotał Ford. — To teraz może powie mi pan, co stało się w środową noc.

Zaczynała go już nudzić opowieść o erotycznym życiu Mersona.

— No cóż, to było tak: Billie — panna Reynolds — i ja graliśmy w kanastę, a około wpół do trzeciej nad ranem wyszliśmy na pokład łodzi.

— To była bardzo długa rozgrywka — Ford nie potrafił powstrzymać się od kąśliwości.

Merson wyglądał na zranionego.

— Kanasta to niezwykle absorbująca gra — odparł ostro.

— Rzeczywiście. Proszę mówić dalej, panie Merson.

— Spędziliśmy na pokładzie około piętnastu minut — kontynuował gość — kiedy to zniemacka pojawił się samochód, który zatrzymał się naprzeciw łodzi Coopera. Umknęła mi teraz jej nazwa...

— *High Tor* — przypomniał Ford.

— Ach, tak. *High Tor*.

Merson zastanowił się przez chwilę.

— Z samochodu wysiedli dwaj ludzie, z tylnego siedzenia wyciągnęli mężczyznę i zanieśli go na łódź. To był ten Włoch... ten, którego zamordowano.

— Jest pan tego pewien?

— Absolutnie. Księżyc świecił tej nocy jasno i bez problemu go potem rozpoznałem. Wtedy myśleliśmy, że jest pijany.

— Rozumiem — rzekł Ford. — Zapewne nie poznał pan osób, które mu towarzyszyły?

— Nie.

— A która to była godzina?

— Hm... około wpół do trzeciej, jak sądzę.

Ford zapytał: — Czy jest możliwe, że ci dwaj mężczyźni poznali pana?

— To raczej mało prawdopodobne — odparł Merson.

— Dlaczego? Czy nigdzie nie paliło się światło?

Merson zawahał się. — No... nie — rzekł. — Panna Reynolds i ja... er... Nieszczególnie zależało nam, by ściągnąć na siebie uwagę. Rozumie pan, człowiek na moim stanowisku...

Ford przytaknął. — Rozumiem, łaskawy panie.

— Mam nadzieję — mówił zaniepokojony Merson — że postąpiłem słusznie, informując pana o wszystkim.

— Z całą pewnością, proszę pana.

Mersonowi wyraźnie ulżyło. Po chwili powiedział: — Wydaje mi się, że Rocello musiał już być martwy, kiedy ci dwaj wnosili go na łódź.

— To bardzo możliwe, panie Merson — zgodził się Ford. — A tak swoją drogą, czy panna Reynolds wie, że pan do mnie przyszedł?

Merson przestraszył się.

— Boże broń! Nikt nie wie. Jestem pewien, że nie muszę pana nawet prosić, by... er... nie wspominał pan nikomu o mojej wizycie. Ostatecznie nie musiałem panu o niczym mówić.

— To prawda.

Można by pomyśleć, że oczekuje pochwał za swoją obywatelską postawę, stwierdził Ford.

— Musi pan przyznać, inspektorze, że byłem z panem absolutnie szczerzy. W końcu nie każdy mężczyzna, który... er... znalazłby się w podobnym położeniu, byłby tak chętny do współpracy.

— Bardzo sobie cenię pańską szczerłość, panie Merson.

— I mogę liczyć na dyskrecję?

— Panie Merson — zaczął spokojnie Ford — policji zależy tylko na odnalezieniu sprawcy morderstwa. W żadnym wypadku nie interesuje nas pańskie prywatne życie.

Merson jakby zasmucił się.

— Mam nadzieję, że nie myśli pan o mnie nic złego, inspektorze.

Ford lekko uniósł brwi. — Ależ skąd, łaskawy panie.

Merson spojrział na zegarek. — Muszę już iść.

— Odprowadzę pana — zaproponował Ford.

Gdy gość wyszedł, inspektor wrócił na fotel i zapalił fajkę. Wizyta u panny Billie Reynolds wydawała mu się bardzo wskazana.

W pokoju dziennym na łodzi *Shangri-La* czuło się powiew egzotyki. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że jest w nim za dużo mebli: przepastne fotele w wielkie kwiatowe wzory, otomana wyglądająca na niemal zbyt wygodną, by mogła być prawdziwa, i gruba czarna wykładzina. Wszystko to składało się na przedziwną miksturę bogactwa, wystawności i wątpliwego smaku, co, mając na uwadze właścicielkę łodzi, nie powinno być zaskoczeniem.

Billie Reynolds weszła do pokoju i ziewnęła elegancko. Była wyjątkowo pięknie zbudowaną blondynką lat około dwudziestu ośmiu, niezwykle atrakcyjną fizycznie, nieco sztucznie wyniosłą — i to by było na tyle w kwestii jej przymiotów. Była przedstawicielką pewnego typu kobiet z pogranicza brytyjskiego teatru, kobiet, które nawiedzają biura agentów za dnia, a co mniej ciekawe spelunki West Endu wieczorami. Mimo iż mieniła się aktorką, Billie nigdy nie zagrała w ogólnie przyjętym znaczeniu tego słowa. Przez ostatnie dwanaście miesięcy, jak to się mówi w świecie teatru, „odpoczywała”. Odpowiedzialność za ów godzien zazdrości stan rzeczy ponosił na swych elegancko odzianych barkach Ralph Merson. Tego akurat poranka świeciło słońce, w jej

torebce spoczywało dwadzieścia funtów, a w perspektywie miała cudowny dzień słodkiego nicnierobienia. Do filiżanki z kawą wsypała sporo cukru, otoczyła się poduszkami i zapaliła papierosa. W jej szczególnym świecie nie mogło przydarzyć się nic piękniejszego. Niemal pomrukiwała z zadowolenia...

Gdy usłyszała dzwonek u drzwi, spojrzała rozgniewana, jako że za wcześniej było na jej stałych gości. Szybkie spojrzenie w lustro powiedziało jej, że w kwestii wyglądu nie pozostawia nic do życzenia. Siłą przyzwyczajenia obniżyła nieco dekolt peniuaru i zawołała: — Kto tam?

Do pokoju wszedł inspektor Ford.

— Mogę wejść? — zapytał uprzejmie.

Billie wydeła lekko usta. — Wygląda na to, że już pan wszedł.

Ford uśmiechnął się. — Przepraszam, jeśli zakłóciłem pani śniadanie.

Billie Reynolds z przesadą wzruszyła ramionami. Ów gest sprawił, że jej dekolt pogłębił się stanowczo za bardzo.

— Nie pierwszy to raz, kotku — odparła. — Czego pan sobie życzy?

— Chciałbym z panią chwileczkę porozmawiać, panno Reynolds — oznajmił Ford. — To znaczy, jeśli nie sprawi to pani kłopotu.

— A jeśli sprawi?

— Wtedy przyjdę innym razem.

Billie obdarzyła Forda przeciągłym spojrzeniem. Był całkiem przystojny, uznała, jak na faceta w średnim wieku.

— O czym chce pan rozmawiać? — spytała, wyraźnie cieplejszym już głosem. — O pogodzie?

— Nie — odparł krótko Ford. — O pani.

— O, doprawdy? — rzekła Billie. Wzięła łyk kawy i zapaliła drugiego papierosa. — Dobrze, porozmawiajmy o mnie. Ale skąd to nagłe zainteresowanie?

— Być może pani o tym nie wie — zaczął Ford — ale jest pani w tej okolicy dość znaną osobą.

— Co pan powie — skwitowała Billie nie bez zadowolenia. Pomyślała zaś, że z niego też dość znany facet. — Mogę zapytać, czy to urzędowa wizyta?

— Hm... tak. Mniej więcej.
— No to jak? Mniej czy więcej?
Ford uśmiechnął się sztucznie. — Powiedzmy, że „więcej”, do-
brze?
— Rozumiem.
Billie wskazała na krzesło. — Proszę usiąść.
— Dziękuję. A zatem, Billie... Mam nadzieję, że nie przeszkadza
pani, iż będę się zwracał do niej po imieniu?
— Nie dbam o tego typu formalności — odparła lekko.
Założę się, że nie — pomyślał Ford.
— No, dalej. Słucham... Mike, nieprawdaż?
— Zgadza się, Mike.
— No, wyrzuc więc to już z siebie — poradziła Billie. — Powiedz
cioteczce Billie, co ci leży na sercu. Tylko proszę... nie próbuj się nade
mną znęcać...
— A więc, na początek, jak długo znasz Ralphi Mersona?
— Około roku. To już trochę osobiste pytanie, co?
Ford uśmiechnął się. — Przepraszam, ale uprzedziłem cię prze-
cież, że to także urzędowa wizyta.
— Jasne.
Billie opuściła końcówkę papierosa do filiżanki po kawie.
— Odwiedza mnie dwa razy w miesiącu — kontynuowała z roz-
brajającą szczerością. — Płaci mi trzy stowy rocznie; ma wrzód na
dwunastnicy i beznadziejnie gra w kanastę.
— I tak wygląda naga prawda na temat pana Mersona — zauwa-
żył Ford.
— Niezupełnie — ucięła Billie. — Jest jeszcze kilka szczegółów,
które mogłyby cię zainteresować.
Ford uniósł brwi.
— No, muszę przyznać, że jesteś niezwykle otwarta.
— A czemu nie? W końcu jako krucha kobieta muszę dbać przede
wszystkim o siebie.
— Trudno się nie zgodzić. Opowiedz mi jeszcze o panu Mersonie.
— Dzięki mnie korzysta z ulgi podatkowej — chętnie wyznała
Billie. — Żona go nie rozumie... one nigdy ich nie rozumieją. Pod
chłodną powłoką bije złote serce... No, w każdym razie pozłacane.
— Chyba nie jest zbyt oryginalny — zauważył Ford.

— Jasne, że nie. Ale cóż... — Zatoczyła ręką dokoła pokoju. — Co ty byś zrobił na moim miejscu, kochanieńki?

Pytanie było raczej retoryczne. Ford zmienił temat: — Co wydarzyło się w czwartek rano?

— Jak bardzo rano?

Inspektor westchnął. — No daj już spokój, Billie. Wiesz, o co pytam. Ty i Merson widzieliście tego Włocha i dwóch mężczyzn wnoszących go na łódź.

— Doprawdy?

— Tak. I rozpoznaliście Rocella.

Billie dalej paliła spokojnie. — To Ralph rozpoznał Rocella. Ja nigdy go wcześniej nie widziałam.

Z nutą sarkazmu w głosie detektyw spytał: — Skoro go wcześniej nie widziałas, jakie było twoje pierwsze wrażenie?

— Co znaczy, pierwsze wrażenie?

— Czy pomyślałaś, że jest pijany?

Billie parsknęła śmiechem. — Tam nie było co myśleć. Był zaprawiony jak świnia. Nie mógł utrzymać się na nogach tak, że kumple musieli go nieść.

— Kim byli ci jego znajomi?

— A czy ja wiem? Nigdy ich wcześniej nie widziałam.

— Czy rozpoznałabyś ich, gdybyś ich znowu zobaczyła?

— Posłuchaj. Wysłałam na zewnątrz zażyć świeżego powietrza i pilnowałam tylko własnego nosa. Jeśli jakiś typek się urządził i musieli go przynieść do domu, to co mnie to obchodzi?

Ford pochylił się do przodu.

— Zadam ci teraz pytanie, Billie.

— Nie mów — zakpiła Billie.

— I chcę, żebyś powiedziała mi prawdę.

Billie wyraźnie poczuła się urażona. — Przecież mówię ci prawdę, a może nie? Na rany koguta, nie zaczynaj mi tu teraz zgrywać twardego gliny.

— Czy znasz mężczyznę o nazwisku Henderson... David Henderson?

Billie Reynolds nie zawahała się. — O tak — odparła. — To wychowawca w Liceum Rockingham. — Widząc poruszenie Forda, do-

dała zaraz: — Hm, no tak, powiedziałam coś niewłaściwego. Czemu miałabym nie znać Davida Hendersona?

Ford szybko odzyskał spokój.

— Nie widzę powodu, dla którego nie mogłabyś znać Hendersona — rzekł. — Byłem tylko ciekaw, czy był jednym z mężczyzn, których wtedy widziałas.

— Nie. Oczywiście, że nie. Gdyby tam był, poznałabym go. — Billie wpatrywała się w Forda wzrokiem, w którym narastała nieufność i podejrzliwość. — W czym rzecz? O co chodzi z tym HerFord zapytał spokojnie: — Kiedy go poznałaś?

— No, zaraz... jakiś rok temu.

— Gdzie?

Billie uznała nagłe zainteresowanie Forda Hendersonem i jego przenikliwe spojrzenie za mocno denerwujące.

— Boże Wszechmocny, Mike — zawołała. — Widzę, że się mnie czepiasz. Poznałam go na bankiecie u dyrektora szkoły, rzecz jasna, bo niby gdzie?

Jej żart w najmniejszym stopniu nie rozbawił Forda. Pytał z uporem: — Gdzie go poznałaś, Billie?

— No dobrze — powiedziała nadąsana. — Skoro już musisz wiedzieć, chłopcy z Rockingham przychodzili tu kiedyś popływać, a ja czasami im towarzyszyłam. — Spojrzała na Forda buntowniczo. — A czemu by nie? To trochę ożywiało atmosferę...

— W to akurat uwierzę — przyznał Ford oschle. — Mów dalej, Billie.

— Cóż, szkole się to nie spodobało. Przysłali mi list — naprawdę napuszony — w którym poprosili mnie, abym „łaskawie powstrzymała się od kąpieli, gdy chłopcy przychodzą na naukę pływania”. Możesz w to uwierzyć? Cóż, możesz sobie wyobrazić, jak to na mnie podziało. Sprawiałam sobie bikini.

— I nie zaprzestałaś kąpieli?

— Oczywiście, że nie. Nikt mi nie będzie mówił, co mam robić. Jak to do nich dotarło, to się dopiero wkurzyli.

— Rozumiem. A co się stało potem?

Billie odpowiedziała z niejaką rozkoszą:

— Przysłali mi jeszcze parę listów, a potem wydelegowali Hendersona, żeby się ze mną spotkał. — Roześmiała się. — Co za tupet!

Skurczybyk stwierdził, że źle wpływam na morale chłopców. — Jej ton przeszedł nagle w łobuzerski: — Czy widok mnie kąpiącej się w bikini mógłby podkopać twoje morale? Założę się, że jak już, to morale kochanych chłopaczków mogło co najwyżej wzrosnąć.

— Nie mnie to sądzić — rzekł Ford. — Co się stało potem?

— A jak myślisz? — odparła Billie podenerwowana. — Chłopcy już nie pływają w rzece i tyle. Skreślili to z ich rozkładu zajęć.

— Czy od tamtej pory widziałaś Hendersona?

— Raz, w miasteczku. — Billie roześmiała się. — Prawie pokazałam mu na palcach V na znak zwycięstwa.

Przeciągnęła się powoli, ukazując swą piękną sylwetkę w całej okazałości.

— Masz ochotę na filiżankę kawy?

— Nie, dziękuję, Billie. — Ford wstał z fotela i wziął kapelusz. — Innym razem. Dziś muszę już iść.

— Cóż, wiesz, gdzie mnie szukać. — Posłała mu raczej mało urzędowy uśmiech.

Popatrzyła jeszcze na wychodzącego inspektora lekko przymrużonymi oczami. Potem wróciła na kanapę i zapaliła następnego papierosa.

5

Leżąc na kozetce w gabinecie doktora Sheldona, Henderson nie mógł się nadziwić, że człowiek o takiej posturze i, zdawać by się mogło, szorstki w obejściu, miał tak delikatny dotyk. W końcu lekarz odsunął się od niego.

— No dobrze, załóż koszulę — polecił.

Podszedł do biurka i znalazł bloczek z receptami. Nim Henderson zdążył się ubrać, Sheldon trzymał już w ręku zapisaną kartkę.

— To recepta na maść, która powinna załatwić sprawę. Żaden cudowny środek, ale myślę, że ci pomoże.

— Dziękuję — rzekł Henderson, walcząc z krawatem. — Nie zawracałbym ci głowy, ale ból przeszkadza mi w grze w tenisa.

— Takie dolegliwości potrafią dokuczyć — stwierdził Sheldon — ale nic poza tym. Tak naprawdę niczego niewłaściwego u ciebie nie zauważyłem.

— Jeden z kolegów zasugerował, żebym poszedł do kręgarza — przyznał Henderson. — Czy to dobry pomysł?

— Najpierw dajmy szansę maści, dobrze? — Sheldon z dezaprobatą pokręcił głową. — Rozumiem, że kręgarze wiedzą takie rzeczy, które stanowią czarną magię dla nas, zwykłych lekarzy ogólnych, ale my też mamy swoje sposoby.

Henderson poklepał Sheldona po ramieniu. — Mogę cię zapewnić, że jestem pełen uznania dla lekarzy ogólnych.

— Miło mi to słyszeć — odrzekł Sheldon z cierpką miną. — Ludzie zwykle wieszają na nas najgorsze psy.

Wtedy do gabinetu weszła Katherine Walters. Widząc obu mężczyzn, zawahała się przez chwilę.

— Przepraszam, stryju — rzekła. — Nie wiedziałam...

— Nic nie szkodzi, moja droga — odparł Sheldon i zwrócił się do Hendersona: — Chyba nie miałeś jeszcze okazji poznać mojej bratanicy, Katherine Walters.

— Bardzo mi przyjemnie, panno Walters.

Twarz Hendersona nie zdradzała niczego poza dobrocią i uprzejmością.

Sheldon popatrzył na Katherine.

— Hm, to jest pan Henderson — przedstawił. — Wychowawca w Liceum Rockingham.

— Sam nie wiem, za jakie grzechy — rzekł Henderson poufale. Katherine patrzyła to na stryja, to na jego gościa, nieco zdezorientowana.

— Zdawało mi się, że to bardzo ładna szkoła — wydukała.

— Widziała ją pani?

— Tak, przejeżdżałam tamtędy ze stryjem któregoś ranka. Jest pięknie położona.

— Rzeczywiście, o tej porze roku to jej usytuowanie robi bardzo miłe wrażenie — zgodził się nauczyciel, a potem już wręcz bez końca rozwodził się nad walorami szkoły.

W jego zachowaniu było tyle szczerości i entuzjazmu, że Katherine odkryła, iż z każdą minutą lubi go coraz bardziej.

— Widzę, że jest pan wobec swojej szkoły bardzo lojalny — udało się jej w końcu przerwać potok wymowy.

— Może i są szkoły prywatne równie dobre jak nasza, ale nam nie odpowiada żadna z nich — odparł z rozbrajającym uśmiechem. — Długo zamierza pani tutaj pozostać, panno Walters?

Myślała właśnie, że musiała się pomylić, że taki człowiek nie mógłby popełnić morderstwa, że wtedy na łodzi to na pewno był ktoś inny, gdy nagle Henderson odgarnął z czoła kosmyk włosów, który opadł nad prawym okiem. Ów gest żywo przypomniał jej widzianego wówczas mężczyznę. Nauczyciel przyglądał się jej z zaciekawieniem, zaś ona usiłowała odpowiedzieć na jego pytanie zwykłym tonem.

Rzuciła wesoło: — Doprawdy nie wiem; może jeszcze tydzień lub dwa... o ile stryj mnie nie wygoni.

Sheldon uśmiechnął się. — Nie masz się czego obawiać, moja droga. Możesz zostać, jak długo zechcesz.

— A czy gra pani w tenisa? — spytał Henderson.

Czując się jak kobieta wciągana w beznadziejną farsę, Katherine odpowiedziała: — Owszem, bardzo to lubię.

— Może zagralibyśmy kiedyś.

— Chętnie. Ale obawiam się, że daleko mi do pańskiego poziomu.

— Z pewnością nie! W każdym razie z dostaniem się na kort nie będzie najmniejszego problemu. Wszyscy nasi wychowankowie są na wakacjach.

Nastąpiła chwila niewygodnej ciszy. Henderson uśmiechnął się łagodnie do Sheldona, podczas gdy ten w niezwykłym skupieniu studiował czubki swoich butów. Podniósł wzrok, by ujrzeć wpatrzone w siebie oczy Katherine. Czując się w obowiązku podtrzymania rozmowy, rzekł: — Chyba nie grałeś jeszcze od przyjazdu do nas, prawda, Katherine?

— Prawda. Ostatni raz trzymałam raketę jeszcze w Rzymie, około dwóch miesięcy temu.

— O, więc była pani za granicą? — wtrącił się szybko Henderson z uprzejmym zainteresowaniem.

— Tak. Spędziłam jakieś trzy miesiące we Włoszech.

— Na wakacjach?

— Nie, jestem projektantką ubrań. Pracowałam dla jednego z włoskich domów mody. Zna pan Włochy, panie Henderson?

— Całkiem nieźle. Byłem tam w czasie wojny. — Jakby rażony nagłą myślą, nauczyciel zwrócił się do Sheldona. — Skoro już mowa o Italii, morderstwo tego Włocha to wielce niezwykła sprawa, nieprawdaż?

— Rzeczywiście — odparł cicho lekarz.

— Na dodatek dla mnie dość żenująca — ciągnął Henderson. — Ktoś — sam nie mam pojęcia kto — powiedział policji, że widział mnie wtedy na łodzi.

— Na... er... łodzi? — powtórzył Sheldon.

— Tak. Tam, gdzie popełniono morderstwo.

— A był pan tam? — spytała Katherine.

— Czy byłem gdzie?

— Na tej łodzi.

Pomyślała, że albo ten człowiek jest doskonałym aktorem, albo coś jej się przywidziało.

Henderson spojrział z uprzejmym niedowierzaniem.

— Wielki Boże, skąd! — zaprzeczył. — Nigdy o biedaku nie sły-
szałem. Jak to on się nazywał... Rizotto, czy jakoś tak?

— Paul Rocello — podpowiedział Sheldon.

— Ach tak, Rocello. Zgadza się! Nie sądzę, abym go kiedykolwiek
widział. Rzecz jasna, mogłem spotkać go w miasteczku, nie zdając so-
bie z tego sprawy. Inspektor Ford mówił, że pochodził z Wenecji...

Hendersonowi przerwało wejście Judy, pokojówki doktora
Sheldona.

— Przepraszam, proszę pana — zwróciła się do gospodarza.

— Tak, słucham, Judy?

— Niejaki pan Craven chciałby się z panem zobaczyć.

— Dziękuję, Judy. Przyjmę go za chwilę.

Gdy Judy opuściła pokój, tym samym tonem grzecznej rozmowy
Henderson zapytał: — Czy była pani kiedyś w Wenecji, panno
Walters?

— Tak. Byłam tam dwa tygodnie temu.

Doktor Sheldon wyglądał na zaskoczonego. — Naprawdę,
Katherine? Nic o tym nie wiedziałem.

— Tam zakończyłam swą podróż — wyjaśniła. — Nie chciałam
wyjeżdżać z Włoch, nie zobaczywszy Wenecji.

— To zrozumiałe — stwierdził Henderson. — A jeśli kiedyś naj-
dzie panią ochota na grę w tenisa, proszę tylko do mnie zadzwonić.
Pani stryj zna mój numer.

— Bardzo chętnie — odparła Katherine.

— Miło było panią poznać, panno Walters — dodał Henderson.
— Teraz muszę już iść.

Katherine obserwowała go, ale wydawał się zupełnie opanowany.
Uśmiechnął się do niej raz jeszcze i podał rękę Sheldonowi.

— Do widzenia, mój doktorze. Na jakiś czas zapomnę chyba o
kręgarzu, a zaufam tobie. — Poklepał się po kieszeni, w której scho-
wał receptę.

— Lepszy diabeł znany, co? — rzekł Sheldon. — Daj znać, jak
tam twoje mięśnie...

Gdy Henderson wyszedł, Sheldon zwrócił się do bratanicy: — No
i co o nim sądzisz?

Katherine zastanowiła się nad odpowiedzią.

— Wydaje się raczej miłym człowiekiem, ale jest inny, niż się spodziewałam.

— A czego się spodziewałaś?

— Sama nie wiem — rzekła Katherine powoli. — Chyba kogoś, kto nie byłby tak pewny siebie.

Sheldon popatrzył na nią przenikliwie. — A czy ty jesteś pewna siebie i tego, co widziałaś?

— Co masz na myśli?

— Czy to Hendersona widziałaś wtedy na łodzi?

Katherine napotkała wzrok stryja. Odpowiedziała mu cicho, lecz pewnie.

— Tak. To był Henderson. Nie mam co do tego wątpliwości.

Sheldon polował głową i zaczął nabijać fajkę.

— Cóż, zdaje się więc, że tak właśnie musiało być — stwierdził.

— Ale co, u diabła, mógł tam robić?

Katherine nie odpowiedziała. Przebiegała wzrokiem po półce z książkami. Położyła właśnie dłoń na jednej z nich.

— Mogę to pożyczyć?

— Oczywiście, moja droga — odrzekł Sheldon. — Ale nie odchodź jeszcze. Chcę, żebyś poznała młodego Cravena.

— A któż to taki?

— To ten młodzieniec, którego miałem właśnie przyjąć — syn mojego pacjenta. Zadzwoił dziś rano i oznajmił, że chciałby się z tobą spotkać. Bardzo nalegał.

Zaintrygowana Katherine spytała: — Ale dlaczego miałoby mu zależeć na spotkaniu ze mną?

— To dziennikarz — wyjaśnił Sheldon. — Sądzę, że chce napisać artykuł do lokalnego brukowca. No wiesz, coś w stylu: „Ekspert w dziedzinie mody odwiedza Medlow. W czym Włoszki jadają śniadanie?”.

— Ach, rozumiem. Jaki on jest?

— Robin to dziwny facet — mówił Sheldon. — Bystry; jednak do niczego tak naprawdę nie doszedł. Jakies trzy lata temu napisał powieść. Miała całkiem niezłe recenzje. Ale...

— ...nikt jej nie przeczytał — przerwał mu żwawy głos dochodzący od drzwi.

Katherine obejrzała się i zobaczyła około dwudziestosiedmioletniego drobnego mężczyznę. Przystojnego, o wyglądzie intelektualisty. Jego siwy garnitur był dobrze skrojony, ale odrobinę już znoszony, zaś pod szyją tkwiła czerwona mucha w grochy. Miał pewny siebie, dość stanowczy wygląd reportera przyzwyczajonego do przeprowadzania wywiadów z niechętnymi do rozmowy nieznanymi osobami.

— Witaj, Robinie — zawołał Sheldon.

Przedstawił mu Katherine, zaś Craven z wielkim rozmachem podał jej rękę.

— Bardzo mi przyjemnie, panno Walters. Miło z pani strony, że zechciała się pani ze mną spotkać. Proszę mi wierzyć, że doceniam to.

Mamrocząc coś w odpowiedzi, Katherine myślała, że jest w Cravenie coś ptasiego — jego nos: długi, delikatny i drżący nieco na koniuszku.

— Usiądź — zachęcił Sheldon. — Mogę zaproponować ci coś do picia?

— No, może maleńki kieliszek sherry.

Gość spoczął i podciągnął nogawki nieskazitelnych spodni, ukazując przerażający wzór na skarpetkach.

— A ty napijesz się, Katherine?

— Nie, dziękuję.

Craven oparł się zupełnie nieskrępowany, nie próbując napomknąć o wywiadzie. Katherine przez kilka minut zabawiała go rozmową, po czym przeszła do tego, co, jak jej się wydawało, miało być celem wizyty.

— Rozumiem, że interesuje się pan modą damską, panie Craven — powiedziała.

Craven wyglądał na nieco zaskoczonego. — Modą damską?

— Tak.

— Nieszczególnie. Dlaczego?

Sheldon, który nalewał akurat sherry, rzucił przez ramię: — Zdało mi się, że chciałeś przeprowadzić z Katherine wywiad?

— Bo chcę — zapewnił Craven żarliwie.

— Jestem projektantką mody — rzekła Katherine. — Obawiam się, że moje zdanie na jakikolwiek inny temat nie będzie wiele warte.

— Ależ pani się myli — zawołał dziennikarz z powagą. — Ja jestem odmiennego zdania.

— A więc na jaki temat miałby być ten wywiad?

Craven podziękował za sherry i powoli sącył bursztynowy płyn. Jak gdyby nigdy nic, powiedział: — Wiadomo mi, że była pani nad rzeką w dniu, w którym zamordowano tego Włocha. Czy widziała pani kogoś, panno Walters?

— Czemu uważa pan, że byłam nad rzeką?

— Wynajęła pani łódkę od Braci Barker — oznajmił rzeczowo.

Rozsiadł się w fotelu i skrzyżował ramiona w geście najwyższego samozadowolenia.

— Jest pan też detektywem? — spytała Katherine szorstko.

Było w Robinie Cravenie coś niebywale irytującego.

— Dobry Boże! Nie! — wykrzyknął, jakby zszokowany podobnym podejrzeniem. — Róbmy swoje. Zawsze to powtarzam. Nie zgodzi się pani ze mną? Choć gdy tak o tym pomyślę, nie wiem, czy nie byłby ze mnie dobry detektyw. Ostatecznie posiadam konieczną w tym zawodzie odwagę i upór tygrysa. Gdy wbiję już w coś zęby, to nie popuszczę.

Uśmiechnął się do Sheldona i do Katherine, jakby sprawa morderstwa została już wyjaśniona.

— Myślę, że pan to potwierdzi... Prawda, doktorze?

Postawionemu w takiej sytuacji doktorowi Sheldonowi nie pozostało nic innego, jak tylko potaknąć.

— Z całą pewnością potrafisz być uparty.

— A w co zapuścił pan zęby teraz? — spytała Katherine raczej chłodno.

W szerokim uśmiechu Craven ukazał niemal swe tak zawzięte trzonowce.

— W morderstwo, rzecz jasna. Paula Rocella. W czymże innym?

Katherine powtórzyła niepewnie: — Jasne. W morderstwo.

— Napisałem fascynujący artykuł dla „Daily News” — ciągnął Craven tonem człowieka, który właśnie dokonał rozszczepienia atomu.

Zwrócił się znowu do Sheldona, jako do słuchacza, na którym łatwiej wyrzucić wrażenie.

— Kupuje pan „Daily News”, doktorze?

— No... tak — odrzekł Sheldon — ale to przecież londyńska gazeta... ogólnokrajowa.

— Zgadza się. A ja jestem jej lokalnym korespondentem.

— O? — zdziwił się doktor. — Nie miałem pojęcia.

— Ja również. Aż do wczorajszego wieczora — obwieścił Craven z nieoczekiwaną skromnością.

— Gratulacje — rzekł Sheldon oschle.

Craven machnął ręką z lekceważeniem. — Cóż, to rzeczywiście miłe, gdy w końcu poznają się na czyimś talencie.

— O czym jest ten pański artykuł? — spytała Katherine.

— O Paulu Rocellu.

— Ale przecież nikt nic o nim nie wie.

— Ja wiem — pochwalił się Craven.

— A co pan wie? — dopytywała się Katherine.

Dziennikarz przesunął ręką po falowanych włosach.

— Cóż, wiem, że był Włochem, urodził się w Wenecji i był bliskim przyjacielem hrabiego Paragi.

— Hrabiego Paragi? — powtórzył Sheldon. — Czyżby tego samego, który kojarzy mi się z miniłodziami podwodnymi?

Craven potaknął.

— Zgadza się. Podczas wojny dowodził częścią włoskiej marynarki wojennej — Dwunastą Flotyllą, konkretnie. Owa flotylla składała się z miniłodzi podwodnych i płetwonurków.

Tu zrobił dramatyczną przerwę.

— Paul Rocello był właśnie jednym z płetwonurków.

— Jest pan pewien? — spytał Sheldon głosem, w którym wyraźnie dźwięczało niedowierzanie.

— Absolutnie. O wszystkim tym napisałem w moim artykule. „Kto zabił płetwonurka?” autorstwa Robina Cravena. To nie mój tytuł, tak przy okazji.

— Jak pan się tego wszystkiego dowiedział? — wtrąciła Katherine.

Craven wyciągnął przed siebie ręce, jakby bronił się przed przypisaniem mu tej zasługi.

— Chciałbym móc powiedzieć, że to wynik wyczerpującego śledztwa i śmiertelnej determinacji, ale niestety było zupełnie inaczej. Informacje zdobyłem dzięki tej karteczce, którą ktoś mi przysłał.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął portfel, a z niego świstek papieru.

Sheldon spojrział na kartkę. Wyrysowano na niej kombinezon płetwonurka, zaś pod rysunkiem był wyraźny napis: „Pan R. 1943”. Katherine wzięła kartkę od stryja, popatrzyła i zwróciła ją Cravenowi.

— Czy wie pan, kto jest nadawcą przesyłki? — spytał Sheldon.

— Nie mam pojęcia — odparł Craven. — Znalazłem ją wepchniętą przez otwór na listy we wtorek rano. Najpierw zdawało mi się, że to nie ma najmniejszego sensu. Potem przypomniałem sobie, że Włosi są dość czuli na punkcie tej sprawy z nurkami, więc wybrałem się do British Museum i poszperałem trochę. Wkrótce uświadomiłem sobie, że jestem na tropie czegoś ważnego. Zatelegrafowałem do hrabiego Paragi, a on mi odpowiedział. Rocello rzeczywiście był płetwonurkiem — i to zawodowcem. Był nawet mistrzem Włoch i tak dalej.

— To bardzo ciekawe — zauważył Sheldon. — Czy powiedział pan o tym policji?

— Mogą sami przeczytać o wszystkim w „Daily News” — odparł zadowolony z siebie.

— Nie chciałbym być na pana miejscu, kiedy rzeczywiście to przeczytają — stwierdził Sheldon.

Craven wyglądał na zranionego.

— Czemuż to? Jestem dziennikarzem wolnej prasy w wolnym kraju.

— Być może. Ale zatajenie dowodów może być poważnym wykroczeniem.

— A kto tu zataja dowody? Ja tylko odkryłem fakty, do których oni sami nie potrafili dotrzeć.

Spojrzał na Katherine. Uśmiech prawie nie zniknął mu z twarzy.

— Ale jeśli panna Walters widziała w czwartek po południu coś — lub kogoś — i nie powiedziała o tym policji, to to byłoby klasycznym przykładem zatajenia.

Oparł się wygodnie i z triumfalną miną skrzyżował ręce na piersi.

— Nie widziałam w czwartek niczego, co mogłoby zainteresować pana czy policję — odcięła się Katherine.

Craven uniósł brwi. — Doprawdy? Wiem skądinąd, że była pani przesłuchiwana...

— Oczywiście, że tak. Byłam przecież wtedy nad rzeką.

— Zwykle nie przesłuchują ludzi bez ważnego powodu — uważał spokojnie Craven.

— Nie wątpię, iż jest pan doskonale zaznajomiony z policyjną procedurą — odparła Katherine. — I jestem pewna, że wkrótce się to panu przyda.

— Nie całkiem rozumiem?

Katherine uśmiechnęła się. — Mocno mi się wydaje, że jutro policja przesłucha właśnie pana, panie Craven.

6

Wszedłszy do pokoju dziennego, Henderson stanął jak wryty. W jego ulubionym fotelu, odślaniając oszałamiający fragment niebywale atrakcyjnych nóg, siedziała wygodnie Billie Reynolds.

Najwyraźniej chciała zrobić wrażenie. Miała na sobie czarny kostium i powitała Hendersona wielce obiecującym uśmiechem.

— Kopę lat!

— Dzień dobry — odpowiedział gospodarz. — Panna Reynolds, nieprawdaż?

— We własnej osobie — odparła Billie z wielkim ożywieniem. — Odwiedził mnie pan mniej więcej rok temu. — Wydeła usta zalotnie. — Niech mi pan teraz nie mówi, że tego nie pamięta...

— Wprost przeciwnie. Pamiętam doskonale.

— Pańska gospodyni powiedziała, że mogę tu zaczekać. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu.

— A cóż właściwie mogę dla pani zrobić, panno Reynolds?

Billie była bardzo pewna siebie. — Może mnie pan poczęstować papierosem. O ile pan ma.

Henderson podał jej papierośnicę. — Mogła pani poczęstować się sama.

Billie zapaliła papierosa od podanego przez Hendersona ognia i zaciągnęła się głęboko. Wyjęła go z ust, pozostawiając na filtrze ślad szminki.

— Damy nie częstują się same, panie Henderson — odrzekła zuchwale.

Pociągnęła wąską spódnicę o jakieś pół centymetra w stronę kolana w udawanej i parodiowanej skromności.

— A może pan nie uważa mnie za damę — dodała.

Henderson mierzył ją wzrokiem przez chwilę.
— Owszem, uważam panią za damę.
— Jasne — odparła Billie, patrząc na niego przez chmurę tytoniowego dymu. — Przykro mi z powodu pańskiego przyjaciela Włocha.
— Mojego przyjaciela Włocha?
— Tak. Rocello, czy jak on się tam nazywał.
— On nie był moim przyjacielem.
— Doprawdy, kotku?
— Nie.
Billie z wdziękiem wzduszyła ramionami. — No cóż, i tak mi przykro — powiedziała. — Myślałam, że się znaliście.
Henderson popatrzył na Billie lekko zmrużonymi oczami.
— A co kazało pani tak przypuszczać?
Billie mówiła jakby od niechcenia: — Cóż, widziałam, jak wnosi go pan do domu, założyłam więc, że to pana przyjaciel.
— Kiedy to pani widziała?
— Tej nocy, kiedy był taki pijany.
— Pijany?
— Tak, pijany. No wie pan... nawalony, schlany, urżnięty. Nie da się ukryć — nieźle się wtedy zaprawił.
Billie wyjęła małe lusterko i jakby zupełnie oderwana od rzeczywistości przyglądała się swojej twarzy.
— Przykro mi, panno Reynolds — rzekł Henderson — ale nie mam pojęcia, o czym pani mówi.
— Naprawdę?
— Naprawdę — odrzekł pewnie.
— Dajmy temu spokój, kotku! Doskonale pan wie, o czym mówię. Pewnej nocy, a raczej wczesnym rankiem, pan i Cooper wnosiliście go do domu. Był pijany jak bela.
— A kiedy to było? — spytał Henderson.
— W zeszłym tygodniu — odparła wesoło Billie. — Wtedy, kiedy go zamordowano. Zostawiliście go na łodzi około drugiej nad ranem. Facet o bożym świecie nie wiedział. Musieliście sobie, chłopcy, urządzić niezłą imprezę.
— Gdzie pani wtedy była? — spytał po cichu Henderson.
— Nieważne — odparła Billie.

Z wielkim zainteresowaniem oglądała swoje paznokcie.
— Zadałem pani pytanie — mówił zniżonym głosem. — Może ze chciałaby pani na nie odpowiedzieć.
Coś w głosie Hendersona sprawiło, że Billie przerwała kontemplację lakieru na paznokciach i spojrzała na niego.
— Cóż — powiedziała — skoro musi pan wiedzieć, zabawiałam pewnego znajomego. Wie pan, dość często zdarza mi się kogoś zabawić... w taki czy inny sposób.
— Czy ten pani znajomy rozpoznał Rocella?
— Tak, ale nie rozpoznał pana — odrzekła Billie słodko. — A więc pan nie ma się czego obawiać.
— Czy mówiła pani o tym komuś jeszcze?
— Nie — rzekła, po czym dodała znacząco: — Jeszcze nie.
— Co to znaczy Jeszcze nie"?
Billie uśmiechnęła się.
— Mogłabym ulec pokusie i powiedzieć komuś, gdyby mnie za pytano. Ale nikt mnie nie pytał, kotku.
Poczęstowała się następnym papierosem i przyglądała się Hendersonowi z największą serdecznością.
— Nie wolno pani nikomu o tym wspomnieć choćby słowem, rozumie pani? — powiedział Henderson.
Mówiąc to, patrzył na nią bardzo uważnie i niezwykle ostrożnie zbliżył się nieco.
— Czemuż to? — spytała ospale.
Nagle wyprostowała się w fotelu jak świeca, a popiół z papierosa spadł jej na kolana.
— To chyba nie pan go zamordował...
— Wielkie nieba, nie — zaprzeczył Henderson. — Skąd to pani przyszło do głowy? Rocello był moim przyjacielem.
Billie strzepnęła popiół i założyła nogę na nogę.
— Czemu więc tak bardzo się pan gorączkuje i martwi?
Henderson uśmiechnął się.
— Chcę tylko uniknąć mnóstwa dziwnych pytań; to wszystko. Widzi pani, Billie, znalazłem się w dość trudnym położeniu.
— O pewnie! — wykrzyknęła Billie.
— Cóż, wie pani, jak to jest. Wychowawca w prywatnej szkole... wie pani, co mam na myśli.

— Wiem, co pan ma na myśli, panie profesorze — odpowiedziała szybko Billie.

Jej zachęcający uśmiech wrócił na swoje miejsce. Spojrzała w dół na stojące na niewielkim stoliku z boku szachy; po chwili podniosła skoczkę i przyglądała mu się pilnie.

— Co to jest? — spytała.

— Figura szachowa.

— To widzę, kochaniutki, ale jaka?

— Skoczek.

Wzięła do ręki następną figurę.

— A to?

— Laufer.

— No, no — rzekła. — Człowiek uczy się całe życie, co? A to?

— Wieża.

Henderson pokazywał po kolei figury na szachownicy.

— Laufer, pionek, skoczek, król, wieża...

— Mój staruszek kiedyś grał w szachy — oznajmiła Billie.

Na dobre zmieniła temat, pomyślał Henderson.

— Stary przyk przewaźnie nad nimi zasypiał. To raczej dziwne, ale zawsze chciałam nauczyć się w to grać.

Henderson popatrzył na nią.

— Chciałaby pani, żebym ją nauczył?

— A jest pan dobrym nauczycielem?

— Uczniowie nie narzekają.

Billie roześmiała się — szczęśliwym, beztroskim śmiechem.

— No to ma pan uczennicę — powiedziała.

Około ósmej następnego wieczora Henderson wyslizgnął się po cichu ze szkoły, by stawić się na umówione spotkanie z Billie Reynolds. Niósł ze sobą szachownicę, małe drewniane pudełko z szachami i butelkę szampana. Wybrawszy mniej uczęszczaną drogę, nie spotkał nikogo znajomego, dopóki nie dotarł do łodzi. Na jego pukanie nikt nie odpowiedział, więc wszedł do środka nie proszony. Pokój dzienny był dokładnie taki, jak się spodziewał.

— Jest tu kto? — zawołał.

Głos Billie doszedł go z przyległej kabiny: — Zaraz do ciebie przyjdę, kotku!

Henderson przez chwilę patrzył na trzymaną w dłoni butelkę.

— Lubisz szampana?

— Czy lubię? Sam sprawdź, profesorku!

— A gdzie trzymasz kieliszki?

— W kredensie... w rogu.

Henderson zajrzał do kredensu. Były w nim kieliszki do wszelkiego rodzaju napojów. W kwestii zaspokajania apetytu swoich gości na alkohol Billie miała najwyraźniej niewiele do nauczenia. Wybrał dwa kieliszki do szampana i zaczął otwierać butelkę.

Gdy wystrzelił korek, pojawiła się Billie w brokatowej podomce. Miała świeży makijaż, zaś usiłując nadać sobie skromny wygląd, włosy przewiązała czerwoną jedwabną wstążką. Całkiem inna Billie, cicha, skryta domatorka.

— To najśodsza muzyka dla moich uszu — rzekła.

Usadowiła się wdzięcznie w fotelu.

— Co takiego? — spytał Henderson, nalewając szampana.

— Wyskakujący z butelki korek. Nie spodziewałam się szampana. Myślałam, że będziesz mnie uczył gry w szachy.

— Wszystko w swoim czasie — odparł Henderson. Podał Billie kieliszek. — Zdrowie!

— Szach-mat!

Henderson roześmiał się.

— Tak się mówi w szachach, prawda? Szach-mat? — upewniła się Billie.

— Prawda.

Henderson odstawił nietknięty kieliszek szampana na stół.

— Czy to prawda, że nigdy wcześniej nie grałaś w szachy?

— Nie, nigdy.

Henderson ponownie napełnił kieliszek Billie.

— Czy w ogóle wiesz cokolwiek o tej grze?

— Nie mam bladego pojęcia. — Billie wzięła długi łyk szampana.

— Ale się nauczę.

Zauważył, że wypiła już połowę z drugiego kieliszka.

— Kurczę! — zawołała Billie. — To naprawdę strzela do głowy!

— Tylko dwa pierwsze kieliszki — odparł Henderson.

Wziął butelkę i dolał do jej kieliszka do pełna.

— Po paru następnych...

— ...można nauczyć się fruwać — dokończyła Billie z przechodzącą w śmiech czkawką.

Henderson wyjął z pudełka figury i zaczął ustawiać je na szachownicy. Obrócił się, gdy Billie wpadła na fotel. Zauważył, że chwije się lekko, podpierając się na meblu. Jej mowa stała się ciężka i niewyraźna.

— Te bąbelki są naprawdę mocne. Jak mnie nie będziesz pilnował, to ci się porządnie urznę. Zaczynamy lepiej już grę, mój profesorku.

Opadła na fotel i uśmiechała się nieprzytomnie do Hendersona.

— Dobrze. Po pierwsze, musisz wiedzieć, że... — Przerwał i spojrzał na Billie. — Dobrze się czujesz?

Billie nie bez trudu podniosła się z fotela. Chwiała się niebezpiecznie i patrzyła dziwnymi, szklanymi oczami.

— Chyba nie — odparła.

Dotknęła ręką czoła. Potem dodała:

— Kręci mi się w głowie. I niechby już ten pokój stanął wreszcie w miejscu. Zawsze zdawało mi się, że mogę wypić wszystko, co tylko pochodzi z butelki, ale ty przyniosłeś w niej chyba dynamit.

— Może wyjdiesz na chwilę na pokład? — zaproponował Henderson. — Tu na dole jest trochę duszno.

— Nie, dziękuję — wydukała Billie.

Mrugnęła do niego jak sowa.

— Hejże, profesorku, chyba nie dodałeś mi czegoś do szampana, co?

Zachwiała się znowu, zaś Henderson wyciągnął rękę, by zapobiec jej upadkowi. Wyglądał na zszokowanego.

— Wielkie nieba, skądże!

— W swoim życiu wypiałam już trochę bąbelków — oświadczyła Billie — ale... nigdy... nie...

Kieliszek wypadł z ręki Billie, a ona sama poleciała do przodu, strącając ze stołu kilka figur szachowych. Henderson złapał ją, gdy upadała, i posadził w jednym z foteli. Głowa Billie opadała na bok, a usta rozchyliły się. Jak sama pewnie by to ujęła, Billie Reynolds urznęła się jak bela...

Henderson stał i patrzył na nią przez chwilę. Jego twarz pozostała bez wyrazu, ale najwyraźniej w duchu podejmował jakąś decyzję. Naraz pozbierał szachy i położył je na stole, potem z kieszeni na piersi wyjął jedwabną chusteczkę i przeszedł do drzwi. Wytrzeł dokładnie klamkę, wrócił do stołu i przelał szampana ze swojego kieliszka z powrotem do butelki, ścierając z kieliszka i butelki odciski palców i odstawiając kieliszek do kredensu. Poruszał się szybko i sprawnie, świadomy potrzeby niezwykłego skupienia.

Gdy był już wszystkim usatysfakcjonowany, Henderson wyjął z kieszeni płaszcz niewielką latarkę, wyłączył światło i podszedł do przypominającego iluminator okna. Otworzył je, podniósł latarkę i zaczął dawać sygnały.

7

Mówiłem do ciebie, tato — rzekł Roger Ford.

— Słucham? — ocknął się ojciec, który wolał jeść śniadanie w milczeniu.

— Co to znaczy „równoległy wzdłużny”?

Ford spojrział znad gazety z miną męczennika. — Że co?

— „Równoległy wzdłużny”, co znaczy.

— Hm... — Ford pogłaskał się po brodzie i usiłował wyglądać na mocno skupionego. — Ach, tak. Wzdłużny równoległy. No, to znaczy, że... er... to... A co ty tam właściwie czytasz?

— To książka, którą pożyczył mi pan Henderson. Tu jest napisane, że rzeźbę terenu półwyspu stanowią trzy równoległe wzdłużne pasma.

— No, rozumiem — powiedział Ford. — To dziecinnie proste. Oznacza to, że ten... er... półwysep składa się z trzech...

Geograficzne objaśnienia zostały zakłócone przez dzwonek do drzwi.

— Zobacz, kto przyszedł, Roger — polecił Ford, patrząc na syna z niewypowiedzianą ulgą.

Ta odrobina wiedzy o naszej planecie, jaką przyswoił jeszcze w szkole, ginęła za mgłą czasu.

— Jeśli to sierżant Broderick, zostaw nas samych na kilka minut — dodał.

Roger powrócił od drzwi, prowadząc Brodericka.

— Witaj, Bob — odezwał się Ford.

— Mam nadzieję, że nie przerwałem ci śniadania — powiedział gość.

— Nie, właśnie skończyliśmy. Filiżankę herbaty?

— Nie, dziękuję.
Broderick uniósł przyniesioną ze sobą gazetę. — Widziałeś to?
— A co to takiego?
— Londyńskie „Daily News”.
— My nie czytujemy tego.
— Cóż — rzekł Broderick — ten numer chyba cię zainteresuje.
Jest w nim artykuł młodego Cravena.
— Cravena? — powtórzył Ford.
Otworzył gazetę. Pod chwytliwym tytułem „Kto zabił pletwonurka?” pióra Robina Cravena widniała fotografia łodzi mieszkalnej *High Tor*. Ford czytał artykuł, coraz mocniej marszcząc czoło.
— Co to, u diabła, znaczy? — zapytał.
— To znaczy — odparł Broderick — że Craven wie o naszym Włochu znacznie więcej niż my.
— Na to wygląda — stwierdził rozzłoszczony Ford. — Rzecz w tym, gdzie zdobył wszystkie te informacje?
— Nie wiem — przyznał sierżant.
— Myślisz, że to prawda?
Broderick wzruszył ramionami. — Wszystko brzmi autentycznie.
Wziął do ręki gazetę i przyglądał się jej badawczo.
— Widziałeś to? „Hrabia Paragi potwierdził, że Rocello był nurkiem, członkiem Dwunastej Flotylli”.
— Wszystko to bardzo ładnie — zauważył Ford. — Ale po pierwsze, co przywiodło Cravena do tego hrabiego Paragi?
— Nie mam pojęcia — rzekł Broderick. — Wiesz, jacy są ci dziennikarze.
— Cóż, albo to wszystko jest stekiem bzdur, albo Craven coś wie, a w takim razie nie powinien był pisać tego artykułu... powinien był przyjść prosto do nas.
— To dziennikarz, Mike — stwierdził Broderick z pobłażliwym uśmiechem. — Pisanie artykułów to w końcu jego praca.
Głową wskazał na wejściowe drzwi, przy których dzwonek brzęczał nieustępliwie.
Ford nie zważał na dzwonicie.
— Posłuchaj, Bob — powiedziała. — To nie jest jakaś tam drobna kradzież. Tu chodzi o morderstwo! W chwili gdy Craven odkrył tożsa-

mość Rocella, powinien był... — Przerwał nagle. — Roger! Otwórz drzwi, na litość boską!

— Mike, znasz Cravena — odezwał się pojednawczo Broderick. — Od lat usiłował dostać się do tej gazety. Dla niego była to pewnie szczęśliwa okazja.

— Ale dla mnie to wcale nie jest szczęśliwa okazja! — odparował zapalczywie Ford. — Co twoim zdaniem powie nadinspektor, gdy zobaczy ten artykuł, a potem przeczyta mój raport stwierdzający, że nic o panu Rocello nie wiemy? Jakiś trzeciorzędny pismak... — Inspektor odwrócił się, gdy do pokoju wszedł Roger. — No, kto tam się tak zęcał nad dzwonkiem?

— Jakiś pan Craven. Chce się z tobą zobaczyć.

— Zadzwoiłem do niego, jak tylko przeczytałem artykuł — poinformował Broderick. — Pomyślałem, że pewnie zechcesz z nim porozmawiać.

Ford zacisnął usta w wąską linię.

— A pewnie, że zechcę! Wprowadź go, Roger!

— Słuchaj, Mike — dodał jeszcze Broderick. — Nie myśl, że próbuję się wymądrzać, ale na twoim miejscu nie pozwoliłbym Cravenowi uwierzyć, że odkrył coś, o czym my byśmy jeszcze nie wiedzieli. — Uśmiechnął się szeroko. — I wciąż możesz się na nim powyżywać, jeśli masz ochotę...

Craven wkroczył żwawo do pokoju. Zdawał się być w szampańskim humorze.

— Dzień dobry, inspektorze — przywitał się. Uśmiechnął się radośnie do Forda, lecz on nie odwzajemnił się tym samym. — Wygląda pan na zatroskanego, inspektorze. Mam nadzieję, że nic złego się nie stało.

— Dzień dobry — odpowiedział lakonicznie Ford.

Craven uniósł brwi, zdziwiony. — Cóż za chłodne powitanie — rzekł. — Słyszałem, że chce się pan ze mną widzieć.

— To prawda — potwierdził Ford i pokazał ręką na Brodericka. — To sierżant Broderick. Rozmawiał z panem przez telefon.

Craven skłonił się grzecznie. — Dzień dobry, sierżancie.

Ford wziął do ręki gazetę i od razu przeszedł do rzeczy.

— Przeczytałem właśnie ten pana artykuł. Gdzie zdobył pan te informacje?

Craven nie zmieszał się. — Jakie informacje?

— Pan wie, o czym mówię — odrzekł sucho Ford, który nie przepadał za młodymi, wścibskimi dziennikarzami. — Mam na myśli te rewelacje o Rocellu.

— To, że był przyjacielem hrabiego Paragi?

— Wszystko! — wykrzyknął Ford. — Skąd pan wiedział, że był przyjacielem hrabiego? Skąd pan wiedział, że był nurkiem w czasie wojny? Skąd pan wiedział...?"

Craven uniósł dłoń w geście sprzeciwu. — Proszę, inspektorze — powiedział. — Po jednym pytaniu na raz. Uśmiechnął się rozbijając do Brodericka: — Czy pan inspektor zawsze jest taki?

Broderick odpowiedział: — Inspektor zdenerwował się, co jest całkiem zrozumiale. Uważa, że powinien się pan z nami skonsultować przed napisaniem tego artykułu.

— Doprawdy? — rzekł Craven z uprzejmą troską. — To bardzo interesujące. A dlaczegóż to miałbym się z panem konsultować, inspektorze?

Do Forda dotarło, że złośczenie się na Cravena to strata czasu. Siłą się na cierpliwość, powiedział: — Artykuł zawiera informacje, które nie powinny być ujawnione opinii publicznej.

— Pozwolę sobie zauważyć — mówił gładko dziennikarz — że to dość niezwykły punkt widzenia. — Ostatecznie jesteśmy... — Tu popukał się w pierś, jakby był wybranym przedstawicielem całej angielskiej prasy. — ...jesteśmy sługami społeczeństwa.

— To nieistotne, czy mój punkt widzenia jest niezwykły, czy też nie — odparł Ford. — Rzecz w tym, że...

Broderick rzucił przełożonemu przepaszające spojrzenie, po czym przemówił:

— Właściwie to jak dowiedział się pan o tym Włochu?

Craven zawahał się przez chwilę. Patrzył podejrzliwie to na jednego policjanta, to na drugiego, a po chwili wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki kartkę papieru i podał ją Fordowi.

— Ktoś mi to przysłał — oznajmił w końcu.

Ford popatrzył na kartkę. Był na niej wizerunek człowieka w pełnym rynsztunku płetwonurka, a pod spodem napis: „Pan R. 1943”.

Ford przyglądał się świstkowi przez przeszło pół minuty, a potem zwrócił go Cravenowi i zapytał: — Kiedy pan to dostał?

— W czwartek rano.
— Kto jest nadawcą?
— Naprawdę nie wiem. Ktoś to wrzucił przez otwór na listy.
— Czy kartka była w kopercie?
— Nie... otrzymałem ją taką, jaką widzi pan teraz.
— Mogę rzucić okiem? — poprosił Broderick.
Craven podał kartkę, a policjant przyjrzał się jej.
— Czemu pomyślał pan, że to chodzi o Rocella? — zapytał.

Craven spokorniał nieco w trakcie rozmowy. Odpowiedział nieśmiało: — Naprowadziła mnie ta litera „R”; to oraz fakt, że... cóż, nic innego po prostu nie przyszło mi do głowy. Poza tym wcześniej już wypytywałem trochę o Rocella, próbowałem się czegoś o nim dowiedzieć. Gdy otrzymałem tę przesyłkę, postanowiłem spróbować w bibliotece włoskiej w British Museum.

Jego uśmiech powrócił: może nieco bardziej stonowany, ale wciąż uparcie ujmujący.

— Cudowne miejsce z tego muzeum, inspektorze. Szczerze polecam.

Ford wziął od Brodericka kartkę. — Czego jeszcze pan się dowiedział?

— A o co panu chodzi? — spytał asekuracyjnie Craven.

— Czy wie pan coś jeszcze... poza tym, co znalazło się w artykule?

— Nie. Wiem tylko to, o czym napisałem — zapewnił dziennikarz.

Ford w zamyśleniu potarł podbródek. — I twierdzi pan, że kontaktował się z hrabią Paragi?

— Oczywiście — odparł z naciskiem Craven. — Wysłałem do niego telegram, a on mi odpowiedział.

— A co panu odpowiedział?

— Wszystko jest tam napisane. — Craven jakby z wyrzutem wskazał na gazetę. Doprawdy, pomyślał, jak tępi bywają niektórzy policjanci. — Paragi twierdził, że znał Rocella podczas wojny i że obaj byli członkami Dwunastej Flotyli, złożonej z miniłodzi podwodnych i najlepszych spośród płetwonurków.

Nagle coś mu przyszło do głowy — myśl genialna w swej dziennikarskiej prostocie.

— Doprawdy, czy to nie cudowny tytuł? „Najlepszy spośród ple-
twonurków”. Muszę to zapamiętać.

— Niech pan zapamięta coś jeszcze — ostrzegł nieprzejednany
Ford. — Kiedy dostaje pan jakąś informację, ma pan obowiązek... —
Tu zrobił znaczącą przerwę i z nutą ironii kontynuował: — ...nawet ja-
ko dziennikarz, podzielić się nią z nami, miast przelewać ją od razu na
papier. Czy wyraziłem się jasno, panie Craven?

— Jasno, nawet bardzo — odparł pytany, po czym wskazał na ga-
zetę. — Czy znaczy to, że nie wiedział pan tego o Rocellu? Nie wie-
dział pan, kim był?

Uśmiechał się z drwiną.

— Oczywiście, że wiedzieliśmy — uciął Ford. — Ale nie o to cho-
dzi.

— A więc właściwie o co chodzi?

— O to, że mam zamiar zaopiekować się tą karteczką, Craven!

— Czy to rzeczywiście konieczne? — w głosie Cravena zabrzmiał
sprzeciw.

— Owszem — odparł Ford i położył kartkę na stole.

— Ale przesyłka była zaadresowana do mnie. Stanowi moją wła-
sność. Mam poważny zamiar udać się do mojego prawnika.

— Jeśli chce pan tracić czas, to pańska prywatna sprawa —
odwarknął Ford. — Na razie zabieram tę kartkę jako dowód w spra-
wie morderstwa. Gdy skończymy, otrzymają pan z powrotem.

Robin Craven uśmiechnął się szeroko. — Cóż, całe szczęście, że
zrobiłem wczoraj fotokopię.

— No, panie Craven, ostrzegam, że jeśli pojawi się to w jakiejś ga-
zecie...

— Niech pan nie ostrzega mnie, tylko wydawcę. A teraz wybaczą
panowie...

Uraczył ich butnym skinieniem głowy i wyszedł szybko, odprowa-
dzony przez Forda.

Gdy chwilę potem inspektor wrócił do pokoju, trzymał w ręce ze-
szyt.

— Co tam masz? — spytał Broderick.

— Zeszyt Rogera. Zerknijmy jeszcze raz na tę kartkę, Bob.

Ford wziął do ręki własność Cravena i otworzył zeszyt. Przewracał
kartki powoli, aż dotarł do wypracowania. Najwyraźniej było to jedno

z mniej błyskotliwych literackich dokonań Rogera, mocno naznaczone poprawkami błędów ortograficznych. Na końcu widniała oszczędna uwaga nauczyciela: „Stać cię na więcej”. Pismo należało do Hendersona.

Potem Ford przeszedł do przedtytułowej karty książki, którą Roger czytał przy śniadaniu. Również ręką Hendersona napisane było: *Suavitor in modo, fortiter in re.*

— Na co patrzysz, Mike?

— Widzisz to? — spytał Ford, pokazując pismo na kartce od Cravena — I to? — wskazał napis na karcie książki.

— To samo pismo — zauważył Broderick.

— Właśnie — stwierdził Ford. — Pismo Hendersona.

Broderick podrapał się po głowie. — Ale dlaczego Henderson miałby wysłać coś takiego do Robina Cravena?

Ford odpowiedział w zamyśleniu: — Przypuszczalnie dlatego, że chciał, by tamten wiedział o Rocellu...

— Wiesz, co bym zrobił na twoim miejscu, Mike?

— Co takiego, Bob? — w głosie Forda słychać było znużenie.

— Porozmawiałbym znowu z Hendersonem. Bądź z nim zupełnie szczerzy. Powiedz o Cravenie, o kartce, o wszystkim, co sami wiemy... i czekaj, co się będzie działo.

Henderson nabił fajkę i zapalił. Gdy była już dość rozpalona, oparł się wygodnie w fotelu i patrzył na Forda całkowicie opanowany.

— Może nie jestem najbystrzejszy, inspektorze — mówił spokojnie — ale chyba nie rozumiem, do czego pan zmierza. Pan twierdzi, że to moje pismo, ja twierdzę, że nie. Mamy więc moje słowo przeciwko pańskiemu.

Ford popatrzył poważnie. — To nie takie proste, panie Henderson.

— O? Dlaczego?

Ford mówił dalej: — Gdy zacząłem podejrzewać, że to pańskie pismo znajduje się na kartce od Cravena, przesłałem ją wraz z inną próbką tekstu napisanego pana ręką prosto do Stacey Boyda. On zaś potwierdził moje podejrzenia ponad wszelką wątpliwość.

— A kim jest ten Stacey Boyd?

— Grafologiem, proszę pana. Już od lat jest w tej dziedzinie uznanym autorytetem.

— Mogę tylko stwierdzić, że pan Boyd się myli. Może powinien już odejść na emeryturę.

Ford westchnął. — Obawiam się, że to wcale nie jest takie zabawne, panie Henderson. Dla mnie, w każdym razie, to bardzo poważna sprawa.

— W zupełności się z panem zgadzam. Żałuję tylko, że nie bardzo mogę pomóc.

— A czy w ogóle próbuje pan pomóc? — spytał Ford.

— Oczywiście, że tak — odparł Henderson i zapalił znowu wygasłą fajkę. — A więc twierdzi pan, że wysłał Staceyowi Boydowi próbkę mojego pisma?

— Zgadza się — potwierdził inspektor. — Znalazłem zeszyt Rogera i książkę, którą mu pan pożyczył. — Popatrzył groźnie na nauczyciela. — Tę o jeziorach we Włoszech.

— Ach, tak. Pamiętam.

— Napisał pan coś na karcie przedtytułowej.

— Naprawdę? — rzucił odruchowo Henderson. Wyglądał na zagubionego we własnych myślach. — Ach, już sobie przypomniałem. Ależ ze mnie głupol. To był ten cytat: *Suavitor in modo, fortiter in re*.

— No właśnie. Pytałem pana, co to może znaczyć, pamięta pan?

— Rzeczywiście, pamiętam. — Henderson uśmiechnął się. — Ale czy pan pamięta, inspektorze?

— Pamiętam doskonale — odparł Ford, wciąż bacznie obserwując swego rozmówcę. — To znaczy: „W rzeczy mocno, w sposobie łagodnie”.

— Świetnie — pochwalił nauczyciel. — Na szóstkę.

Ford nachylił się. Najwyraźniej nie był rozbawiony.

— Czy nie wydaje się panu, że to dość dziwny zbieg okoliczności, iż ów cytat znalazł się na kopercie zegarka zmarłego jak i na karcie przedtytułowej pańskiej książki?

— To rzeczywiście dziwne.

— Czy może mi to pan wyjaśnić?

— Niestety, nie — odparł Henderson uprzejmie. — A nawet gdybym mógł, i tak pewnie by mi pan nie uwierzył.

— Przede wszystkim, co skłoniło pana do zapisania tego cytatu?

— Nie chciałem go zapomnieć.
— To znaczy, że przeczytał go pan gdzieś i po prostu zanotował w pierwszym lepszym miejscu?
— Dokładnie tak. Czy jest w tym coś niewłaściwego?
— Gdzie pan to znalazł — w książce?
— A gdzieżby indziej?
— Pomyślałem sobie tylko — ciągnął Ford — że taki cytat można by zobaczyć na czyimś nagrobku.
— W rzeczy samej — powiedział Henderson z przemiłym uśmiechem. — To bardzo ładne epitafium. Skoro już o tym mowa, sam nie miałbym nic przeciwko temu, żeby znalazło się kiedyś na moim grobie. — Spojrzał na zegarek i wstał. — A teraz, wybacz pan...
Ford podniósł się do wyjścia i rzekł: — Chyba pan nie wyjeżdża?
— Nie. Zamierzam spędzić wakacje tutaj. Będę do pańskiej dyspozycji o każdej porze.
— Miło mi to słyszeć — odparł inspektor, biorąc do ręki kapelusz.
Po drodze do domu dumiał, że byłoby dobrze, gdyby widział choć słabo migoczące światełko na końcu bezkresnego czarnego tunelu, jakim była sprawa morderstwa Paula Rocella.
Gdybym tylko wiedział, pomyślał, w jaką to grę próbuje grać ze mną Henderson...

8

Ściskając tanią amerykańską walizkę, Chris Reynolds wyszedł ze stacji w Medlow i stał przez chwilę, mrużąc oczy, na sennej głównej ulicy miasteczka. Co, u licha, skłoniło Billie, jego przyrodną siostrę, do zamieszkania w takiej dziurze? Nie dostrzegł ani śladu kina, zaś o salonach gier i kawiarniach z automatami do gry — miejscach, w których lubił bywać najbardziej — nikt tu chyba w ogóle nie słyszał.

Co Billie mogła tutaj robić? — pytał sam siebie. Łódź mieszkalna miała jej pewnie dać jakiś kąt do spania. Zresztą to na pewno prezent od kogoś z jej facetów.

Zatrzymał jakiegoś przechodnia i zapytał o drogę do rzeki.

Należy wspomnieć, że Chris był utrapieniem ubogiej w kadre policji i solą w oku urzędów skarbowych. Był, jak to się powszechnie mówi, niebieskim ptakiem. Od czasu do czasu pozwalał sobie na krótkie okresy zatrudnienia i niekiedy udało mu się zarobić całkiem „niezłą forszę”. Ale Chrisowi nigdy nie było dosyć. Istniały przecież kina, dziewczynki, tańce, papierosy i gorzałka — nie wspominając już o psach. Nie dało się korzystać z tego wszystkiego i jako tako przy tym wyglądać, zarabiając osiem czy dziewięć funtów tygodniowo, no chyba że skombinowało się trochę to tu, to tam. Chris, co przykre, kombinował niemal bezustannie, w związku z czym nie należał do ulubionych krewnych i gości Billie.

Od czasu do czasu, gdy zarobił trochę grosza, gnał do bukmachera i obstawiał psy na wyścigach. Jeśli ktoś na gwałt potrzebował bilet na finałowy bieg, szwajcarski zegarek albo oryginalną zapalniczkę, wystarczyło, że zwrócił się z tym do Chrisa.

Z wyglądu nie był odstręczający, ale oczy miał osadzone zbyt blisko, podbródek nieco cofnięty, a usta blade i ledwo widoczne. Za swoją dumę uważał sięgające środka ucha bokobrody. Długa czarna grzywa (którą przeczesywał średnio co dwadzieścia minut) była mocno wysmarowana brylantyną i zaczesana w modny kaczy kuper na karku. Upodobał sobie przesadnie wąskie spodnie, koszarne krawaty i buty na gumowej podeszwie.

Jego żwawa przechadzka wzdłuż rzeki ścieżką prowadzącą na łódź *Shangri-La* była wstępem do kolejnej wizyty u Billie. Istniała między nimi cicha umowa, że spotykali się tylko wtedy, gdy jedno chciało czegoś od tego drugiego. Tym razem Billie potrzebowała nowej dostawy nylonowych pończoch, co tłumaczyło obecność walizki ścisłanej mocno w ręce Chrisa.

Siłą przyzwyczajenia — przyzwyczajenia nabytego podczas kariery bukmacherskiego konika — Chris rozejrzał się w obie strony i dopiero wtedy wszedł na pokład łodzi. Wkroczył do pokoju dziennego, postawił walizkę i otarł czoło mokre od nadzwyczaj długiego marszu. Rozejrzał się po pokoju z uznaniem, wydymając usta w bezgłośnym gwizdzie; z tego co widział, Billie musiała sobie całkiem nieźle radzić.

Nosowym głosem, który zawdzięczał wyprawom do kina, zawołał: — Hej, Billie! Gdzie jesteś?

Odpowiedzi nie było. Sprawdziwszy wszystkie pomieszczenia, stanął pośrodku pokoju dziennego, drapiąc się w zadziwieniu po głowie. Zastanawiał się, gdzie, u licha, mogła się podziać. W sumie jednak uznał, że to nawet zabawne.

Z nadzieją, że siostrzyczka trzymała w zanadrzu jakiś alkohol, podszedł do narożnego kredensu. I właśnie wtedy zauważył figurę szachową. Leżała na podłodze częściowo ukryta w zagłębieniu dywanu. Schylił się, podniósł ją i stał na środku pokoju, ważąc w dłoni. Zapalił papierosa i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Billie bywała dziwna... zawsze była. Ale szachy — tego był pewien — do jej dziwactw nie należały.

Ford chodził po pokoju to w jedną, to w drugą stronę, paląc — co dla niego niezwykle — papierosa. Jakąś godzinę wcześniej Roger poskar-

żył się na ból głowy i brzucha, więc inspektor posłał po doktora Sheldona.

Zaniechał nagle niespokojnego marszu i podniósł wzrok, słysząc głos lekarza.

— Dobranoc, Roger.

Głos doktora brzmiał spokojnie i beztrąsko jak zawsze. Sheldon wszedł do pokoju dziennego i uśmiechnął się pocieszająco. — Nie ma powodu do niepokoju — oznajmił. Ford zapytał z troską: — Co to jest, doktorze?

— Cokolwiek mu dolega, jutro rano Roger będzie zdrow jak ryba.

— Ale godzinę temu zupełnie nic mu nie było, a potem znienacka zaczął skarżyć się na ból głowy i brzucha. Mówił też, że strasznie go mdli.

— Cóż, ten ostatni objaw już ustąpił. Miał mdłości, ale podałem mu roztwór sody oczyszczonej i już po sprawie.

— Myślałem, że to środek tylko dla łakomczuchów w średnim wieku — rzekł Ford.

— To nieprawda. Na młode brzuchy działa równie dobrze. Proszę mi uwierzyć, do rana Roger będzie w doskonałej formie.

— No dobrze, ale co to jest? — dopytywał się inspektor. — Jest pan pewien, że to nic groźnego?

— Najzupełniej. Roger... er... był dziś po południu w kinie, nieprawdaż?

— Tak — odparł zaniepokojony Ford. — Chyba nie myśli pan, że coś tam złapał?

Sheldon roześmiał się. — Nie, ale domyślam się, że coś kupił. Właściwie to wiem to na pewno: cztery lody czekoladowe i oranżadę.

— Mój Boże — jęknął Ford.

— Niech pan tylko nie mówi, że się wygadałem — poprosił Sheldon. — To tajemnica między lekarzem i pacjentem.

— To nicpoń jeden. Pytałem go, czy czegoś nie zjadł.

— A zjadł, i to dużo nie najzdrowszych rzeczy. Proszę do mnie jutro zadzwonić, jeśli nadal będzie się pan niepokoił.

Lekarz wziął swój kapelusz i rękawiczki. Odwracając się w stronę drzwi, zapytał: — Tak przy okazji, czy widział się pan ostatnio z Hendersonem?

Zaskoczony Ford odparł: — Tak, prawdę mówiąc, widziałem się z nim przedwczoraj.

— Któregoś dnia wpadł do mnie. Skarżył się na kłopoty z barkiem.

— Czy mówił coś poza tym?

— Tak. Oznajmił nam, iż ktoś doniósł policji, że widział go w pobliżu łodzi, na której popełniono morderstwo. Dał mi i mojej bratani-
cy do zrozumienia, że nie ma pojęcia, kto to mógł być.

— O, naprawdę?

— Twierdził, że to niedorzeczność.

— A co na to panna Walters?

— Niewiele mogła powiedzieć. To było dość kłopotliwe dla nas obojga.

— A co się stało po jego wyjściu? Czy panna Walters skomentowała to jakoś?

— Powtórzyła tylko, że nadal jest przekonana, iż widziała wła-
śnie Hendersona.

Ford pokiwał głową. — Nie mam co do tego wątpliwości. To był Henderson. Jakie było jego zachowanie podczas rozmowy z panną Walters? To znaczy, czy był miły, czy...?

— Był nadzwyczaj miły — rzekł Sheldon. — Wydaje mi się wręcz, że Katherine bardzo go polubiła.

— To mnie nie dziwi — powiedział oschle Ford.

— Przemiały z niego chłop — stwierdził Sheldon, jakby miało to coś do rzeczy.

Przeszedł do drzwi.

— Jeśli będę jutro tędy przejeżdżał, zajrzę do Rogera, ale jestem pewien, że nie ma się pan czego obawiać.

Nie więcej niż pięć minut po wyjściu lekarza zabrzączał dzwonek. Ford otworzył drzwi i stanął oko w oko z Chrisem Reynoldsem. Inspektor otaksował go profesjonalnym spojrzeniem i nie spodobało mu się to, co zobaczył.

— Inspektor Ford? — spytał szybko Chris.

— Tak, jestem inspektor Ford. A kim pan jest?

Chris nie raczył go oświecić.

— Jak ma pan czas, chciałbym z panem pogadać, przyjacielu — oznajmił.

— O, doprawdy? A kto pana do mnie przysłał?

— Nikt — odparł Chris pewnie. — Zadzwoiłem na posterunek i powiedzieli mi, że nie jest pan na służbie. No to sprawdziłem w książce telefonicznej. Mogę wejść?

— Proszę. A jak się pan nazywa?

— Chris Reynolds.

Gość wkroczył do pokoju dziennego i usiadł nonszalancko na oparciu najlepszego fotela.

— Proszę się rozgościć — zakpił Ford. — A więc co mogę dla pana zrobić?

— Zna pan moją siostrę, nie?

Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

— Pana siostrę? Nie sądzę. Kim ona jest?

— Właściwie to moja przyrodnia siostra. Billie Reynolds. Ma tu łódź mieszkalną... *Shangri-La*.

— Ach, prawda — przytaknął Ford. — Znam ją.

— No... to, ona znikła — obwieścił Chris bez ogródek.

— Znikła?

— No, znikła. Wciął ją, przepadła.

Chris przyglądał się Fordowi ze słabo skrywaną niechęcią.

Inspektor popatrzył na niego przez chwilę. Prawdziwy niebieski ptak, stwierdził; myśli, że wielki z niego twardziel. Na głos zaś powiedział:

— Może zacznie pan od początku, panie Reynolds, i powie mi, o co tutaj chodzi.

— Sam nie wiem, o co tutaj chodzi, przyjacielu. Jakbym wiedział, toby mnie tu nie było. Wiem tylko, że Billie znikła i nie podoba mi się to. W ogóle mi się to nie podoba, kolego...

— A kiedy znikła panna Reynolds? — spytał Ford.

Chris wzruszył mocno wypchanymi ramionami.

— A skąd ja mam wiedzieć? Przyjechałem tu w sobotę po południu i myślałem, że będzie na mnie czekała z szeroko otwartymi ramionami. A co zastałem? Jajco.

— Oczekiwała pana?

— Jasne, że tak. Przywiozłem jej dwanaście par nylonowych pończoch. Za wszystkie z góry zapłaciła.

— Był pan tu już kiedyś?

— Nie byłem i więcej tu nie przyjadę, chyba że będę musiał. Za bita dechami, senna dziura. Spadam, jak tylko się dowiem, że Billie nic się nie stało.

Ford przyjrzał się Chrisowi uważnie.

— Czemu uważa pan, że mogło jej się coś stać?

— No przecież znikła, nie? Cholera, czekałem, aż się pokaże, od sobotniego popołudnia.

— Może źle ją pan zrozumiał — zasugerował Ford. — Może czekała na pana gdzieś w Londynie?

— Niczego źle nie rozumiałem, kolego — odrzekł stanowczo Chris. — Billie zadzwoniła parę tygodni temu i powiedziała, że czeka na mnie na łodzi czternastego. Czternasty był w sobotę, no nie?

— No tak. Zostawmy to. Czy mówiła coś jeszcze?

— Nic poza tym, że pilnie potrzebuje nylonowych pończoch. Nasza Billie nie nosi żadnej tandety.

— Czy od soboty przebywał pan na łodzi?

— Już panu mówiłem — bojowo odparł Chris. — Siedzę tam od soboty po południu i czekam na Billie, i sam mam już tego powyżej uszu. Kurczę, komu chciałoby się mieszkać na łodzi? Dokoła nie słychać nic, tylko chlap, chlap, chlap. Nic bardziej wkurzającego.

— Pańska przyrodnia siostra zdaje się to lubić — zauważył Ford. — Mieszka tu już od trzech lat.

— Wiem — przyznał Chris. — Zabij mnie pan, ale nie mam pojęcia, co ona w tym widzi... no chyba że ma tu faceta. — Popatrzyl na Forda. — Ma faceta?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Czemu pan pyta?

— Pomyślałem, że gdyby miała, to człowiek mógłby nam pomóc.

— Ma pan kogoś na myśli?

— Jasne, że nie. Skąd ja mam wiedzieć, co ona tu wyprawia? Ale na pewno kogoś ma, inaczej by tu nie siedziała, to murowane.

— Czy kiedykolwiek wspominała panu o kimś?

Chris zawahał się przez moment.

— Nie... — odpowiedział powoli. — Ale...

— Proszę mówić.

Chris na wpół świadomie wyjął z kieszeni figurę szachową i obracał ją w palcach.

— No dobra, powiem panu. Jakiś rok temu miałem małe kłopoty. Wisiałem jednemu facetowi pięćdziesiąt funtów i mnie przycisnął. W końcu Billie mnie poratowała. — Uśmiechnął się szeroko. — Jak ją znam, to musiała z kimś pogadać...

— Ale nie ma pan pojęcia, kto to był?

Chris pokręcił głową. — Nie. Nawet mnie to nie obchodziło. Chodziło mi tylko o kasę.

— A kiedy widział pan Billie ostatni raz?

— Chyba ze cztery miesiące temu... jakoś pod koniec kwietnia. Przyjechała do miasta na weekend.

Ford wstał. — Dobrze, panie Reynolds. Zajmę się tym i jak tylko się czegoś dowiem, skontaktuję się z panem.

— W porządku — odparł Chris. Nagle spojrzał na trzymaną w ręku figurkę. — Znalazłem to w jej pokoju — powiedział. — Nie mam pojęcia, skąd się tam wzięło.

Ford wziął z jego ręki lafra i obejrzał go.

— Mówi pan, że znalazł to na łodzi?

— Zgadza się.

— A czy pańska przyrodnia siostra gra w szachy?

Chris roześmiał się.

— Żartuje pan?

— Mogę to zatrzymać? — spytał Ford.

— Jasne, bierz pan. A jak pan będzie coś wiedział, to niech mi pan da znać.

Ford oderwał wzrok od figurki.

— Oczywiście — powiedział.

Inspektor Ford spojrzał Mersonowi prosto w oczy i zapytał: — Czy kanasta była jedyną grą, w jaką graliście na łodzi?

Siedząc nerwowo na brzegu fotela, Merson odrzekł: — Nie całkiem rozumiem...

Ford wyjął z kieszeni płaszcza figurę szachową i podał ją Mersonowi.

— Widział pan to kiedyś?

Merson pokręcił głową.

— Jest pan pewien? — zapytał Ford.

— Oczywiście, że tak — odparł rozdrażniony Merson. — Czemu niby miałbym to widzieć?

— Gra pan w szachy?

— Cóż, potrafię grać, ale od wielu lat tego nie robiłem.

— Rozumiem — powiedział Ford.

Merson popatrzył podejrzliwie.

— Panie inspektorze, co mają na celu wszystkie te pytania? — Pokazał na laufra: — Co to ma wspólnego z Billie Reynolds?

— Ta figurka została znaleziona w jej pokoju.

— Wciąż nie rozumiem, co ja mam do tego — rzekł Merson, po czym stanął nagle i popatrzył na Forda. — Czy coś się stało Billie?

— Znikła — odparł krótko Ford.

— Znikła? — powtórzył z niedowierzaniem Merson. — Kto to panu powiedział?

— Jej przyrodni brat.

— Nie miałem pojęcia, że Billie ma brata.

— A jednak ma — zapewnił go Ford. — I gdybym był na pana miejscu, trzymałbym się od niego z daleka.

— Taki mam właśnie zamiar — odrzekł Merson, zaciskając usta.

— Naprawdę, nie jestem w najmniejszym stopniu zainteresowany przyrodnim bratem Billie.

— Tak myślałem — powiedział Ford, uśmiechając się pod nosem.

— Ale on jest zainteresowany panem.

Merson wyraźnie próbował się opanować.

— Co pan ma na myśli?

— Pytał mnie, czy panna Reynolds ma przyjaciela.

Merson wyglądał na zaniepokojonego. — Dobry Boże, nie powiedział mu pan...

— Nic mu nie powiedziałem — przerwał Ford i wytknął w stronę swojego rozmówcy władczy palec. — Ale niech mi będzie wolno pana ostrzec, panie Merson. Jeśli Reynolds spróbuje się z panem skontaktować, niech pan stroni od niego. O ile się nie mylę, to dość paskudny typek.

— Dlaczego pytał, czy Billie ma przyjaciela? — spytał lękliwie Merson.

Wyglądał jak ukrywający się Casanovą w średnim wieku, przerażony grożącym mu skandalem.

— Czy nie jest to dla pana oczywiste? Billie znikła, a on pewnie pomyślał, że przebywa u swojego kochanka.

Merson pokręcił głową. — Nie widziałem się z Billie od dłuższego czasu — powiedział z naciskiem.

— I nie ma pan pojęcia, gdzie może być?

— Najmniejszego.

Ostrożnie dobierając słowa, Ford zapytał jeszcze: — Czy panna Reynolds ma jakichś innych... hm... przyjaciół oprócz pana?

— Naprawdę nie wiem, inspektorze — odparł zimno Merson.

— A czy pożyczał pan jej kiedyś pięćdziesiąt funtów?

— Nie, oczywiście, że nie. Czemu pan pyta?

— To może chciała pożyczyć od pana taką kwotę?

Merson zawahał się.

— No... tak, w rzeczy samej, próbowała... jakiś rok temu.

— I pożyczył jej pan?

— Nie — uciął Merson.

— Od kogo więc pożyczyła te pieniądze?

— Naprawdę nie wiem, inspektorze — mówił rozdrażniony Merson. — Nie byłem z nią wtedy w tak zażyłych stosunkach. Nie wiem nawet, czy w ogóle od kogoś pożyczyła.

— Pożyczyła — zdecydowanie potwierdził Ford i wstał. — Dam panu znać, jeśli czegoś się dowiem. Gdyby zaś Billie skontaktowała się z panem, proszę natychmiast do mnie zatelefonować.

— Dobrze, inspektorze — zgodził się Merson z niezwykłą dla niego potulnością. Dotknął węzła na krawacie. — Czy uważa pan, że są powody do niepokoju...?

— Niepokoju?

— To znaczy... czy uważa pan, że Billie mogło się coś stać?

— A co niby miałyby się jej stać?

Ford przyglądał się Mersonowi badawczo, a ten wzruszył ramionami niezdecydowanie.

— Nie wiem. Ja... zastanawiałem się tylko, to wszystko.

— Na pańskim miejscu nie niepokoiłbym się — uspokoił go Ford. — Odprowadzę pana.

Ford wrócił do pokoju dziennego i opadł na swój ulubiony fotel. Tajemnicza sprawa zdawała się stać w martwym punkcie, daleka od roz-

wiązania. Jeszcze raz zastanowił się nad głównymi jej postaciami: Merson — napuszony i wystraszony; Billie — zginęła bez śladu; Chris Reynolds — antypatyczny twardziel, najwyraźniej goniący za forszą i dziewczynkami; Henderson — nie udzielił ani jednej satysfakcjonującej odpowiedzi na zadawane pytania; Cooper — postać nadal zupełnie nieznaną. Ford wiedział aż nadto dobrze, że jeśli nie pojawi się choć iskierka nadziei na rozwikłanie zagadki, wkrótce będzie miał na głowie oficera Scotland Yardu, z pobłażliwym uśmiechem traktującego z góry wiejskich policjantów.

Odwrócił się i zobaczył wielce umęczonego Rogera w szlafroku i piżamie.

— Hej, o co chodzi? — powitał go ojciec niezbyt przyjaźnie.

— Pić mi się chce — odparł słabym głosem chłopiec.

— Przyniosę ci szklankę wody — powiedział sucho Ford. — Wracaj do łóżka.

— Wolałbym oranżadę, jeśli pozwolisz, tato.

— Nie wątpię, żebyś wolał — rzekł ponuro ojciec. — A do tego kilka lodów czekoladowych.

Roger potulnie spuścił głowę i patrzył na swe kapcie. Potem podniósł wzrok i uśmiechnął się dziwnie rozbrajająco. Sroga mina Forda złagodniała.

— Jak się teraz czujesz, obżartuchu? — spytał z czułością.

— Dziękuję, dużo lepiej.

— To dobrze, ale zmykaj do łóżka.

Roger wpatrywał się intensywnie w figurę szachową leżącą na stole.

— Był tu pan Henderson? — zapytał.

— Nie — odparł ojciec. — Czemu pytasz?

— To jego laufer.

Zdumiony Ford wziął do ręki figurkę.

— Naprawdę?

— Tak — zapewnił go Roger. — Wiele razy grałem z panem Hendersonem w szachy. Znam tę figurę, bo jest na niej rysa wzdłuż lewej ręki.

Inspektor przyjrzał się laufrowi.

— Zgadza się, Roger — powiedział. — Zgadza się...

Pani Williams oznajmiła: — Pan Henderson zaraz wróci. Poszedł tylko do sekretariatu szkoły.

— W porządku. Dziękuję, pani Williams, zaczekam.

— Mogę pana czymś poczęstować?

— Nie, dziękuję.

Nagle coś mu przyszło do głowy.

— Pewnie nie zna pani osoby... dziewczyny... o nazwisku Billie Reynolds?

— Ależ znam. Była u pana Hendersona jakieś dziesięć dni temu.

W każdej sylabie wypowiedzianej przez panią Williams wyraźnie słychać było dezaprobatę.

— Doprawdy? — rzekł uprzejmie Ford. — Czy wie pani, w jakiej sprawie go odwiedziła?

— Niestety, nie — odparła ostrożnie kobieta. — Będzie pan musiał zapytać o to pana Hendersona.

Gospodyni dała jasno do zrozumienia, że nie ma ochoty na bycie wypytywanej przez policję i Ford na tym poprzestał.

Henderson zjawił się z plikiem kopert i kilkoma książkami.

— Witam, inspektorze — rzekł i podał listy pani Williams. — Mogłaby je pani wystać?

Gospodyni wzięła koperty i szybko wyszła, spoglądając przez ramię na inspektora. Była kobietą, która nie lubił wtykać nosa w cudze sprawy i wołała, żeby wszyscy o tym wiedzieli.

Wyczuwając nieco napiętą atmosferę, Henderson uśmiechnął się do gościa i wskazał na krzesło.

— Przygotowywałem sprawozdania — wyjaśnił — a to oznacza zmagania umysłu zbyt wyczerpujące, by mogły być przyjemne.

— Nie doświadcza pan pewnego uczucia władzy, mogąc chwalić lub ganić? — pytał zaciekawiony Ford. — Przecież jest pan w stanie pomóc chłopcom wkroczyć na drogę kariery, ale też może pan na tej drodze stanąć.

— Ta myśl zawsze mnie przeraża — przyznał Henderson. — Pocięszam się tylko, że większość obecnych ludzi wielkiego interesu miało w szkole niepoehlebne świadectwa.

Oparł się w fotelu i jał nabijać fajkę. Potem spytał:

— Co mogę dziś dla pana zrobić, inspektorze?

— Panie Henderson, zna pan młodą kobietę o nazwisku Billie Reynolds? — Jego głos brzmiał poważnie.

— Billie Reynolds? — powtórzył Henderson. — Owszem, znam ją. Ma tu w pobliżu Łódź mieszkalną.

— Zgadza się.

Henderson roześmiał się. — Ma charakterek ta Billie. Mniej więcej rok temu mieliśmy z nią małe kłopoty. Chłopcy zwykli byli kąpać się w rzece, a ona uparła się, żeby do nich dołączyć. Wywołała małą sensację... swoim kostiumem.

— Kiedy ostatnio ją pan widział?

— Jakieś dziesięć dni temu.

— Gdzie?

Henderson westchnął. — Tutaj — odparł i uśmiechnął się pobłażliwie. — Przyszła się ze mną zobaczyć. Czemu to? Cóż, w zeszłym roku dyrektor zabronił chłopcom zbliżać się do rzeki. Billie miała z tego powodu wyrzuty sumienia i obiecała zachowywać się bardziej... er... stosownie, jeśli zakaz zostanie zniesiony. Pewnie miała zamiar kąpać się w czymś, co odsłaniałoby nieco mniej jej ciała.

— Czy to był jedyny powód jej wizyty?

— Z tego co pamiętam, to tak. Skąd to zainteresowanie Billie Reynolds?

— Ona znikła, panie Henderson.

— Cóż, obawiam się, że tu pan jej nie znajdzie.

— A czy pan odwiedzał kiedyś pannę Reynolds?

Henderson potaknął. — Tak... mniej więcej rok temu, przy okazji tamtej afery. Dyrektor posłał mnie na Łódź, żebym z nią porozmawiał. Niestety, niewiele wskórałem.

— I nie zachodził pan tam ostatnio?

— Wielkie nieba! Skądże! Nie byliśmy w aż tak dobrej komitywie, by składać sobie wizyty.

Ford bacznie przyglądał się Hendersonowi. Jego spojrzenie spotkało się z niczym niezmaconą szczerością.

— Czy gra pan w szachy, panie Henderson?

Nauczyciel wyglądał na zaskoczonego.

— Tak. A czemu pan pyta?

— Czy posiada pan szachownicę i figury do gry?

— Owszem.

— Mógłbym je zobaczyć?

Henderson uniósł brwi w pełnym zdumienia rozbawieniu.

— O co właściwie chodzi?

— Czy mogę zobaczyć pańskie szachy? — powtórzył Ford.

— Domyślam się, że ma pan swoje powody.

— Zgadza się.

— Pójdę po nie.

Henderson podszedł do kanapy, skąd przyniósł pudełko z szachami i szachownicę.

— Proszę. Mam także talię kart, chińczyka, domino i bardzo stare warcaby. Chciałby je pan zobaczyć?

Ford otworzył pudełko, wyjął szachy i zaczął ustawiać je na szachownicy.

— Nie, dziękuję panu — odparł sucho.

Henderson przyglądał się, jak inspektor ustawia figury. W końcu znalazły się na planszy wszystkie poza jednym laufrem. Ford spojrzał znad szachownicy.

— Zdaje się, że brakuje jednego laufra, panie Henderson.

— Rzeczywiście — zgodził się gospodarz. — Pewnie leży gdzieś na kanapie.

Ford pokręcił głową i podniósł rękę, żeby go powstrzymać.

— Na kanapie go nie ma, proszę pana.

— Nie ma?

— Nie — odparł cicho Ford i wyjął laufra z kieszeni. — Jest tutaj. Znalaziono go w pokoju Billie Reynolds.

Henderson wyglądał na całkiem spokojnego. Wziął figurę z ręki inspektora i przyglądał się jej przez chwilę.

— Nie sądzę, żeby to był mój laufer — powiedział. — Choć oczywiście jest do niego podobny. Chwileczkę, rozejrzę się.

Podszedł do kanapy i pogrzebał w zawalisku papierów. Po chwili obrócił się, trzymając w ręce figurę. Był to laufer.

— Proszę — rzekł nauczyciel wesoło. — Pewnie wypadł z pudełka.

No i co o tym sądzisz, Bob? — spytał Ford.

Razem z Broderickiem znajdowali się akurat w jego gabinecie.

— Trudno powiedzieć — odparł sierżant. — Henderson oczywiście mógł je podmienić, ale jak, u licha, mamy mu to udowodnić? — Popatrzył na figurkę. — Ostatecznie są pewnie setki sklepów sprzedających takie szachy.

— I w takim przypadku możliwe, że mówił prawdę — stwierdził Ford w zamyśleniu. — Może więc ta jednak do niego nie należy.

— W takim razie Roger się pomylił?

— Cóż, możliwe. Nie jest przecież nieomylny.

Broderick mocno pokręcił głową. — Nie uważam, żeby twój syn się pomylił, Mike, i ty też tak nie uważasz. — Wskazał ręką na laufra. — Powiedział ci o rysie na figurze i ona tam jest. Laufer należy do Hendersona, na pewno...

Broderick odwrócił się, słysząc wejście umundurowanego policjanta.

— Tak, Sanders?

— Niejaki pan Merson chciałby się zobaczyć z inspektorem — oznajmił funkcjonariusz. — Mówi, że to pilne.

Broderick uniósł brwi i spojrzał na Forda, który po chwili wahania skinął szybko głową.

— W porządku, niech wejdzie.

— Merson, he? — rzekł Ford. — Ciekawe, czy był u niego Chris Reynolds.

— Nie zdziwiłbym się — odparł Broderick.

Merson był mocno podenerwowany. Mówił urywanie:

— Przepraszam, że zawracam panu głowę, inspektorze, ale... er... pomyślałem, że może...

Przerwał i popatrzył niepewnie na Brodericka.

— To sierżant Broderick. Spotkaliście się już — przypomniał Ford.

— Oczywiście — przyznał Merson i przeciągnął dłonią po czole. — Przepraszam.

— Co możemy dla pana zrobić? — spytał Ford.

— Otrzymałem to dzisiaj wraz z poranną pocztą — odrzekł Merson. Poszperał w kieszeni i wyjął wielki, tandetny kolczyk.

— Czyje to? — zainteresował się Broderick.

— To jeden z kolczyków Billie.

— Jest pan pewien? — spytał Ford.

— Najzupełniej. Podarowałem jej takie jakiś rok temu.
— I ten tutaj przyszedł dzisiaj pocztą, czy tak?
— Tak. — Merson wyjął z kieszeni niewielką kartkę. — A to było do niego dołączone.
Ford odczytał wiadomość: „Jeśli chcesz drugi, spróbuj na Fallow End”.
— Co to znaczy..., jeśli chcesz drugi”? — zapytał Merson.
— Cóż, prawdopodobnie oznacza to, jeśli chce pan drugi kolczyk — odparł inspektor.
Merson zbladł. — Ach tak.
— Czy pan coś z tego rozumie?
Merson zawahał się przez moment.
— No... tak — odparł w końcu. — W pewnym sensie rozumiem. Widzi pan, gdy tylko pokłóciłem się z Billie, ona zawsze groziła, że od da mi te kolczyki.
Uśmiechnął się dość słabo. I dodał:
— Wie pan, jakie potrafią być kobiety, gdy coś je wytrąci z równowagi.
— A kłóciliście się ostatnio? — dociekał Ford.
— Nie — odparł szybko Merson. — Na pewno nie. Mówiłem panu, nie widziałem się z Billie od wielu dni.
— Myśli pan, że to ona to napisała? — wtrącił się Broderick.
— Nie, z całą pewnością nie.
— Pozwoli pan, że zobaczę kopertę — poprosił Ford i spojrzął na stempel. — Hm... wysłana z Londynu.
Merson zwrócił się do Brodericka:
— Gdzie jest Fallow End? — spytał. — Ta nazwa brzmi dziwnie znajomo.
— To niewielki potok jakieś pięćdziesiąt metrów od Cane Lock — odpowiedział Broderick. — Rzeka zakręca w miejscu zwanym Fallow. Kiedyś miała tam tylko ujście, ale poszerzyli ją parę lat temu.
— To dość daleko od łodzi — zauważył Merson.
— Około siedmiuset metrów, jak sądzę — powiedział Broderick.
— Cóż, dziękujemy bardzo, panie Merson — wtrącił się Ford. — Na teraz to chyba wszystko.

Merson podszedł do drzwi, po czym zawahał się, jakby chciał zadać jeszcze jedno pytanie; ostatecznie zmienił zdanie i wyszedł.

Po jego odejściu Broderick wziął kopertę, przyjrzał się jej uważnie i rzekł poruszony: — Mike, to pismo Hendersona.

— Wiem — odparł cicho Ford.

— O co mu, u diabła, chodzi? Po co wysyłałby...

— Posłuchaj, Bob — przerwał mu inspektor. — Potrzebna mi ekipa poszukiwawcza... kto tylko żyw na posterunku. Chcę, żeby przeszukano rzekę od łodzi Billie do Fallow End.

Broderick wyglądał na nieco zaskoczonego.

— W porządku, Mike, ale wydaje mi się, że to bezcelowe.

— A co ty o tym myślisz?

— Sądzę, że Billie dała po prostu kosza naszemu przyjacielowi — odparł pewnie Broderick. — Założę się, że jest teraz gdzieś w Londynie... być może w jakimś tandetnym hotelu z nowym kochankiem.

— Obyś miał rację — rzekł Ford. — Choć nie wydaje mi się. Moim zdaniem Billie nie żyje i znajdziemy jej ciało w rzece.

— A ja założę się o dziesięć szylingów, że nie — upierał się Broderick.

— Przyjmuję zakład — odparł Ford.

Ford stał na brzegu rzeki, patrząc na ciało Billie Reynolds. Stwierdził, że musiała przebywać w wodzie już od jakiegoś czasu.

Westchnął ciężko. Co za ironia, pomyślał bez związku, że Billie dokonała żywota w rzece, na której pławiła się w takim sybaryckim, acz niezasłużonym luksusie. Za życia Billie Reynolds była twarda, samolubna i wyrachowana; po śmierci stała się zwyczajnie żałosna. Ford widział już śmierć w wielu różnych formach i uważał się za odpornego na wszelki szok. Jednak w przypadku pięknej kobiety zawsze czuł się jakoś inaczej.

Syrena zbliżającego się ambulansu przerwała te rozważania. Billie Reynolds stanowiła teraz tylko kolejną komplikację w sprawie Rocella i kolejny przedmiot dochodzenia dla koronera.

Inspektor Ford i sierżant Broderick w drodze powrotnej na komisariat siedzieli na tylnej kanapie policyjnego wozu. Ciszę przerwał Ford:

— Co miał do powiedzenia o Billie doktor Sheldon?

— Mówił, że przeleżała w wodzie około dziesięciu dni... może nawet więcej — odparł Broderick.

— Około dziesięciu dni temu widział się z nią Henderson — zaznaczył Ford.

— Wiem — odrzekł Broderick i pokręcił głową. — Ale Henderson nie mógł tego zrobić. Jaki motyw mógłby mieć, żeby zamordować Billie Reynolds?

— Bardzo oczywisty — odparł cicho Ford. — Widziała go tej nocy, kiedy wnosił na łódź Rocella.

— Tak, ale...

— Spotkam się z nim jeszcze raz — postanowił nagle Ford — i porozmawiam też z Mersonem. Ty przekaż wiadomość Chrisowi Reynoldsowi.

— Ciekawe, jak to przyjmie?

— A jak sądzisz? — spytał cynicznie Ford. — Pewnie oczy sobie wypłacze.

Pochylił się i zwrócił do kierowcy:

— Z powrotem do Medlow.

Ale to mogło być samobójstwo, inspektorze — upierał się Ralph Merson, nie usiłując nawet ukryć zdenerwowania. — Nie rozumiem tylko, dlaczego jest pan taki pewien, że stało się inaczej. — Rozdrażniony, wzruszył ramionami. — No chyba że ukrywa pan coś przede mną.

— Do popełnienia samobójstwa także potrzebny jest motyw, panie Merson — zauważył Ford.

— Tak, wiem o tym, ale...

— Czy może mi pan podpowiedzieć, co to mógł być za motyw? — poprosił Ford. — Czy może mi pan podsunąć myśl, dlaczego panna Reynolds miała się zabić?

— Inspektorze — jęknął Merson — cała ta sprawa jest dla mnie niezmiernie przykra. Naprawdę nie widzę...

— Rozumiem — zapewnił go spokojnie Ford. — Mimo to, czy zechce pan odpowiedzieć na moje pytanie?

— Nie mam najmniejszego pojęcia, dlaczego miała się zabić — odparł Merson niechętnie. — Z drugiej strony jednak nie widzę powodu, dla którego miała zostać zamordowana.

Dla Forda stało się jasne, że jego rozmówca chciałby się z całej afery wycofać.

— A ten liścik — naciskał Ford — ten, który przyszedł wraz z kolczykiem.

— Co w związku z nim?

— Wciąż nie domyśla się pan, kto mógł go panu przysłać?

— Nie. Ale ten, kto to zrobił, najwyraźniej wiedział, o czym mówi. Wiedział, że Billie nie żyje.

Ford pokiwał głową, dając do zrozumienia, że się z nim zgadza.

— Mówi pan, że od jakiegoś czasu nie widział się z panną Reynolds...?

— Ostatni raz widziałem ją tamtej nocy spędzonej na łodzi — odpowiedział Merson. Wyglądało na to, że owa noc nie przysporzyła mu najlepszych wspomnień. — Wtedy, gdy przywieziono na łódź Włocha.

— Czy panna Reynolds była wtedy wesoła, czy może raczej zdawała się czymś zdenerwowana?

— Wyglądała na nieco niespokojną, jak mi się wydawało — odrzekł z wahaniem Merson. — Choć może to tylko moja wyobraź-

Ford rzekł surowo: — No, panie Merson, czas, aby był pan ze mną absolutnie szczery... Mam nadzieję, że mnie pan zrozumie. Jeśli jest coś, o czym mi pan jeszcze nie powiedział, pora to ujawnić.

— Absolutnie niczego przed panem nie ukryłem — oburzył się Merson. — I zawsze byłem z panem szczery. Gdybym nie przyniósł tamtego liściku i kolczyka, nigdy nie odnalazłby pan ciała.

— To prawda, panie Merson — wymruczał Ford przyjaźnie i odwrócił się, jako że wszedł umundurowany konstabl. — Słucham? Co się stało?

— Przybył mężczyzna, na którego pan czekał, inspektorze.

Ford kiwnął głową.

— Dobrze, Sanders. Zadzwoń, kiedy będę go potrzebował. Czy dotarł już raport doktora Sheldona?

— Nie, panie inspektorze. Jeszcze nie.

— Chcę go otrzymać, jak tylko zostanie dostarczony.

Gdy policjant wyszedł, Merson zapytał z niepokojem: — Czy cała ta sprawa będzie bardzo nagłośniona?

— Pewnie zainteresuje się tym prasa — odparł niedbale Ford.
— Czy pana zdaniem... er... padnie tam moje nazwisko?
Facet jest śmiertelnie przerażony, pomyślał inspektor z niesmakiem. To nauczy go wracać co wieczór do domu i żonki.
— To zależy — odpowiedział wymijająco.
— Od czego?
— Od obrotu spraw...
Postanowił zakończyć rozmowę z Mersonem; jego domowe problemy stały się nagle mało ważne.
— Dziękuję, że pan przyszedł — powiedział. — Konstabl odpro-
wodzi pana do wyjścia.
Nacisnął guzik na biurku i bez najmniejszego zainteresowania spojrzął w okno. Merson zerknął na niego, chciał zacząć coś mówić, ale zmienił zdanie, po czym wyszedł dumny i wyraźnie urażony. Ford popatrzył za nim z pobłażliwym uśmiechem, ale ten uśmiech znikł, gdy tylko do pokoju wszedł Henderson.
— Proszę usiąść — polecił inspektor głosem, który nie zdradzał żadnych emocji.
Henderson patrzył pytająco na Forda, który wpatrywał się uparcie w swój notatnik. Gość usiadł na krześle na wprost biurka.
— Czy wie pan, dlaczego po pana posłałem? — spytał spokojnie Ford.
— Domyślam się, iż chce mi pan zadać jeszcze kilka pytań — bez zakłopotania odparł Henderson. — Zdaje się, że to już pana zwyczaj.
— Czy zna pan mężczyznę o nazwisku Merson... Ralph Merson?
Nauczyciel westchnął i z wolna pokręcił głową. — Nie.
— Czy wysłał mu pan wiadomość wraz z kolczykiem... kolczy-
kiem należącym do Billie Reynolds?
Henderson popatrzył na detektywa niemal współczująco.
— Niech pan nie będzie niemądry — mówił, jakby zwracał się do mułowatego ucznia klasy piątej młodszej. — Przecież dopiero co powiedziałem, że nie znam tego człowieka. A gdybym nawet znał, czemu miałbym wysłać mu kolczyk należący do Billie Reynolds? — Rozłożył ręce w geście bezgranicznego zdumienia. — Co niby miałbym robić z jednym z jej kolczyków?
Ze złowieszczym spokojem Ford oznajmił: — Nie wierzę panu, Henderson. Nie wierzę w ani jedno pańskie słowo.

Henderson podniósł oczy do sufitu, okazując swą desperację.

— Proszę, inspektorze, niech mi pan wreszcie powie, o co w tym wszystkim chodzi?

— Doskonale pan wie, o co w tym wszystkim chodzi — odparł monotonnym głosem Ford. — Wysłał pan Mersonowi liścik. Napisany był pańską ręką. Rzecz tylko w tym, po co pan to zrobił? Czy sądził pan, że w ten sposób rzuci na niego podejrzenie? Czy może wysłał go pan tylko dlatego...

— Powiedziałem już panu, że nie wysyłałem Mersonowi żadnego listu — przerwał mu Henderson z nutą złości w głosie. — I co właściwie ma pan na myśli, mówiąc „rzuci na niego podejrzenie”? Czy coś się stało Billie Reynolds?

— Billie Reynolds nie żyje. Została zamordowana — odpowiedział spokojnie Ford. — Wyłowiliśmy jej ciało z rzeki nie dalej jak trzy godziny temu.

— Ale co się stało? — Nie sposób było nie dostrzec w głosie Hendersona nuty niepokoju. — W jaki sposób ją zamordowano?

— Nie wiemy. Nie dostaliśmy jeszcze raportu doktora Sheldona.

Henderson rozżościł się. — Niepotrzebny panu raport lekarza! Widział pan przecież ciało dziewczyny, nieprawdaż? Co się stało? Jak ją zamordowano?

Zaskoczony nagłym wybuchem Hendersona, inspektor zapytał spokojnie:

— Czy pan może mi odpowiedzieć na któreś z tamtych pytań?

— Co pan sugeruje...? Że ją zamordowałem?

— Dobry Boże, nie!

W tej chwili do pokoju wszedł konstabl Sanders. Trzymał arkusz papieru, który położył na biurku przed inspektorem.

— Raport doktora Sheldona — oznajmił. — Właśnie go dostarczono.

Ford podniósł kartkę i kiwnął do Sandersa głową. Gdy konstabl wychodził, Ford zawołał do niego: — Chwileczkę, Sanders. Ford wpatrywał się w raport przez całe pół minuty.

— A więc co zawiera? Jak została zamordowana? — zapytał Henderson.

Ford zerknął na niego spod przymrużonych powiek i wyraźnie zignorował pytanie. Skończywszy czytać, podniósł wzrok i znów ski-

nał na Sandersa, który stał, patrząc to na jednego mężczyznę, to na drugiego w pełnym szacunku i zdumienia milczeniu.

— Pan Henderson wychodzi, Sanders — oznajmił chłodno Ford.
— Możesz go odprowadzić.

Z komisariatu Henderson udał się szybko do domu Sheldona, gdzie pokojówka Judy powiadomiła go, że doktora nie ma.

— Chyba pojechał do Maidenhead — rzekła. — Nie wiem, kiedy wróci.

— Zaczekam — postanowił Henderson. — Czy jest w domu panna Walters?

— Jeszcze chwilę temu była, proszę pana. Pewnie jest w ogrodzie.

— Cóż, proszę jej nie kłopotać. Niech mi pani tylko powie, jak wróci doktor Sheldon.

— Dobrze, proszę pana.

Judy zdawała się dziwnie nieskora do wyjścia.

— Czy mogę panu coś podać?

— Nie, dziękuję.

Dziewczyna wyszła z pokoju dręczona niezaspokojoną ciekawością.

Henderson przeszedł przez pokój i wyjrzał przez oszklone drzwi do ogrodu. Potem wrócił do telefonu i stał niezdecydowany, spoglądając na aparat.

Podjąwszy w końcu decyzję, wyjął z kieszeni mały notes, sprawdził coś, spojrzął na zegarek i podniósł słuchawkę. Zamawiając rozmowę, bębnił palcami o stolik.

— Poproszę Westwood, dziewięć, cztery, pięć, jeden.

Słyszając wybieranie numeru, spoglądał w stronę wyjścia do ogrodu. Na drugim końcu linii usłyszał: — Tak? — Głos brzmiał zwyczajnie i obojętnie.

— Czy to ty, Cooper? — spytał Henderson.

— Tak, tu Cooper — odpowiedział głos.

— Tu Henderson.

— A, witaj. Spodziewałem się twojego telefonu.

— Słuchaj, Cooper — mówił Henderson z napięciem. — Byłem właśnie u Forda. Znaleźli Billie Reynolds.

— Tak, wiem — odparł Cooper tym samym obojętnym głosem.
— Wiesz? — rzekł Henderson z niedowierzaniem.
— Tak. Miałem do ciebie zatelefonować, ale niestety...
Henderson usłyszał zbliżające się do drzwi kroki.
— Nie mogę teraz mówić — rzucił szybko. — Zadzwoń do ciebie za godzinę.
Odłożył słuchawkę i odwrócił się do oszklonych drzwi akurat w chwili, gdy wchodziła przez nie Katherine Walters. Dziewczyna popatrzyła na niego zaskoczona.
— O, dzień dobry, panie Henderson. Nie wiedziałam, że pan tu jest.
Stała, patrząc na niego, opanowana, zrównoważona i umiarkowanie zaciekawiona.
— Chciałem zobaczyć się z pani stryjem — oznajmił nieprzekonywująco — ale chyba go nie ma.
— Niestety.
— Czy wiadomo pani, kiedy może wrócić?
— Niestety nie. Czy Judy panu nie powiedziała?
Wciąż była chłodna, wyniosła i niegościnna.
— Owszem, ale uparłem się, żeby poczekać.
— Ach, rozumiem. Czy znowu dokucza panu ramię?
— Ależ nie. Z ramieniem wszystko naprawdę już w porządku, dziękuję.
— Cieszy mnie to — rzekła z rezerwą. — Cóż, wybacz pan.
Odwróciła się w stronę drzwi, ale Henderson zatrzymał ją.
— Panno Walters...
— Tak?
— Czy widziała się pani ze stryjem dziś po południu?
— Tak, około godziny temu.
— Czy mówił pani o Billie Reynolds?
— Czy to ta dziewczyna, która znikła? Którą znaleziono w rzece?
— Tak.
Katherine pokiwała głową. — Stryj mówił, że została zamordowana.
— W jaki sposób... czy pani to wie?
Katherine najwyraźniej zaskoczyło to pytanie.
— Nie, obawiam się, że nie — odrzekła chłodno.

— Czy stryj pani nie mówił?
— Doprawdy, panie Henderson — Jej głos brzmiał teraz wyniośle. — Doktor Sheldon nie omawia ze mną przypadków swoich pacjentów.
— Czy zatem panna Reynolds była jego pacjentką?
— Być może, nie jestem pewna. Policyjny lekarz akurat wyjechał, dlatego wezwano mojego stryja... — Ciekawość przewyciężyła oziębłość. — Czy to dlatego chciał się pan zobaczyć ze stryjem? Z powodu tego, co stało się panie Reynolds?
— Tak — spokojnie potwierdził Henderson. — Chciałbym się dowiedzieć, w jaki sposób została zamordowana.
— Czy Billie Reynolds była pańską przyjaciółką?
— Nie.
— Więc czemu tak bardzo się pan nią interesuje?
Henderson uśmiechnął się krótko.
— Z kilku powodów, ale zdradzę pani tylko jeden — ten najważniejszy. Policja uważa, że to ja ją zamordowałem.
— A zrobił pan to? — spytała bez ogródek.
— Nie. Choć może się to wydać dziwne, nie mam w zwyczaju mordować ludzi.
— A zatem czemu policja pana podejrzewa?
— Bo uważają, że to zabójstwo może mieć związek z innym — ze sprawą Paula Rocella.
— Rozumiem — rzekła w zamyśleniu Katherine.
Henderson popatrzył na nią z powątpiewaniem. — Zastanawiam się, czy rzeczywiście pani rozumie, panno Walters.
— Proszę mnie posłuchać, panie Henderson, czy nie pogniewa się pan, jeśli zadam panu pewne pytanie?
— Skądże.
— Pamięta pan dzień, w którym przyszedł pan do mojego stryja z bolącym barkiem?
— Tak?
— Czy ten bark naprawdę pana bolał, czy był to tylko pretekst, żeby tu przyjść?
Henderson pomyślał chwilę.
— To był tylko pretekst — przyznał w końcu. — Wiedziałem, że powiedziała pani o mnie policji i chciałem dobrze się pani przyjrzeć.

— Nie to wtedy usłyszeliśmy — odparowała Katherine. — Mówił pan, że wie, iż ktoś na pana doniósł, ale nie wie kto.

— Nie chciałem wprawić pani w zakłopotanie.

— O, naprawdę? — powiedziała Katherine chłodno.

Patrzyła wprost na niego. Oczywiście miała bardzo niebieskie... i bardzo szczere.

— To pana widziałam tamtego popołudnia, prawda?

— Nie — odparł pewnie. — Nie mnie.

— Ale to był pan — upierała się Katherine. — Widziałam całkiem wyraźnie. Widziałam, jak schodzi pan z łodzi i wsiada do samochodu.

Henderson pokręcił głową. — Przykro mi — rzekł przepaszająco. — Może był to ktoś bardzo do mnie podobny — z pewnością ktoś bardzo podobny — ale zapewniam panią, że to nie byłem ja.

Katherine przez chwilę wpatrywała się w Hendersona, po czym odsunęła się. Jej milczenie grzmiało niewiarą. Niezręczna cisza została przerwana pojawieniem się doktora Sheldona. Zmierzył wzrokiem Hendersona.

— O, witam — powiedział. — Mam nadzieję, że nie czekałeś długo.

— Nie — odrzekł Henderson. — Niezbyt długo...

Sheldon zwrócił się do Katherine:

— Czy dzwoniła siostra Steele?

— Tak. Odebrała Judy. Zostawiła ci wiadomość na biurku.

— Dobrze.

— Napijesz się herbaty, stryju?

— Er... później, Katherine.

Sheldon odstawił torbę z przyborami na kanapę i ponownie spojrział na gościa.

— Byłeś umówiony na wizytę?

— Niestety, nie. Chciałem zobaczyć się z tobą w sprawie Billie Reynolds.

Gdy Sheldon uniósł brwi, Henderson dodał: — Inspektor Ford powiedział mi, że ty badałeś ciało.

— Zgadza się. Zastępuję lekarza policyjnego, gdy go nie ma.

— Jak właściwie zginęła?

— Została zamordowana — odparł spokojnie doktor, spoglądając na Katherine.

— To wiem. Ale w jaki sposób?
— Mówiłeś, że widziałeś się z inspektorem Fordem?
— Tak, właśnie od niego idę. To Ford poinformował mnie o morderstwie.

— Więc czemu nie zapytałeś jego? — spytał bez ogródek Sheldon.

Henderson wzruszył ramionami. — Cóż, pomyślałem, że ty będziesz wiedział lepiej. Jesteś przecież lekarzem.

— No właśnie — odparł Sheldon. — Napisałem raport i obowiązuje mnie tajemnica. Jeśli masz pytania, zadaj je inspektorowi Fordowi.

— Rozumiem. I przepraszam, że zwracałem ci głowę.

Najwyraźniej zaskoczony ciekawością Hendersona, która nie dość, że wydała mu się w złym guście, to jeszcze zupełnie nie pasowała do jego charakteru, Sheldon przyjął przeprosiny raczej oziębłym skinieniem głowy. Zmiana tematu stała się wielce pożądana.

— A propos — powiedział. — Jak tam twój bark?

— Znacznie lepiej, dziękuję — odparł Henderson. — Wróciłem już nawet do tenisa. Twoja maść chyba załatwiła sprawę.

— Tak myślałem.

Gdy Henderson chwilę później wyszedł, Sheldon stał przez chwilę ze zmarszczonym czołem. Zastanawiał się, co spowodowało niezdrowe zainteresowanie jego kolegi śmiercią Billie Reynolds.

9

Pani Williams zmarszczyła z niesmakiem nos, patrząc na Chrisa Reynoldsa rozpartego elegancko w ulubionym fotelu Hendersona. Stała z rękoma na biodrach i przyglądała mu się jak ktoś spozierający z małej odległości na zepsute jajko. Chris był odprężony i cały świat najwyraźniej wcale go nie obchodził; za pomocą kieszonkowego pilnika poprawiał kształt paznokci. Zdaniem pani Williams był odrażający i dosłownie świerbiło ją, żeby mu o tym powiedzieć.

Zastanawiała się ze smutkiem, ku czemu to wszystko zmierza. Była ostatnią osobą, która źle myślałaby o zmarłych, ale jakiś czas temu gościła u pana Hendersona osoba najpewniej taka, na jaką wyglądała, która skończyła jako topielica. A teraz ten młodzieniec o bladej twarzy i z przesadą wysmarowanych brylantyną włosach (które już pozostawiły nieładny ślad na fotelu) czuł się tu jak u siebie w domu, jak najzupełniej swobodnie. Pani Williams westchnęła głośno, a w tym westchnieniu słychać było dezaprobatę i wyraźną niechęć.

— Pan Henderson właśnie przyszedł — oznajmiła lakonicznie.

Chris Reynolds uparł się, żeby pokonać skórkę u paznokcia i dopiero wtedy odpowiedział. Podniósł wzrok i powitał ponure, badawcze spojrzenie gospodyni uśmiechem zwycięzcy.

— A mówiłem pani, że zaraz przyjdzie — powiedział.

— Siedzi pan tu przeszło pół godziny — uświadomiła mu pani Williams, jakby każda sekunda, tego pobytu miała skrócić jej życie.

Henderson wszedł do pokoju i ujrawszy Reynoldsa, zmarł w bezruchu. Gospodyni rzuciła mu znaczące spojrzenie.

— Ten dżentelmen chciał się z panem zobaczyć — obwieściła z miążdżącą pogardą, po czym opuściła pokój.

Każdy jej krok przepełniony był niepohamowanym oburzeniem.

— Kim pan jest? — zapytał gospodarz.
— Pan jest Henderson?
— Tak. Czego pan chce?
Chris wyszczerzył zęby w uśmiechu i wyciągnął rękę.
— Miło mi pana poznać. Reynolds się nazywam. Chris Reynolds.
Henderson nie ruszył się, nie podał mu dłoni.
— Tak? — rzekł chłodno.
Chris pozostał nieczuły na oschłość gospodarza.
— Nazwisko Reynolds nic dla pana nie znaczy?
— Reynolds, tak? — powtórzył Henderson.
— No, kolego. Christopher Hurbert Reynolds. Przyjaciele mówią do mnie Chris.
Zapałił papierosa i zaciągnął się z rozkoszą.
— Czy panna... Billie Reynolds była pana krewną?
— Jasne. Moją siostrą.
— Przepraszam — powiedział Henderson. — Nie wiedziałem. Bardzo mi przykro z powodu pańskiej siostry.
Nonszalanckim gestem Reynolds opędził się od współczucia.
— Smutne, no nie? — stwierdził, choć jego wygląd świadczył o obecności wszelkich uczuć poza smutkiem. — Bardzo, bardzo smutne. Widzisz pan — uderzył w mentorski ton — zawsze mówiłem, że Billie źle skończy. Nie da rady igrać z ogniem, żeby się nie sparzyć, co, panie Henderson? — Uśmiechnął się, ale ów uśmiech nie objął jego oczu. — No nie?
— Czego właściwie pan chce? — spytał Henderson.
Chris strzepnął popiół na dywan i przejechał ręką po przetłuszczonej grzywie.
— Chciałem tylko trochę po przyjacielsku pogawędzić, ot i wszystko. Wiedziałem, że był pan przyjacielem Billie, no to...
— Kto panu powiedział, że byłem przyjacielem pańskiej siostry? — przerwał mu Henderson.
Usiadł na oparciu kanapy i przyglądał się uważnie Reynoldsowi.
— Billie — odparł Chris. — Mówiła o panu bardzo miłe rzeczy. „Pan Henderson jest inny”, mówiła. „To taki dżentelmen”. Lubiła face-tów z prywatnych szkół ta moja siostra. Naprawdę śmieszne...
— To chyba jakaś pomyłka — stwierdził spokojnie Henderson. — Zetknąłem się z pańską siostrą tylko raz, mniej więcej rok temu.

— O, doprawdy? — rzekł Reynolds tonem, jak mu się zdawało, nadzwyczaj ironicznym. — Może pana pamięć nie jest już tak dobra jak kiedyś. Zapomniał pan o jej wizycie tutaj?

— Niby kiedy? — spytał Henderson ostrożnie.

— Może pan mi to powiesz? — odparował uprzejmym głosem Chris.

Podniósł się z fotela i stał twarzą w twarz z Hendersonem, choć na odległość. Jego uśmiech wciąż tkwił na swoim miejscu.

— No, kiedy to było, stary? Jakiś tydzień temu?

— Czy pan przez przypadek nie próbuje mnie szantażować? — spytał niedbale Henderson.

Chris udął przerażenie z powodu podobnej insynuacji.

— Cóż znaczy: szantażować? Co za pomysł! Był pan przyjacielem Billie, panie Henderson, a przyjaciele Billie są moimi przyjaciółmi, rozumiesz pan?

— Zaczynam — uciął Henderson.

— Skoro chce pan wiedzieć — kontynuował wylewnie Reynolds — jestem wobec pana bardzo życzliwie usposobiony; nad wyraz życzliwie.

— Miło mi to słyszeć — odparł Henderson, przyglądając się Chrisowi z mieszaniną rozbawienia i niesmaku. — Miałem do czynienia z takimi typkami już wcześniej. O coś panu chodzi, a ja chcę wiedzieć o co.

— Gra pan w szachy?

Henderson dał susa przez pokój i złapał Reynoldsa za kłapy marynarki. Usta miał zaciśnięte i trzymał Chrisa jak w imadle. Nieproszone gość wytrzeszczył oczy ze strachu.

— Pytałem, o co ci chodzi, Reynolds? — spytał ze złowieszczym spokojem. — No już, mów.

Chris uwolnił się z uścisku Hendersona i wygładził marynarkę. Przybrał na powrót pozę twardziela, a przymilny uśmiech zamienił w szyderczy grymas.

— Powiedzieć ci coś, stary? Moja siostrzyczka pisała pamiętnik, wiesz, śliczny gawędziarski dzienniczek...

Chris zrobił dramatyczną przerwę, żeby jego słowa odniosły lepszy skutek.

— Znalazłem go na dnie starej komody.

Wytknął Hendersona palcem. I dodał:
— Wiesz co, koleś? O tobie też pisze w tym dzienniku, tak samo jak o całej kupie innych ludzi.
— No i?
— Puść wodze fantazji, belferku — rzekł bezczelnie Reynolds.
Henderson przyglądał mu się przez chwilę w zamyśleniu. Chris zapalił kolejnego papierosa, jakby go to wszystko w ogóle nie obchodziło.
— Gdzie jest ten pamiętnik? — spytał nauczyciel.
— Chciałbyś wiedzieć, co? — powiedział Reynolds tonem wielce obraźliwym — Uważasz mnie za frajera? Myślisz, że noszę go przy sobie? Rusz mózgownicą, na rany koguta.
Henderson zachował spokój.
— Mówię poważnie. Gdzie to jest?
— Ile? — szydził Reynolds.
— Nie całkiem rozumiem. Co znaczy „ile”?
— Nie wciskaj mi tu kitu — mówił zjadliwie Chris. — Cholernie dobrze wiesz, co to znaczy. Ten dziennik wart jest kasę... całkiem sporo kasy. No to ile?
Henderson wzruszył ramionami. — Jak mogę ocenić, ile warte jest coś, czego nie widziałem?
Reynolds przyglądał mu się przymrużonymi oczami. Po chwili powiedział: — No dobra, stary. Możesz go sobie obejrzeć dziś wieczorem. Będę czekał na łodzi około siódmej.
— Chwileczkę — odezwał się Henderson pojednawczym głosem.
— Czy ktoś jeszcze widział ten pamiętnik? Pokazywałeś go już komuś?
— Za kogo ty mnie uważasz?
— Na pewno?
— Jasne, że na pewno.
— W porządku — rzekł Henderson spokojnie. — Spotkamy się o siódmej.
Reynolds popatrzył na niego podejrzliwie. — I żadnych numerów, rozumiesz?
— Nie rób z siebie gorszego głupca, niż rzeczywiście jesteś, Reynolds — odciął się Henderson.

Chris wykrzywił usta i patrzył na niego z ukosa. Wskoczy zaraz z jakimś numerem prosto z Hollywood, myślał znudzony nauczyciel. Nie zdziwiłoby go to.

— Nie rób tego więcej, Henderson — zagroził Chris.

— Czego mam nie robić?

Reynolds skulił ramiona z niesmakiem. — Już nigdy nie mów do mnie w ten sposób. Nie lubię tego, koleś. Zawsze byłem na to uczulony.

Jego ręka wsunęła się nagle do kieszeni i wyjął nóż. Ze znanstwem wy dobył z niego ostrze.

— Popełniłeś wielki błąd, belferku.

Henderson doszedł do wniosku, że Christopher Hurbert Reynolds zmęczył go już ponad miarę. Ruszył z niezwykłą szybkością. Jego lewa dłoń zamknęła się na nadgarstku Chrisa i ścisnęła lekko. Reynolds zaczął walczyć i się pocić.

— Powiem ci, na co ja jestem uczulony — oznajmił Henderson tonem niewiele odbiegającym od zwykłej rozmowy. — Jestem uczulony na nierozgarniętych kurdupli z nożami.

Rozluźnił nieco uścisk na przegubie, dodając:

— A teraz odłóż to i nie rób głupstw.

Chris zmierzył przeciwnika ostrożnym spojrzeniem profesjonalisty. Potem schował nóż do kieszeni. Próbował wymyślić odpowiedź, która zatkałaby nauczyciela, ale nie udało mu się znaleźć niczego dość dobrego. Zdecydował się w końcu na: — Okej, belferku, okej...

Otrzeptał marynarkę, wyprostował się, rzucił Hendersonowi ostatnie, pełne jadu spojrzenie i wyszedł. Henderson popatrzył za nim przez chwilę, po czym szybko podszedł do telefonu.

Z nutą ponaglenia w głosie rzekł: — Westwood 9451, poproszę.

10

Inspektor Ford czytał kolejny raport. Jeśli liczba papierów nadal będzie narastać w takim tempie, pomyślał skwaszony, do tej sprawy będzie potrzebny osobny regał. Do pokoju wszedł sierżant Broderick.

— Dzień dobry, Mike — powiedział.

Ford podniósł wzrok znad biurka i chrząknął w odpowiedzi. Broderick patrzył przez chwilę na Forda, próbując odgadnąć jego nastrój.

— Wiedziałaś, że na zewnątrz kręci się młody Craven?

Ford odłożył raport i przytaknął.

— Tak, wiem o tym. Nie zgodziłem się go przyjąć.

— Czemu?

— Bo nie chcę widzieć żadnych dziennikarzy, a młodego Cravena w szczególności. — Popatrzył na Brodericka podejrzliwie, z odrobiną dezaprobaty. — A ty gdzie się podziewałaś przez cały dzień?

— Byłem w Slogh przesłuchać pewną kobietę — odparł spokojnie Broderick.

— No jasne — rzekł Ford głosem przepelnionym ironią. — Mogę wiedzieć, w jakiej sprawie ją przesłuchiwałaś?

— Pewnie. Ta kobieta miała być rzekomo znajomą Billie Reynolds. Okazało się, że nigdy jej nie widziała.

Inspektor uśmiechnął się sardonicznie. — Kto ci o niej powiedział?

— Chris Reynolds — odparł Broderick z niesmakiem.

— Ach — rzekł w zamyśleniu Ford. — Któregoś dnia zrobię temu człowiekowi coś naprawdę brzydkiego. A propos, czy powiedziałaś mu o śmierci siostry?

— Tak. Serca mu to raczej nie złamało. Całkiem jakbym mówił o kimś zupełnie obcym. Nawet nie mrugnął.

— Nie był zaskoczony?

— Nie wyglądało na to. Najwyraźniej dobrze wiedział, że jego siostra kiedyś źle skończy.

— Czarujący młodzieniec — stwierdził ponuro Ford. — Doprawdy czarujący.

— Zastanawiam się, czy czasem nasz przyjaciel Reynolds nie wie o tej sprawie znacznie więcej, niż nam się wydaje...

— Czemu tak mówisz?

Broderick wzruszył ramionami. — Po prostu przeczucie.

— Może i masz rację — stwierdził Ford. — Porozmawiaj z Reynoldsem jeszcze raz. Wpadnij do niego dziś po południu; nie będzie się ciebie spodziewał.

— Nie spodziewał się mnie dziś rano, ale nie zdawał się tym szczególnie przejęty. — Broderick usadowił się na oparciu fotela stojącego na wprost biurka Forda. — A tak przy okazji, czy dzwoniła do ciebie panna Rocello?

— Dzwoniła. Około godziny temu — odparł Ford i popatrzył na zegarek. — Mam się z nią spotkać o szóstej.

— To siostra Paula Rocella — ciągnął Broderick. — Zjawiała się w Medlow dziś po południu. Zatrzymała się chyba w White Hart.

— Wiem — rzekł Ford i rzucił podejrzliwe spojrzenie na swojego partnera. — Ale skąd ty o tym wiesz?

Broderick wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Jestem w końcu detektywem — odparł skromnie. — Prawdę mówiąc, wpadłem na Teda Crawforda, szefa tragarzy. To on zdradził mi tę tajemnicę. Co ona robi w Medlow, Mike?

— Nie mówiła. Powiedziała tylko, kim jest i że chce się ze mną zobaczyć.

Broderick w wielkim skupieniu przyglądał się swoim paznokciom.

— Według Teda to niezła laska.

— Nie wiem, co to ma do rzeczy, sierżancie — rzekł formalnym tonem Ford i spojrzał znacząco na Brodericka. — Panna Rocello będzie tu lada chwila, a przychodzi zobaczyć się ze mną.

Broderick pojął aluzję i uśmiechnął się szeroko. Gdy zbliżał się do drzwi, do pokoju wszedł konstabl Sanders.

— Panna Rocello do pana, inspektorze — oznajmił.

— No dobrze, mam wyjść? — spytał jakby od niechcienia Broderick.

— Nie, możesz zostać. Ale pamiętaj, to spotkanie czysto służbowe, rozumiano?

Broderick wyglądał na zdziwionego. — Co masz na myśli?

— Mam na myśli to — odparł Ford, ostrożnie dobierając słowa — że nie będzie okazji, byś wypróbował swój słynny urok Brodericka, rozumiesz?

— Rozumiem — potulnie zgodził się sierżant.

W tej samej chwili do pokoju wkroczył konstabl Sanders.

— Panna Rocello, inspektorze — zapowiedział.

— Pamiętaj, co ci powiedziałem, Bob — ostrzegł Ford. — W porządku, Sanders, wprowadź ją.

Widok Marii Rocello okazał się dla Forda niemałym szokiem. Wiedząc o Włoszkach niewiele, spodziewał się pękatej, gadatliwej, flejtuchowatej baby o oliwkowej karnacji. Maria Rocello zaś miała dwadzieścia parę lat i nie była ani pękata, ani gadatliwa, ani flejtuchowata, ani nawet śniada. Była wysoka, piękna i zrównoważona. Było w niej coś niemal z Madonny. Miała czarne włosy, prawie śnieżnobiałą twarz, czerwone usta i ciemne, wyraziste oczy. Ford doszedł do wniosku, że sformułowanie Brodericka „niezła laska” całkiem tu odpowiadało; było prawie niemożliwością, by jakiś mężczyzna pozostał nieporuszony widokiem takiej kobiety.

Ford w końcu przemówił:

— Panna Rocello? Jestem inspektor Ford.

Przybyła uśmiechnęła się i wyciągnęła szczupłą, jasną dłoń.

— A to mój asystent, sierżant Broderick.

Głos miała niski, melodyjny i praktycznie bez akcentu:

— Witam panów — powiedziała. — Cieszę się, że zechcieli panowie tak szybko się ze mną spotkać.

— Proszę usiąść — zaproponował Ford.

Poczęstował ją papierosem, ale odmówiła.

Inspektor zajął miejsce za biurkiem. Spostrzegł, że Broderick przygląda się Marii Rocello z tajnym podziwem.

— Mówiła pani przez telefon, że dopiero co przybyła pani z Włoch, panno Rocello.

Skłoniła głowę. Każdy jej ruch przepojony był delikatnością i wdziękiem.

— Tak, wyjechałam z Mediolanu o siódmej rano.

— Dlaczego jednak przyjechała pani do Medlow? — dociekał Ford. — Jeśli chciała pani zasięgnąć informacji, Scotland Yard byłby z pewnością najlepszym miejscem.

— Byłam w Scotland Yardzie. Widziałam się z nadinspektorem Haringayem, który powiedział mi, że to pan prowadzi tę sprawę. — Nagle w jej głosie zabrzmiało napięcie i zatroskanie: — Inspektorze, dlaczego mój brat został zamordowany?

— Niestety, nie wiemy, panno Rocello — odparł Ford — Wciąż prowadzimy dochodzenie.

— Ale przecież musicie mieć jakieś... jakieś... przypuszczenia, dlaczego doszło do tej tragedii — nalegała.

— A czy pani ma jakieś przypuszczenia, dlaczego to się stało? — spytał spokojnie Broderick.

— Nie — odparła od razu. — Kiedy otrzymałam wiadomość, nie mogłam w to uwierzyć. Pomyślałam najpierw, że to jakaś pomyłka.

Ford wpatrywał się w zamyśleniu w swój notatnik. Przerwał w połowie rysowanie statku i zapytał: — Czy może mi pani powiedzieć coś o mężczyźnie nazwiskiem Cooper, panno Rocello? Czy był to dobry znajomy pani brata?

— Zdawało się, że byli przyjaciółmi. Paul przedstawił nas sobie około dwóch lat temu. Czy to prawda, że pan Cooper zniknął?

— Prawda, panno Rocello — wtrącił się Broderick.

Ford popatrzył na Marię, po czym otworzył szufladę w biurku. Wyjął z niej zegarek, który został znaleziony przy zamordowanym mężczyźnie. Przytrzymał go tak, żeby Maria widziała tarczę.

— Panno Rocello, czy zna pani ten przedmiot?

— Ależ oczywiście. To zegarek Paula — odparła bez chwili wahania.

— Z tyłu jest napis — oznajmił Ford.

— Zgadza się. To nasze rodzinne... — zawahała się.

— Motto? — podpowiedział inspektor.

Maria uśmiechnęła się przepaszająco.

— Mój angielski jest zasadniczo całkiem poprawny — tłumaczyła się — ale niekiedy brakuje mi jakiegoś słowa. Poratował mnie pan słowem, którego szukałam. To rzeczywiście nasze rodzinne motto.

— I w tłumaczeniu znaczy ono: „W rzeczy mocno, w sposobie łagodnie” — kontynuował Ford. — Czy tak, panno Rocello?

Maria uśmiechnęła się i skinęła głową. — Dokładnie tak, inspektorze.

Ford siedział przez chwilę, wpatrując się w zegarek. Potem odłożył go na biurko i nachylił się.

— Panno Rocello, czy pani brat wspominał kiedykolwiek człowieka o nazwisku David Henderson?

Maria zmarszczyła czoło. — David Henderson?

— Tak.

— Nie — odrzekła powoli. — Nigdy wcześniej nie słyszałam tego nazwiska.

— Jest pani pewna?

Pokiwała głową ze zdecydowaniem. — Najzupełniej pewna. Kim on jest?

— To nauczyciel w prywatnej szkole w pobliżu Medlow. Uważamy, że może być w jakiś sposób powiązany ze śmiercią pani brata.

— Co to znaczy? — spytała szybko Maria. Tembr jej głosu stracił nieco ze swego spokoju i pięknej modulacji. — Czy on zamordował mojego brata?

— Nie wiemy, kto zamordował pani brata, panno Rocello — przypomniał spokojnie Ford.

— Ale uważacie, że ten Henderson...

— Nie jesteśmy pewni co do roli pana Hendersona — przerwał jej inspektor. — Wciąż prowadzimy śledztwo.

Maria spoglądała to na Forda, to na Brodericka, ale obaj przybrali tępy, oficjalny wyraz twarzy; ich miny nie wyrażały niczego.

— Rozumiem — rzekła cicho.

Wtedy wtrącił się Broderick: — Zapewniam panią, że robimy wszystko, co w naszej mocy. Zależy nam na wykryciu mordercy tak samo jak pani, panno Rocello.

Z wdziękiem skłoniła głowę. — Oczywiście, zdaję sobie z tego sprawę.

— Jak długo zamierza pani pozostać w Medlow? — spytał Ford.

— Dopóki nie dowiem się czegoś konkretnego — odparła stanowczo Maria. — Zostanę, dopóki nie aresztujecie panowie sprawy lub nie uznacie sprawy za zamkniętą.

— Sprawa morderstwa nigdy nie jest zamknięta, jak to pani określiła, dopóki nie aresztuje się mordercy — zauważył inspektor i uśmiechnął się smutno. — Niekiedy trwa to latami. Doprawdy, nie ma powodu, żeby przez cały ten czas była pani w Medlow. Zawsze możemy się z panią skontaktować.

— Zostanę — powiedziała stanowczo. — Przynajmniej na razie.

Ford podniósł się. — Dobrze, panno Rocello. To oczywiście zależy tylko od pani. W razie potrzeby wie pani, gdzie nas szukać. I dziękuję, że pani przysła. Wstała też Maria.

— Dziękuję, inspektorze.

— Gdyby ktoś się z panią skontaktował — kontynuował Ford — proszę mnie natychmiast powiadomić.

— Ale ja nie znam nikogo w Medlow. Czy ma pan na myśli dziennikarzy... reporterów?

— Mam na myśli każdego — odparł Ford. — Ktokolwiek się z panią skontaktuje, proszę mnie zawiadomić.

— Cóż, dobrze, inspektorze — zgodziła się Maria, patrząc niepewnie na Forda.

— Proszę mi uwierzyć, panno Rocello, mam powody, by panią o to prosić.

— Oczywiście — powiedziała.

Uśmiechnęła się do obu mężczyzn i opuściła pokój.

Niedługo później Broderick też wyszedł, a Ford pozostał, bacznie przyglądając się zegarkowi. Jego wskazówki ustawiły się na piętnaście po szóstej.

Wskazówki zegarka Hendersona pokazywały za pięć siódmą, gdy szedł ścieżką prowadzącą do *Shangri-La*. Wydostanie od Chrisa pamiętnika Billie, myślał, może nastreczyć pewnych trudności.

Chris siedział rozparty w fotelu i słuchał radia, strzelając palcami w takt rumby. Łaskawym gestem pokazał Hendersonowi, że ma usiąść.

— Rozgość się, belferku.

Roztaczał wokół siebie aurę służalczej życzliwości, co Henderson uznał za tyleż irytujące, co niepokojące. Może być trudniej, niż się spodziewałem, pomyślał.

Przez chwilę stał i patrzył na Chrisa, którego mina wyrażała wyłącznie dobrą wolę.

— No dalej — odezwał się Reynolds. — Klapnij sobie. — Pchnął przez stół papierośnicę. — Zakurzysz?

— Nie, dziękuję — odparł Henderson.

Pod łokciem Reynoldsa dostrzegł oprawiony w skórę tomik, który uznał za pamiętnik Billie.

— Nie jesteście w nastroju do rozmowy, co? — mówił Chris. Odchylił się do tyłu i przekręcił gałkę radia na baterie, a pokój zatrzęsł się od rumby.

— Chyba wiesz, po co tu przyszedłem, Reynolds.

— Jasne. — Chris pokazał na dziennik. — Przyszedłeś po to.

— Zgadza się — odparł Henderson i wyciągnął rękę. — Wezmę go już, jeśli pozwolisz. Trochę mi się spieszy.

Chris zmrużył oczy. — Zaraz, zaraz, belferku. A co z kasą?

— Z kasą?

— Nie wciskaj mi tu kitu dla szóstoklasistów, stary. Cholernie dobrze wiesz, co mam na myśli. Mówiłem ci, że ten dziennik—tu poklepał go jak dumny posiadacz—jest wart niezłą forszę. Kasa znaczy pieniądze, rozumiesz? No wiesz, szmal, flota, kapusta. Jak myślisz, belferku, ile to jest warte?

— Chyba się pomyliłeś — rzekł spokojnie Henderson.

— Chyba nie. No, zobaczmy. Moim zdaniem jest wart pięćset funtów. To nazywam dobrą, rozsądną ceną. — Zrobił ręką odpowiedni gest. — Ty dajesz mi pięć stów, ja ci daję dziennik. Może być?

Henderson pokręcił głową.

— Przykro mi, Reynolds. Niestety, nie przyszedłem tu kupić pamiętnika. A teraz pozwolisz, że go zabiorę.

Wyciągnął rękę w stronę stołu.

Reynolds zerwał się na równe nogi. Jego dłoń powędrowała do kieszeni i wyciągnął nóż sprężynowy, z którym Henderson zetknął się już wcześniej. Wcisnął guzik i wyskoczyło ostrze.

— Niestety — powiedział — to nie jest dobry pomysł. Nie ma forsy, nie ma dziennika.

Henderson westchnął.

— Wiesz, Reynolds, strasznie głupio się zachowujesz.

— Tak sądzisz?

Chris kołysał lekko nożem w obie strony.

— Tak sądzę — odrzekł Henderson. Przynął się nieco do Reynoldsa z rękami zwieszonymi luźno wzdłuż boków. — Mówiłem ci już, że nie przepadam za młodzieńcami uzbrojonymi w noże.

— „Nie przepadam za młodzieńcami uzbrojonymi w noże” — zaczął przedrzeźniać go Reynolds. — I co mi zrobisz, belferku?

— Już ja wiem, co miałbym ochotę ci zrobić — rzekł spokojnie Henderson. — Chętnie przełożyłbym cię przez kolano i sprzął porządnie.

Nim słowa wybrzmiały do końca, złapał za leżący na stole obrus i rzucił go Reynoldsowi w twarz. W tej samej chwili złapał Chrisa za rękę.

Henderson był szybki, ale nie dość szybki. W chwili starcia ostrze noża przecięło wierzch jego dłoni. Cofnął lewą pięść i umieścił ją prosto w przeponie przeciwnika. Gdy ten zgiął się w pół, kantem prawej dłoni uderzył w jego nadgarstek. Nóż stuknął o podłogę i Henderson postawił na nim stopę.

— Dziennik proszę.

— Ty gnojku! — syknął Reynolds.

Rzucił się na Hendersona ze sprawną ręką. Ten przyjął atak na przedramię, a prawą ręką uderzył napastnika w szczękę. Chris upadł i nie podnosił się.

Henderson wstał, rozcierając knykcie i spoglądając na Reynoldsa. Poczł, jak krew spływa mu po palcach zranionej ręki. Potem podniósł dziennik.

W pokoju dziennym łodzi *Shangri-La* najwyraźniej miała miejsce rozpaczliwa walka. Od przewróconego stołu po porozrzucone krzesła wszystko znajdowało się w stanie dzikiego bałaganu.

Robin Craven nie otrzymał odpowiedzi na swoje pukanie do drzwi, a mimo to wszedł. Stał pośrodku pomieszczenia, rozglądając się dokoła w oszołomieniu. Podskoczył nagle, usłyszawszy za swoimi plecami czyjś głos:

— Dobry wieczór, panie Craven. Co za miła niespodzianka.

Craven obrócił się z wypisaną na twarzy winą. Sierżant Broderick opierał się leniwie o drzwi. Był spokojny, nieco chyba skłonny do kpin i czujny.

— Co pan tu robi? — zapytał Craven.

Broderick uniósł brwi.

— Funkcjonariusze policji prowadzący dochodzenie w sprawie morderstwa nie muszą tłumaczyć się ze swojej obecności w jakimkolwiek miejscu — przypomniał delikatnie Cravenowi. — Pytanie tylko, co pan tu robi?

Przyglądał się dziennikarzowi z umiarkowaną ciekawością.

— Przyszedłem zobaczyć się z Chrisem Reynoldsem — wyjaśnił Craven.

Oczy Brodericka omiotły pokój, odnotowując porzrzucone meble. — To tak jak ja — powiedział. — Dwie głowy, a myśl ta sama. Gdzie jest więc Reynolds?

— Nie wiem. Z pewnością tutaj go nie ma.

— Najwyraźniej nie. — Broderick wskazał na bałagan. — Jak do tego doszło?

— Mnie pan pyta? — rzekł rozdrażniony Craven. — Ja dopiero przyszedłem.

— Był pan umówiony z Reynoldsem?

— Nie.

— To czemu chciał się pan z nim spotkać?

— Piszę artykuł o jego siostrze i chciałem zdobyć pewne informacje.

Broderick porzucił niedbałe zachowanie i przemówił bardziej autorytatywnym tonem:

— Jak dobrze znał pan Billie Reynolds?

— Nie znałem jej... w każdym razie nie na tyle, by z nią rozmawiać.

— Ale musiał ją pan znać — upierał się Broderick. — W końcu obowiązkiem pana jako dziennikarza i lokalnego korespondenta było poznanie wszystkich w okolicy.

— Niemniej jednak, nie znałem jej — odważnie opierał się Craven. — Prawdę mówiąc, widziałem ją tylko dwa razy. Raz na regatach i raz w pubie w Maidenhead.

— Kiedy to było?

- Jakieś dwa tygodnie temu.
- Czy była sama?
- Nie, był z nią mężczyzna. Miejscowy facet, widywałem go już wcześniej.
- Doprawdy? — rzekł zaciekawiony Broderick. — Kto to był?
- Craven uśmiechnął się tajemniczo.
- To był pan, sierzancie.

Telefon dzwonił uparcie, gdy Henderson wbiegł do swojego pokoju. Widać było po nim tłumione podekscytowanie; oddychał szybko. Na prawej ręce miał w pośpiechu zawiniętą, zakrwawioną chusteczkę. Przemierzył pokój dwoma szybkimi krokami i podniósł słuchawkę.

— Halo, kto mówi?

— Tu Cooper — odpowiedział spokojnie głos po drugiej stronie. Brzmiał jak zawsze beztrzesko i beznamiętnie.

Henderson wyjął z kieszeni duży, oprawiony w skórę zeszyt i położył go na stole. — W porządku, Cooper. Mam dziennik. Nie ma się czym przejmować.

— Dobrze. Teraz posłuchaj. Znowu nastąpiła mała komplikacja. Maria Rocello zjawiała się w Anglii i jest w Medlow.

— W Medlow?

— Tak. Zatrzymała się w White Hart.

— Co w związku z tym powinienem twoim zdaniem zrobić?

Nastąpiła krótka przerwa.

— To dość trudne — powiedział w końcu Cooper. — Jutro wyjeżdżam do Liverpoolu.

— Pamiętasz, co proponowałeś? — spytał Henderson.

Cooper był wyraźnie zamyślony.

— Tak — rzekł powoli, a potem bardziej zdecydowanie dodał: — W porządku. Zajmij się nią. Wiesz właściwie, co robić?

— Tak, wiem — odparł Henderson. — Dobranoc, Cooper.

Odłożył słuchawkę i stał przez chwilę, zastanawiając się. Potem wziął do ręki dziennik, schował go w szufladzie biurka i zamknął na klucz. Przekartkował szybko lokalną książkę telefoniczną, złapał za słuchawkę i poprosił o numer hotelu White Hart. Uzyskawszy połączenie, oznajmił, że chce rozmawiać z panną Marią Rocello.

Maria Rocello ostrożnie odłożyła słuchawkę. Rozmowa z Henderso-
nem dała jej wiele do myślenia. Miał, musiała to przyznać, miły głos:
kulturalny i przyjemny dla ucha. Wzruszyła ramionami w wyraźnie
nieangielskim geście. Inspektor Ford życzył sobie być informowanym
o każdej próbie skontaktowania się z nią.

Tak? — zabrzmiał głos Forda.

— Inspektorze — zwróciła się do niego Maria Rocello — właśnie
dzwonił do mnie ten człowiek, którego pan wspominał... David Hen-
derson. Chce się ze mną spotkać.

— Kiedy?

— Dziś wieczorem.

— Gdzie?

— W jego mieszkaniu. Będzie na mnie czekał po dziewiątej.

— Co pani odpowiedziała?

— Spytałam, dlaczego chce się ze mną zobaczyć, a on na to, że
chciałby porozmawiać o moim bracie. Co powinnam zrobić, inspekto-
rze?

Głos Forda docierał do Marii ostro i pewnie:

— Proszę iść na to spotkanie. Proszę zamówić taksówkę i wyjść z
hotelu około dziewiątej.

— Doskonale.

— Jeszcze jedno — dodał Ford. — Jeśli Henderson poczęstuje
panią czymś do picia, pod żadnym pozorem proszę tego nie przyjmować.
Do zobaczenia, panno Rocello.

Maria w zamyśleniu odłożyła słuchawkę.

Zastanawiała się, czy za miłym głosem i swobodnym zachowa-
niem Davida Hendersona kryła się jakaś ponura tajemnica.

Gdy Maria Rocello weszła do pokoju, Henderson spojrzał radośnie,
lecz czujnie. Zdążył się ogolić i przebrać w ciemny garnitur. Maria
przyjrzała mu się ostrożnie i stwierdziła, że wprawdzie z pewnymi za-
strzeżeniami, ale podoba się jej. Zauważyła, że na prawej dłoni ma
przyklejony plaster.

Podszedł do niej z wyciągniętą ręką.

— Niezwykle miło z pani strony, że zechciała pani przyjść, panno
Rocello.

Najwyraźniej usiłował sprawić, by poczuła się swobodniej.

— Jestem niezmiernie wdzięczny — zapewnił ją.

Tracąc nagle pewność siebie, Maria odrzekła: — Mówił pan przez telefon, że chce pan powiedzieć mi coś o... moim bracie.

Henderson uśmiechnął się. Zęby, jak zauważyła Maria, miał nadzwyczaj białe i równe.

— To prawda — potwierdził. — Proszę spocząć.

Maria usiadła we wskazanym przez gospodarza fotelu i nie przedstawiała obserwować go ukradkiem. On zaś mówił dalej tym samym niedbałym tonem:

— Mój telefon pewnie nieco panią zaskoczył.

— Rzeczywiście. Nie pamiętam, by Paul — mój brat — kiedykolwiek o panu wspominał.

— Tak też myślałem — rzekł Henderson i przerwał na chwilę. — Było mi bardzo przykro, gdy usłyszałem o Paulu. To był okropny szok dla nas wszystkich.

— Wszystkich? — powtórzyła Maria z zaciekawieniem.

— Tych, którzy go znali.

— A jak dobrze pan go znał, panie Henderson?

— Poznaliśmy się tuż po wojnie w Wenecji. Spędziłem we Włoszech cztery lata. A... z jakiej części kraju pani pochodzi, panno Rocello?

— Z Florencji.

— Ach, Florencja! — rzekł Henderson z entuzjazmem. — Co to Shelley mówił o... ?

— Panie Henderson — przerwała mu Maria. — Skąd pan wiedział, że jestem w Medlow? Skąd pan wiedział, że zatrzymałam się w White Hart?

Henderson uśmiechnął się dość tajemniczo. To zirytowało nieco Marię. Z jakiegoś powodu, którego sama nie potrafiła dokładnie określić, czuła, że ten człowiek próbuje się nią bawić. Mężczyzna odwrócił się do kredensu i otworzył drzwiczki, za którymi Maria dostrzegła kilka butelek i kieliszki.

— Powiedział mi pan nazwiskiem Craven — wyjaśnił Henderson. — Jest dziennikarzem, więc zna wszystkie miejscowe ploteczki.

— Ciekawe, czemu pan Craven miałby myśleć, że jestem obiektem plotek — rzekła chłodno Maria.

Henderson wzruszył ramionami.

— Wie pani, jacy są ci reporterzy — powiedział swobodnie.

Wyjął z kredensu karafkę i napełniał kieliszek.

— Czy to ten człowiek, który napisał artykuł „Kto zabił pletwonurka?”, ten o moim bracie i hrabim Paragi?

Henderson przytaknął. — Ten sam. Nieco wścibski młodzieniec, ale dość utalentowany na swój dziwny sposób.

Henderson odwrócił się i Maria zobaczyła, że trzyma w dłoniach dwa pełne kieliszki.

— Napije się pani sherry, prawda?

— Nie... — odparła z wahaniem. — Nie, dziękuję...

— Ależ proszę! — rzekł Henderson przymilnie i podał jej kieliszek. — Jak długo zamierza pani zostać w Medlow?

— To zależy.

— Od czego?

— Od... paru rzeczy.

Nastąpiła krótka chwila milczenia. Maria popatrzyła na bladożółty płyn w kieliszku i odstawiła go na mały stolik obok fotela. Ciszę przerwał Henderson:

— Panno Rocello, proszę mnie poprawić, jeśli się mylę. Przybyła pani do Anglii z dwóch powodów. Po pierwsze, chce się pani dowiedzieć, dlaczego zamordowano pani brata.

— Czy to takie niezwykle?

— Ależ skąd.

Henderson uniósł drugi palec prawej dłoni.

— Po drugie, ponieważ chce się pani dowiedzieć, kto go zamordował.

— Nie myli się pan. To są właśnie powody, dla których przyjechałam do Anglii — potwierdziła Maria.

— Może się to wydać dziwne — przyznał Henderson — ale mogę odpowiedzieć na oba te pytania.

— Doprawdy? — rzekła z napięciem.

— Tak.

Henderson uśmiechnął się do Marii, w geście toastu uniósł swój kieliszek i wziął łyk sherry.

— Ale pani nie pije swojego sherry, panno Rocello. Jest całkiem niezłe... Naprawdę polecam.

Maria spojrzała na stojący na stoliku kieliszek.

— Czy pogniewa się pan, jeśli nie wypiję? — spytała przeprasza-
jąco. — Obawiam się, że nie przepadam za sherry.

— Tak mi przykro — rzekł ze skruchą Henderson i znów pod-
szedł do kredensu. — Może coś innego? Mam butelkę campari...

Maria pozostała niewzruszona.

— Dziękuję, na nic nie mam ochoty.

— Jest pani pewna?

— Najzupełniej.

— No cóż... — Henderson wziął kolejny łyk wina i spytał: — Czy
po moim telefonie rozmawiała pani z inspektorem Fordem?

— Z inspektorem Fordem? A kim jest inspektor Ford?

Jej głos brzmiał nieprzekonywająco nawet dla niej samej.

— To ten, z którym widziała się pani dziś o osiemnastej.

— Przykro mi, ale nie wiem, o czym pan mówi — odparła Maria
chłodno. — Nie znam nikogo o nazwisku Ford.

Henderson uśmiechnął się delikatnie i spojrzał na nietknięty kie-
liszek Marii. Podniósł go i krytycznym okiem obejrzał pod światło.

— Chyba szkoda, żeby się zmarnowało — zauważył i wypił wino
z widocznym zadowoleniem. A potem spojrzał na Marię wyraz
nie rozbawiony. — Chyba nie myślała pani, że próbowałem panią
otruć?

Maria wydała z siebie krótki, wstydlivy śmiech.

— Nie, nie, oczywiście, że nie.

Twarz Hendersona spoważniała.

— Panno Rocello — zaczął. — Może mi pani nie uwierzy, ale by-
łem bardzo dobrym przyjacielem pani brata. Z tego też powodu za-
mierzam dać pani pewną radę. Mam nadzieję, że uzna ją pani za do-
brą radę.

— Słucham? — rzekła zimo.

— Chciałbym zaproponować, żeby natychmiast wróciła pani do
Włoch.

— Czemu niby miałabym to zrobić?

— Ponieważ nie ma powodu, by została pani tutaj.

— Wręcz przeciwnie. Uważam, że mam bardzo ważny powód, by
zostać. Chcę wiedzieć, dlaczego zamordowano mojego brata i kto to
zrobił. Gdy się dowiem, wrócę do Włoch, nie wcześniej.

— Rozumiem — rzeki poważnie Henderson, okręcając nóżkę trzymanego kieliszka. — A jeśli odpowiem na oba te pytania, czy wróci pani do domu jutro rano?

— Panie Henderson — powiedziała Maria z zaskakującą bystrością — jeśli wie pan, kto zamordował mojego brata, dlaczego nie zawiadomi pan policji?

Henderson nie odpowiedział. Zamiast tego zapytał: — Naprawdę zamierza pani zostać w Medlow?

Maria skinęła głową. — Jak najbardziej. Mówiłam inspektorowi...

— Tak? Co takiego powiedziała pani inspektorowi?

Wściekła na samą siebie, że dała się podejść i wygadała się, iż była u Forda, Maria zacisnęła usta i nie odpowiedziała.

— No, proszę mi powiedzieć, co mówiła pani inspektorowi — rzekł niedbale Henderson.

Oczy Marii błyszczały buntowniczo.

— Powiedziałam, że mam szczerzy zamiar zostać tu, dopóki sprawa nie zostanie rozwiązana lub zamknięta.

— Rozumiem.

Henderson zachował spokój. Przeszedł przez pokój do biurka i kluczem otworzył szufladę. Wyjął album fotograficzny i przewrócił kilka kartek. Potem wyciągnął jedno ze zdjęć i przyjrzał mu się uważnie, po czym podał Marii.

— Na tej fotografii widać dwie osoby — powiedział. — Proszę mi powiedzieć, kim są.

Jego głos nie był już swobodny; brzmiał teraz sucho i stanowczo.

Nieco zaskoczona nagłą zmianą w zachowaniu Hendersona, Maria popatrzyła na zdjęcie.

— Jeden mężczyzna to mój brat — oznajmiła od razu — zaś drugi to mój narzeczony, Carlo Marissa.

— Kiedy zrobiono to zdjęcie?

— Około dwóch lat temu.

— Gdzie?

— W Sorrento, przed hotelem Excelsior.

— Kto je zrobił?

Przesłuchanie Hendersona było uprzejme, lecz kategoryczne.

— Ja.

Henderson odwrócił fotografię i przeczytał informację na odwrocie.

— Piątka z plusem, panno Rocello. Jak na razie radzi sobie pani bardzo dobrze.

Wyjął z albumu drugie zdjęcie i pokazał Marii.

— Ale skąd ma pan te fotografie? — spytała chwilowo nie zawstydzona Maria. — To album mojego brata.

— Tak — odparł Henderson. — A teraz to. Kim jest ta pani?

— Moją ciotką.

— A gdzie zrobiono zdjęcie?

— W Rzymie, przed willą ciotki.

— Kiedy?

— Jakiś rok temu.

Henderson schował fotografie i zamknął album.

— Dziękuję — powiedział grzecznie.

— Ale co to znaczy? — spytała szybko Maria. — O co w tym wszystkim chodzi?

— Musiałem się upewnić, panno Rocello.

— Upewnić się co do czego?

— Co do pani tożsamości.

Henderson podszedł do telefonu i zamówił międzymiastową. Stał ze słuchawką przy uchu, lekko bębniąc palcami w stół.

— Panie Henderson, kim pan jest? — domagała się odpowiedzi Maria. — Co łączyło pana z moim bratem?

Henderson popatrzył na nią, ale nie odpowiedział.

— Z Liverpoolem, proszę. Hogarth 3701. Chcę rozmawiać bezpośrednio z Jamesem Cooperem. Dzwonię z Medlow 18.

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie — przypomniała Maria w miarę spokojnym głosem. — Kim pan jest? Kim jest Cooper, do którego pan dzwoni?

— James Cooper jest moim przyjacielem — odparł Henderson.

— Pośród wielu innych zalet posiada rzadką zdolność przekonywania.

— Uśmiechnął się krótko. — Sądzę, że nakłoni panią do powrotu do Włoch, panno Rocello.

Inspektor Ford i doktor Sheldon siedzieli razem w pokoju Forda. Omawiali raport z sekcji zwłok Billie Reynolds.

— Nadal nie rozumiem — rzekł Ford, stukając cybuchem fajki w leżącą przed nim kartkę ze sprawozdaniem. — Jak może być pan tak pewien, że śmierć została spowodowana uduszeniem. — Zmarszczył brwi. — To prawda, że na szyi miała wyraźne ślady, ale ciało leżało w wodzie przez tydzień, a może dłużej. Czy w związku z tym nie jest prawdopodobne, że...

— Ślady na szyi zostały spowodowane przez kogoś, kto złapał dziewczynę za szyję i dusił ją — przerwał Sheldon, nieco rozdrażniony. — Mogę wymienić tu mnóstwo długich słów, zabawić się w wielce medyczne gadulstwo, ale fakt pozostaje faktem, że...

— ...została uduszona — wtrącił pojednawczo Ford.

— Właśnie — z cierpliwością potwierdził lekarz.

— Proszę nie myśleć, doktorze, że chcę uprzykrzyć panu życie, ale mój przełożony, nadinspektor Harringay, stwierdził, że pański raport jest za mało szczegółowy.

Sheldon westchnął.

— Powinienem był wiedzieć. Wasz etatowy lekarz miał rację. Pod koniec rozmowy ostrzegał mnie: „Proszę pamiętać, kolego, nie będą zadowoleni, dopóki nie użyje pan całego mnóstwa dziwnych wyrażań”. — Uśmiechnął się pobłaźliwie do Forda. — Z całym szacunkiem dla wyższych rangą policjantów, ale prawdopodobnie nie znalazłby oni znaczenia przynajmniej jednej czwartej z tych długich słów. Prawdę mówiąc, sam nie wiem, co znaczy większość z nich.

Ford uśmiechnął się szeroko do Sheldona.

— W porządku, doktorze — powiedział — wygrał pan.

— Przy okazji — zmienił temat lekarz — nie wiem, czy powinienem panu o tym mówić, ale był u mnie Henderson.

— Kiedy? — spytał szybko inspektor.

— Wczoraj po południu. Wiedział o morderstwie Billie Reynolds i chciał się dowiedzieć, jak to się stało.

— Jak to się stało?

— Tak, chciał poznać przyczynę śmierci.

— I powiedział mu pan?

— Powiedziałem mu tylko, że została zamordowana. Dodałem, że jeśli chce uzyskać jakieś bliższe informacje, powinien porozmawiać z panem.

— Dziękuję — rzekł spokojnie Ford.

— Postąpiłem chyba właściwie?
— Z całą pewnością.
— Zdaje mi się, że Henderson był czymś dosyć podenerwowany
— kontynuował Sheldon. — Wyglądało wręcz na to, że... — Zawahał się i przerwał, gdy do pokoju wszedł Broderick.
— Tak, doktorze? — zachęcił Ford.
Sheldon pokręcił głową. — Nie mogę dać się ponieść wyobraźni
— stwierdził. Złapał swoją torbę i szykował się do wyjścia. — Rzecz tylko w tym, że... cóż, znam Hendersona już dość długo i lubię go. Wydaje mi się, że Katherine także go polubiła... co, delikatnie mówiąc, może nieco skomplikować sprawę.
— Chyba nie rozumiem, co pan ma na myśli — przyznał się Ford.
— Nie? — rzekł ze smutkiem Sheldon. — Mam na myśli to, że jeśli aresztuje pan Hendersona za morderstwo Paula Rocella, Katherine będzie pańskim koronnym świadkiem.
— Na razie za nic go jeszcze nie aresztowaliśmy — odparł nieco ostrzej Ford.
— Er... nie, oczywiście, że nie — przepaszająco wydukał doktor. Popatrzył na Forda, na Brodericka i znów na Forda. — Cóż, do widzenia, inspektorze. Wie pan, gdzie mnie można znaleźć...
Gdy Sheldon wyszedł, odezwał się Broderick:
— Co go gryzie? Czemu mówił o Hendersonie?
— Henderson był się z nim zobaczyć. Najwyraźniej interesował go raport. — Ford zmarszczył czoło zaintrygowany. — Nie rozumiem tego, Bob. Gdyby Henderson był odpowiedzialny za morderstwo, czy choćby weń zamieszany, musiałby wiedzieć, jaką śmiercią zginęła Billie Reynolds.
— Pewnie wiedział — stwierdził cynicznie Broderick — i próbował tylko zamydlić nam oczy.
— Hm... możliwe... No dobrze. Widziałeś się z panną Rocello?
Broderick przytaknął. — Tak, rozmawiałem z nią. Mam dla ciebie ciekawą wiadomość. Jutro rano leci do Włoch.
— Jutro rano? — powtórzył zaskoczony Ford.
— Zgadza się.
— Ale jeszcze wczoraj upierała się, żeby zostać. Przecież nawet sugerowałem, że powinna wrócić, a ona...
— Wczoraj to było wczoraj — rzeki Broderick.

Usadowił się na oparciu fotela naprzeciwko biurka i zapalił papierosa.

— Dziś rano była zupełnie inną dziewczyną — dodał.

— Co masz na myśli?

— Widziałeś ją wczoraj. Była spięta i przejęta. Dziś zachowuje się całkiem inaczej... Nic ją nie obchodzi. Trudno uwierzyć, że to ta sama kobieta.

Ford podniósł się i stał za biurkiem, patrząc na Brodericka.

— Ale skąd ta nagła zmiana?

— Nie mam pojęcia.

— To cholernie dziwne — stwierdził zamyślony Ford. — Nie próbowała ci niczego wyjaśnić? Nie wspomniała, czemu zmieniła zdanie?

— Ani słówkiem — odparł Broderick z pobłażliwą miną człowieka, który posiada wszechstronną wiedzę o kobietach.

Uśmiechnął się nagle szeroko i zuchwale, dodając:

— Ale usłyszałem niezły komplement na twój temat. — Rozłożył ręce w cudzoziemskim, jak mu się zdawało, geście. — Oznajmiła mi, że zrobiłaś na niej wieceelkie wrażenie.

Ford nie przestał się martwić.

— O co tu, u licha, chodzi? — pytał w rozdrażnieniu. — Zmieniła się od wczorajszego wieczora... od spotkania z Hendersonem.

Broderick porzucił swoją nonszalancję.

— Zgadza się — rzekł.

— Co się stało wczoraj wieczorem?

— Mówiłem ci, Mike.

— No to powiedz jeszcze raz.

— Poszła na spotkanie z Hendersonem, tak jak ustaliliśmy. Była u niego mniej więcej pół godziny. Gdy wyszła, czekaliśmy na nią i zawieźliśmy do White Hart. Wyglądała na nieco podekscytowaną, jak mi się zdawało, ale była jakby bardziej małowówna... z pewnością inna niż wcześniej. — Broderick nachylił się i zgasił papierosa w popielnicy na biurku Forda. — Zapytałem ją, jak poszło, a ona oznajmiła, że Henderson powiedział tylko, iż był przyjacielem jej brata i spytał, czy może jakoś pomóc w czasie jej pobytu w Medlow. I na tym koniec.

— Przede wszystkim, skąd Henderson wiedział, że Maria Rocello jest w Medlow?

— Najpewniej powiedział mu młody Craven... przynajmniej tak twierdzi panna Rocello. Znasz Cravena, wszędzie musi wetknąć ten swój długi nos.

Ford pogłaskał się po brodzie. — Czy ona twoim zdaniem ufa Hendersonowi? — spytał.

— Najzupełniej — rzekł z naciskiem Broderick. — Podejrzewałem to wczoraj wieczorem, a dziś wiem na pewno.

— Myślisz, że Henderson nakłonił ją do wyjazdu?

— Tak.

— Chciałbym z nią jeszcze porozmawiać — powiedział Ford. — Nie pozwól jej wyjechać z Medlow, zanim się ze mną nie spotka.

— Zadzwoń do niej.

Do pokoju wszedł konstabl Sanders, niosąc kopertę.

— Do pana, inspektorze — oznajmił, podając ją Fordowi. — Od pana Staceya Boyda.

Ford wyjął z koperty kartkę, przeczytał list i zmarszczył czoło.

— Kolejny problem? — spytał Broderick.

Ford podniósł wzrok. — Pamiętasz ten liścik, który Ralph Merson otrzymał wraz z kolczykiem?

— Tak. Ten napisany ręką Hendersona.

Ford zastukał w otrzymany list.

— Otóż to, Bob. Widać to jednak nie jest pismo Hendersona.

— Ale przecież było — upierał się Broderick. — Do licha, sprawdziliśmy to na wszelkie możliwe sposoby. To jest to samo pismo, które widzieliśmy w zeszycie Rogera i na liściku, który dostał Craven.

Ford pokręcił głową.

— Nie ma mowy, Bob. Nie według Staceya Boyda, a to on jest biegłym. Twierdzi, że liścik Cravena i uwagi w zeszycie były napisane ręką Hendersona. Ale liścik do Mersona to podróbka — dobra, niemniej jednak podróbka tego samego pisma.

— Ale to niemożliwe — rzeki z niedowierzaniem Broderick. — Boyd musiał się pomylić.

— Cóż, jeśli pomylił się przy tym, mógł też pomylić się przy innych. — Ford spojrział na list raz jeszcze, po czym puknął weń palcem. — Ale jakoś nie wydaje mi się, żeby to było możliwe...

Z pośpiechem, jakiego nauczyło go długoletnie doświadczenie, Robin Craven postawił nogę za progiem pokoju Marii Rocello, gdy tylko ta otworzyła drzwi. Przyglądała się tej nieco nieprzyjemnej postaci dość podejrzliwie. Z całą pewnością nie leży w zwyczaju młodych mężczyzn wdzieranie się do pokoi angielskich hoteli. Jednak pan Craven nie był w najmniejszym stopniu zmieszany.

— Proszę mi wybaczyć, że panią niepokoję, panno Rocello — przeprosił gładko. — Jestem dziennikarzem — moje nazwisko Robin Craven — korespondent lokalny dziennika „Daily News”. Czy ze chciałaby pani łaskawie poświęcić mi kilka minut?

Raczej niechętnie, Maria jednak zgodziła się go przyjąć.

— A więc, czego pan chce?

Craven postanowił użyć swego czaru.

— Myśli pani: „Kim jest ten pomyłony intruz? Czemu nie pilnuje własnego nosa?”. Nieprawdaż?

— W ogóle o panu nie myślałam — odparła Maria z obojętnością, choć wcale wobec tej sytuacji obojętna nie była. — Pytałam, czego pan chce.

Craven rozłożył ręce w teatralnym geście. — Rzecz jasna, jeśli jest pani zajęta, przyjdę później. — Uśmiechnął się przymilnie. — Proszę mi wierzyć, pani interes bardzo leży mi na sercu.

Maria zmiękała nieco.

— Jeśli ma pan jakieś pytania, lepiej niech zadaje pan teraz.

Uśmiech Cravena wyrażał teraz szczyt samozadowolenia.

— Panno Rocello, przybyła pani do Medlow zaledwie wczoraj, a już jutro rano wraca pani do Włoch. Dlaczego?

— Przepraszam, ale chyba pana nie rozumiem.

Craven uśmiechał się uparcie. — Skąd tak krótka wizyta? Czy osiągnęła już pani cel, w jakim tu przyjechała? Maria popatrzyła na dziennikarza podejrzliwie.

— Skąd pan wie, że wyjeżdżam jutro rano?

— Zarezerwowała pani miejsce w samolocie startującym jutro z londyńskiego lotniska o dziesiątej trzydzieści — odparł Craven z protekcyjną nonszalancją.

— Wygląda na to, że jest pan dobrze poinformowany, panie Craven — stwierdziła chłodno Maria.

Dziennikarz wyprostował się dumnie. — Cóż, staram się — rzekł skromnie. — Jednak nie jestem poinformowany tak dobrze, jak sam bym chciał.

Zaczął z wolna spacerować po pokoju, to w jedną, to w drugą stronę. Nagle dodał:

— Napisałem artykuł o pani bracie, wie pani.

— Tak, wiem. Czytałam go.

— Otóż w tym artykule padło stwierdzenie, że pani brat był wielkim przyjacielem hrabiego Paragi.

— Co w związku z tym?

— Wczoraj rano — kontynuował Craven oszczędnym tonem — „The Globe” — wymówił tytuł gazety, jakby wspominał ubogiego krewnego — z niejasnych powodów ośmielił się temu stwierdzeniu zaprzeczyć. Autorzy piszą, iż pani brat i hrabia Paragi byli zaledwie znajomymi z czasów wojny. Na potwierdzenie swoich słów zacytowali niedawne oświadczenie, jakoby autorstwa samego hrabiego.

— A więc?

— A więc chciałbym wyjaśnić tę sprawę — odparł gorliwie. — Czy rację mam ja, czy słynny „Globe”? Czy pani brat był przyjacielem hrabiego Paragi, czy też nie...?

Przypatrywał się Marii z zagadkową dobroduszością.

— Tak czy inaczej, nie uważam, by miało to wielkie znaczenie — odparła obojętnie Maria.

— Och, ależ myli się pani — upierał się Craven. — To niezmiernie istotne. Morderca pani brata musiał mieć motyw. Podobnie jak parę innych osób, chciałbym się dowiedzieć, jaki to motyw.

— I pomoże w tym panu wiedza, czy hrabia Paragi był przyjacielem mojego brata?

Craven zastanowił się chwilę, po czym powiedział wolno: — Tak, uważam, że może mi pomóc.

— Obawiam się, że nie mogę odpowiedzieć na pana pytanie — oznajmiła Maria.

Tym razem uśmiech Cravena zaprawiony był złośliwością.

— Nie może pani czy nie chce?

— Nie mogę — odparła z prostotą Maria. — Ponieważ nie znam odpowiedzi. Mój brat miał własnych przyjaciół. Czy należał do nich hrabia Paragi — nie wiem.

- Czy spotkała pani kiedyś hrabiego?
- Raz, około roku temu.
- Gdzie?
- W Genui.

No, już trochę lepiej, pomyślał Craven, odpowiada już nieco chętniej. Zawsze szczylił się swymi uprzejmymi, acz przekonywającymi metodami przeprowadzania wywiadów. Postanowił poznać więcej szczegółów i miał właśnie sformułować kolejne pytanie, gdy zadzwonił telefon.

— Czy to pani brat przedstawił pani hrabiego? — spytał, gdy Maria odwróciła się i miała podnieść słuchawkę.

— Nie pamiętam, kto nas sobie przedstawił — odpowiedziała z irytacją. — A teraz, wybaczy pan...

W słuchawce, kiedy ją podniosła, zabrzmiał głos Brodericka, radosny i pewny siebie:

— Tu sierżant Broderick. Inspektor Ford chciałby się jeszcze z panią zobaczyć przed wyjazdem. Czy mogłaby pani zajrzeć na komisariat dziś wieczorem?

Maria zawahała się. — O osiemnastej czterdzieści mam pociąg do Londynu i nie chciałabym...

— To doskonale, panno Rocello — przerwał jej Broderick. — Proszę przyjść o osiemnastej, a ja odwiozę panią na stację. Bez problemu zdąży pani na pociąg.

— Dobrze, sierżancie. Dziękuję.

Broderick był wyraźnie zadowolony.

— To ja pani dziękuję, panno Rocello.

I rozłączył się.

Craven ponowił atak.

— Mówiliśmy o hrabim Paragi — przypomniał Marii. — Miała mi pani właśnie powiedzieć, kto go pani przedstawił?

— Nie pamiętam — odrzekła Maria cierpko. — To było na pewnym party. Przykro mi, panie Craven, ale nic więcej nie mogę już panu powiedzieć.

— Ależ nie odpowiedziała pani na moje pytanie — zaprotestował dziennikarz tonem delikatnie karcącym, lecz bez najmniejszych oznak zniecierpliwienia. — Czemu tak szybko wraca pani do domu?

Maria uświadomiła sobie, że nie ma sensu złościć się na Robina Cravena. W zgodzie ze swoją naturą, będzie kontynuował te niezmorowane, bezczelne spytki, aż cały artykuł będzie zaplanowany i przemyślany do ostatniej sylaby.

— Chciałam się upewnić, że wasza policja dokłada wszelkich starań, by znaleźć mordercę mego brata — odparła z raczej niezwykłą otwartością.

Craven przyjął jej oświadczenie za dobrą monetę.

— I czuje się pani usatysfakcjonowana?

— Absolutnie. Widziałam się z inspektorem Fordem i... jestem zadowolona.

Dziennikarz uczynił jakiś mały gest.

— Jaka szkoda, że pani do mnie nie zatelefonowała. Mógłbym zaoszczędzić pani podróży.

— Co to ma znaczyć?

Craven wzruszył ramionami z przesadą.

— Powiedziałbym pani — odrzekł nad wyraz łaskawie — że nasza policja jest doskonała.

Katherine Walters nanosiła właśnie ostatnie poprawia na swój projekt. Pracowała szybko i zrecznie, ze szkiełkami na kolanach. Co kilka minut przechylała głowę na bok i oceniała swe dzieło. Mógłby to być, myślała, jeden z jej najlepszych rysunków, gdyby tylko zdołała poświęcić mu całą swą uwagę. Jednak jej myśli wędrowały nieustannie do morderstwa Paula Rocella, do inspektora Forda i — raczej wbrew jej woli, acz nieustępliwie — do Davida Hendersona. Oceniając powierzchowność, był przystojny, czarujący i uprzejmy. Faktem jednak pozostawało, że najzupełniej serio podejrzewano go o powiązania z morderstwem Paula Rocella i Billie Reynolds, i wyglądało na to, że robił wszystko, co w jego mocy, by zamydlić oczy wymiarowi sprawiedliwości. Żwawo pokręciła głowę, jakby chciała pozbyć się myśli o wszystkim, co nie związane z projektowaniem mody, znów wzięła do ręki ołówek i jeszcze raz spróbowała skupić się na

Doktor Sheldon wszedł do pokoju ze znużoną miną człowieka, który przez cały czas wykonywał wyjątkowo niewdzięczną pracę. Postawił swoją torbę na stole.

— Witaj, Katherine — zawołał.
— Dzień dobry. Jesteś chyba trochę zmęczony. Miałaś ciężki dzień, stryju?
— Rzeczywiście — odparł Sheldon i stłumił ziewnięcie.
— Obawiam się, że to jeszcze nie koniec — rzekła Katherine ze współczuciem. — W gabinecie czeka pan Hobson.
— Wiem. Judy mi powiedziała. — Popatrzył na rysunek Katherine. — Co to niby ma być?
— A na co wygląda?
— Na jakiś płaszcz.
Katherine roześmiała się.
— To jest płaszcz — odrzekła. — To pierwszy mój szkic, który udało ci się rozpoznać. Któryś z nas wyraźnie robi postępy. Co powiesz na filiżankę herbaty?
— Tego mi właśnie trzeba — rozmarzył się Sheldon. — Ale chyba lepiej najpierw zobaczę starego Hobsona — może tym razem jest naprawdę chory.
— Nigdy nie wiadomo, chociaż wygląda dobrze, jak zawsze.
Sheldon westchnął kolejny raz.
— Ale miałem dzień, Katherine. Prawie dwie godziny spędziłem u Forda. Będę w siódmym niebie, gdy wreszcie wróci Jennings.
— Co miał ci do powiedzenia inspektor?
— Niewiele. — Sheldon zmarszczył lekko brwi. — Strasznie trudno mi go wyczuć.
— Czy wciąż podejrzewa Davida Hendersona? — Głos Katherine brzmiał niepewnie nawet dla niej samej.
— Tak, tak sędzę — odparł doktor po krótkim namyśle. — A propos, podobno siostra Rocella jest w Medlow i wczoraj wieczorem widziała się z Hendersonem.
— Kto ci to powiedział?
— Słyszałem, jak Ford rozmawiał z Broderickiem.
Katherine zmieniła temat: — Widziałam dziś w porannej gazecie coś o jakimś Harringayu ze Scotland Yardu.
— Ach, tak.
— Ale myślałam, że to Ford prowadzi tę sprawę.
— Bo tak jest, ale Ford jest podwładnym Harringaya. — Sheldon skrzywił się. — To właśnie Harringay miał zastrzeżenia do mojego ra-

portu... Ten dureń stwierdził, że jest nie dość szczegółowy. Ja przecież nigdy nie miałem zostać lekarzem policyjnym. — Spojrzał na zegarek i westchnął. — No, chyba lepiej obejrzę starego Hobsona. Pewnie kaszle jak zawsze.

— Nie, kaszel mu już mija — powiedziała Katherine.

— Doprawdy?

— O tak. Już prawie wyzdrowiał, jak twierdzi.

— A więc co tym razem?

— Rwa kulszowa.

Sheldon jeszcze raz westchnął, wziął torbę i ruszył do gabinetu, wyraźnie pochylony ze zmęczenia.

Ledwo wyszedł z pokoju, gdy zjawiła się Judy.

— Pan Craven chciałby się z panią zobaczyć, jeśli może mu panią poświęcić kilka minut.

— Poproś go, niech wejdzie, Judy.

Katherine odłożyła szkicownik na stolik obok kanapy tak, by go nie było widać.

— Jak miło panią widzieć, panno Walters — powitał ją Craven wylewnie.

Katherine odpowiedziała krótko:

— Jeśli chce pan widzieć stryja, jest...

— Ależ to z panią chcę się widzieć — przerwał Craven.

— O — mruknęła Katherine bez entuzjazmu.

— Chciałem tylko poprosić panią o pewną radę.

— Radę?

— Cóż, pewnie źle się wyraziłem, mówiąc „rada” — rzekł niejasno gość. — Chciałbym po prostu, żeby coś pani dla mnie zrobiła... to znaczy, jeśli to możliwe.

— Co niby miałabym dla pana zrobić?

— Zakładam, iż mówi pani po włosku, nieprawdaż? — spytał Craven.

— Owszem, mówię. Czemu?

Craven uśmiechnął się konspiracyjnie. — Ach, w takim razie to nie będzie trudne.

— Czemuż to?

Zauważyła, że coraz trudniej było jej uprzejmie się zachowywać.

Niczym magik wyczarowujący królika z kapelusza, Craven wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki kawałek listowego papieru.

— Na tej kartce napisane jest coś po włosku. Byłbym wdzięczny, gdyby pani to dla mnie przetłumaczyła.

Katherine patrzyła na kartkę bezgranicznie zdziwiona.

— Musi pani odczytać to w lustrze — wyjaśnił Craven.

Dziewczyna popatrzyła ostro na dziennikarza. Potem, uległszy ciekawości, podeszła do wiszącego na ścianie lustra.

— A więc? Co tam jest napisane?

Katherine odczytała powoli: — „Był dla mnie bardzo miły i uważam to za... er... zrządzenie losu, że tu przyjechałam. Czuję się o niebo lepiej, niż się spodziewałam”. Chyba się nie pomyliłam.

— Doskonale — rzekł Craven, zapisując w pośpiechu to, co odczytała Katherine. — Czy jest coś jeszcze?

— Tak — odparła Katherine. — „Wyjaśnię ci dlaczego, kiedy... się spotkamy”. To wszystko.

Odwróciła się i stanęła przodem do Cravena.

— Kto to napisał? Czemu poprosił mnie pan o przetłumaczenie?

— Dostał to jeden z moich znajomych — odparł gładko dziennikarz. — Zgubił gdzieś oryginał.

Po twarzy Katherine było widać, że nie wierzy w ani jedno jego słowo.

— Niezmiernie miło z pani strony, że zechciała się pani poświęcić. Jestem naprawdę wdzięczny. Proszę przekazać ukłony stryjowi.

Posłał jej jeszcze jeden uśmiech lizusa i szybko schował do kieszeni swój notatnik. Prawdę mówiąc, tak bardzo zależało mu na jak najszybszym opuszczeniu mieszkania doktora, że Katherine od razu utwierdziła się w przekonaniu, iż przetłumaczona wiadomość ma coś wspólnego z pisanym przez niego artykułem.

Stanęła przy oknie i popatrzyła, jak dziennikarz spieszy w dół ulicy. Na rogu, nie obejrawszy się ani razu dokoła, wszedł prosto do budki telefonicznej.

Maria Rocello znajdowała się w swoim pokoju w White Hart w Medlow i pakowała rzeczy, przygotowując się do wyjazdu do Włoch. Przerwała, trzymając w ręce złożoną sukienkę, którą miała właśnie włożyć do walizki, bo ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę! — zawołała.
Ułożyła suknię w walizce i odwróciwszy się, zobaczyła jakąś kobietę. To była Katherine Walters.
— Panna Rocello? — spytała przybyła.
— Taaak — odparła powoli Maria.
— Przepraszam, że pani przeszkadzam — powiedziała Katherine — ale czy mogłaby mi pani poświęcić kilka minut? Bardzo zależy mi na rozmowie.
Maria zamknęła walizkę. — Kim pani jest? — spytała ostrożnie.
— Dziennikarką? Bo jeśli...
— Nie jestem dziennikarką — zapewniła ją Katherine. — Nazywam się Katherine Walters. Mieszkam obecnie w Medlow u mojego stryja, doktora Sheldona.
— Proszę nie myśleć, że chcę być nieuprzejma, ale mam spotkanie o szóstej.
— To, co mam do powiedzenia, nie zajmie dużo czasu.
Maria patrzyła na nią niepewnie.
— Myślę, że wysłuchanie mnie leży w pani interesie, panno Rocello — kontynuowała Katherine poważnym tonem. — Podobnie jak w moim.
— Dobrze, panno Walters.
— Panno Rocello — rzekła Katherine. — Zadam pani raczej dziwne pytanie, ale mam ku temu bardzo ważny powód. Czy napisała pani dziś rano list?
— No cóż, owszem, napisałam.
— Do kogo był ten list?
— Do mojego narzeczonego — odparła Maria. — Jest teraz w Paryżu i chciałam go powiadomić, że... — przerwała nagle, rozzłoszczona. — Co pani do tego, czy napisałam jakiś list?
— Był dziś u mnie mężczyzna nazwiskiem Robin Craven — odparła Katherine. — Wiedział, że znam włoski, więc poprosił mnie, bym coś przetłumaczyła.
— No i? — ponagliła zdezorientowana Maria. — Co to ma wspólnego ze mną?
— Słowa, które miałam przetłumaczyć — mówiła powoli Katherine — zapisane były na kawałku papieru listowego. Mam wrażenie, że został on wzięty z pani biurka

Spojrzała w stronę niewielkiego sekretarzyka stojącego w rogu pokoju.

Maria szybko podeszła do biurka i przyjrzała się blokowi papieru. Zauważyła, że kawałek kartki został oderwany.

— Co znajdowało się na tamtym skrawku papieru? — spytała podenerwowana Maria.

— Proszę się nie martwić — uspokoiła ją Katherine. — Pan Craven nie był tak sprytny, jak mu się zdawało... albo nie miał szczęścia. Przeczytałam tylko: „Był dla mnie bardzo miły i uważam to za zrządzenie losu, że tu przyjechałam. Czuję się znacznie lepiej. Wyjaśnię Ci wszystko, kiedy się spotkamy”.

Marii wyraźnie ulżyło. — Czy to wszystko? — spytała.

— Tak, to wszystko.

Maria z wdziękiem skłoniła głowę. — Dziękuję, że mi pani powiedziała.

Katherine jednak nadal mówiła poważnie:

— Proszę nie myśleć, że jestem nieznośnie wścibska, ale kogo miała pani na myśli, pisząc „był dla mnie bardzo miły”?

— Miałam na myśli kogoś, kogo poznałam, będąc tutaj — odparła Maria.

— Czy to David Henderson? — zaryzykowała Katherine.

— A co pani wie o Davidzie Hendersonie? — odpowiedziała pytaniem Maria.

— Wiem, że w każdej chwili może zostać aresztowany — rzekła Katherine. — Zaś ja będę świadkiem... co więcej, świadkiem koronnym.

— O czym pani mówi?

— Mówię o tym, że widziałam Hendersona w dniu, w którym zamordowano pani brata — oznajmiła panna Walters. — Widziałam, jak schodzi z łodzi.

— David Henderson?

Katherine potaknęła. — Właśnie on.

— Na pewno się pani myli — rzekła Maria z niedowierzaniem.

— Chciałabym, ale to wykluczone.

Przez chwilę na ustach Marii błąkał się słaby uśmiech i popatrzyła na Katherine.

— Poznałam Davida Hendersona wczoraj wieczorem — powiedziała. — Jakoś nie odniosłam wrażenia, że mógł zamordować mojego brata.

— Czy to do niego odnosiła się pani w liście? — powtórzyła pytanie Katherine.

— Tak — odparła Maria. Nikły, tajemniczy uśmiech nie zniknął z jej twarzy. — Czy teraz ja mogę zadać pytanie pani, panno Walters? To dość osobiste pytanie.

— Tak?

Maria z uwagą wypowiadała każde pojedyncze słowo:

— Czy pani jest w nim zakochana?

Katherine roześmiała się, jednak w tym śmiechu słychać było nutę zażenowania.

— Wielkie nieba, skąd! Widziałam go tylko dwa razy.

Panna Rocello zaś rzekła: — A co to ma do rzeczy?

11

Inspektor Michael Ford siedział za biurkiem i pisał raport. Przerывał od czasu do czasu, by pokrząpić się łykiem herbaty z filiżanki.

Zmarszczone czoło i pełen skupienia wyraz twarzy mówiły, że pisanie długich, szczegółowych sprawozdań nie przychodziło mu łatwo. Wieczne pióro w wielkiej dłoni wydawało się dziwnie słabe i tępe. Mimo to jego pismo było drobne i schludne, dobór słów wzorcowo jasny i poprawny.

Szukał właśnie w myślach odpowiedniego wyrażenia, gdy przeszkodziło mu równoczesne dzwonicie telefonu i pojawienie się Brodericka.

— Przyszła panna Rocello — oznajmił sierżant.

Ford sięgnął po słuchawkę. — W porządku, zaraz się z nią zobaczę. Halo?

Po drugiej stronie zabrzmiał mocny, wesoły głos: — Czy to inspektor Ford?

— Słucham.

— Na pewno inspektor Ford?

— Tak — zirytował się Ford. — Czego pan chce?

Rozmówca roześmiał się.

— Widzę, że dalej jesteś pyskаты. Cięty jak zawsze!

Ford popatrzył groźnie na słuchawkę. Dowcipniś po drugiej stronie linii najwyraźniej wybrał zły numer dla swoich żartów.

— Co za diabeł mówi? — zawołał.

— Głos z przeszłości — usłyszał. — Harry Vincent.

Nachmurzone spojrzenie Forda natychmiast znikło, a jego twarz przepołowiał szeroki uśmiech szczęśliwości.

— Harry Vincent! — wykrzyknął zdumiony. — No, no... Skąd, u licha, dzwonicz, Harry?

— Z budki w Hanley, jadę na północ. Chyba powinniśmy zjeść razem kolację przez wzgląd na dawne czasy.

— No jasne — zgodził się z entuzjazmem Ford.

— Będę u ciebie w biurze za jakieś pół godziny.

Odkładając słuchawkę, Ford wciąż uśmiechał się radośnie.

— To Harry Vincent — oznajmił Broderickowi. — Miałeś okazję go poznać?

Broderick pokręcił głową. — Często słyszałem, jak o nim mówisz, ale nigdy się z nim nie spotkałem.

— Świetny chłop z tego Harry'ego. Kiedyś byliśmy dobrymi przyjaciółmi.

— Odszedł już na emeryturę, prawda?

— Zgadza się. Diabelna szkoda, naprawdę, miał właśnie awansować.

— I co się stało?

— Serce mu zaczęło szwankować. Musiał zwijać manatki.

— A co teraz robi?

— Licho go wie. Ktoś mówił, że pracuje dla jakiejś firmy. — Ford ułożył papiery w zgrabny stosik na biurku. — Teraz lepiej spotkam się już z panną Rocello — orzekł.

Broderick wytknął głowę przez drzwi.

— Proszę wejść, panno Rocello — powiedział.

Maria weszła do pokoju i patrzyła na Forda i Brodericka najzupełniej opanowana. Inspektor od razu przeszedł do rzeczy:

— Sierżant Broderick mówił mi, że niemal natychmiast wraca pani do Włoch.

Maria skinęła głową. — To prawda, inspektorze. Widzi pan, posłuchałam pańskiej rady.

— Jeszcze wczoraj po południu nie była pani taka chętna, by ją przyjąć — kontynuował Ford. — Twierdziła pani, że zamierza zostać tu aż do rozwiązania sprawy.

— Wiem — odparła ze swobodą Maria. — Zmieniłam zdanie.

— Czemu? — pytał bez ogródek Ford.

Maria wzruszyła ramionami. — Kobiety często zmieniają zdanie, wie pan... — odparła zalotnie.

— Jestem tego świadom — rzekł sucho Ford — mimo to chciałbym wiedzieć, co skłoniło panią do zmiany decyzji o wyjeździe.

— Przemyslałam wszystko od nowa — mówiła niedbale Maria — i doszłam do wniosku, że nic tu po mnie. Nie ma żadnego rozsądnego powodu, żebym została.

Ford przechylił się nad biurkiem. — Ową decyzję podjęła pani po wizycie u Davida Hendersona — stwierdził.

Maria kiwnęła głową. — To prawda — przyznała. — Jednak nie była ona wynikiem rozmowy z panem Hendersonem.

— Trudno mi w to uwierzyć.

— Przykro mi — rzekła Maria z absolutnym spokojem — ale tak właśnie było... — Wstała, szybko i z gracją. — Niestety, muszę już iść. Uśmiechając się do Forda, wyszła z pokoju. Inspektor popatrzył na Brodericka i uderzył pięścią w biurko, aż huknęło.

— Może byś coś zrobił, Casanovo? — powiedział kwaśno.

Kto tym razem? — zapytała siebie pani Williams, podchodząc do drzwi.

Od czasu przesłuchania w sprawie morderstwa, pana Hendersona odwiedzali ludzie dziwnego pokroju. Niektórzy z nich wprawiali ją w zakłopotanie; nie należeli do kręgów, z którymi zwykle przedstawiali dżentelmeni tacy jak jej chlebodawca.

Otworzyła drzwi i zobaczyła poprawnie ubranego mężczyznę w średnim wieku, po którym dość wyraźnie widać było zdenerwowanie. Mówił raczej uprzejmie i wyglądał na przedstawiciela jakiejś porządnej profesji. No, to już przynajmniej było coś.

— Pan Merson do pana — obwieściła Hendersonowi.

— Ach tak, dziękuję, pani Williams. Proszę go wprowadzić.

Gość szybko wszedł do pokoju. Był wyraźnie niespokojny. Poczekał, aż pani Williams zamknie drzwi, i dopiero wtedy zaszczycił Hendersona niechętnym i podejrzliwym spojrzeniem.

— Pan Merson? — rzekł gospodarz, podnosząc się z fotela.

— Tak — odparł agresywnie przybyły.

— Nazywam się David Henderson. Dobrze, że zechciał pan przyjść. Może pan usiądzie?

— Raczej postoję — odpowiedział wrogo Merson. Pomachał Hendersonowi kawałkiem papieru. — Może będzie pan tak dobry i powie mi, co znaczy ten list?

— Zdawało mi się, że to oczywiste — odparł łagodnie Henderson. — To znaczy, że chcę z panem porozmawiać.

— Porozmawiać o czym?

— O pewnej pani nazwiskiem Reynolds — o paninie Billie Reynolds.

Henderson bacznie obserwował swojego gościa. Ten zaś wzdygnął się wyraźnie, ale szybko się pozbierał.

— Nie znam nikogo o tym nazwisku — oznajmił.

— Czyżby? — Henderson uśmiechnął się do Mersona. — Musi pan mieć bardzo krótką pamięć. W czwartek piątego lipca zabrał pan pannę Reynolds do Londynu. W piątek trzeciego sierpnia przyjechał pan do Brighton i spotkał się z nią w hotelu Grand Central. Przebywaliście tam do wtorku siódmego sierpnia.

Poruszony Merson gryzł dolną wargę. Nerwowy tik wykrzywił mu lewy policzek i zdradził zdenerwowanie. Na zaciśniętych na oparciu fotela dłoniach pobiełały knykcie.

— Zdaje się, iż jest pan zadziwiająco dobrze poinformowany — stwierdził tonem nie pozbawionym sarkazmu.

— Mam w tym swój cel — odparł chłodno Henderson.

Merson szybko tracił panowanie nad sobą.

— Nie radzę tracić cierpliwości, panie Merson — rzekł nauczyciel lekko karcącym tonem. Nagle jego głos stał się pewny i władczy: — Chcę czegoś od pana, i to teraz — warknął.

— Czegóż to pan ode mnie chce? — głos Mersona stracił na bojowość.

— Informacji.

— Na jaki temat?

— Po pierwsze — mówił Henderson już spokojniej, beznamiętnym głosem — jak nazywała pana panna Reynolds? Czy mówiła do pana po imieniu, czy używała jakiegoś zdrobnienia?

Merson odrzucił głowę do tyłu.

— Co to pana, u diabła, obchodzi, jak zwracała się do mnie Billie Reynolds?

— Zadałem pytanie, panie Merson.

Nie było wątpliwości, że Henderson oczekuje natychmiastowej, prawdziwej odpowiedzi.

— Może się ono wydać dziwne — dodał — ale zapewniam, że ma wielkie znaczenie. Jak nazywała pana Billie Reynolds?

— Skoro musi pan wiedzieć — odparł nadąsany Merson — mówiła do mnie Dandy. — Gwałtownym ruchem uniósł podbródek i wbił w Hendersona wrogie spojrzenie. — A jeśli chce pan wiedzieć, czemu mówiła do mnie Dandy...

Henderson podniósł dłoń.

— Nie chcę — rzekł spokojnie. — Odpowiedział pan na moje pytanie i to mi wystarczy...

Zdawało się, że w Mersonie wypalił się już cały ogień. Opadł na oparcie kanapy.

— Pan znał odpowiedź, prawda? — spytał cicho.

— Wiedziałem, że panna Reynolds była przyjaciółką kogoś, kogo nazywała Dandy, ale nie byłem pewien, kto to był. Teraz już mam tę pewność.

— No dobrze, więc to byłem ja — rzekł Merson, a w jego głosie brzmiało zmęczenie i rezygnacja. — Ma pan jeszcze jakieś pytania?

— Owszem.

Henderson podszedł do biurka i wziął do ręki pamiętnik.

— Widzi pan to? — spytał.

— Tak. Co to jest?

— Dziennik. Należał do Billie Reynolds.

Merson wpatrywał się w pamiętnik jak zaczarowany.

— Dziennik Billie! — wykrzyknął. — Mój Boże...

— Jest tu mnóstwo interesujących informacji, panie Merson — kontynuował życzliwym tonem Henderson. — Między innymi liczne odniesienia do dżentelmena nazywanego „R”.

— To znaczy literą „R”?

Henderson potaknął. — Zgadza się.

Otworzył dziennik i przewrócił kilka kartek.

— O, proszę... „R. przyszedł do mnie tuż po zapadnięciu zmroku. Chciałabym nie czuć do niego tego, co czuję. Sama nie wiem, czy mogę mu ufać.”

Henderson posłał Mersonowi ostre spojrzenie.

— Czy wie pan, o kim była mowa?

— Nie mam pojęcia — odrzekł Merson.

Jego starania, by zachowywać się swobodnie, spełzły na niczym.

Henderson kontynuował nieustępliwie:

— Czy panna Reynolds kiedykolwiek wspominała przy panu o kimś, kogo imię lub nazwisko — przypuszczalnie jednak imię — zaczynało się na literę „R”?

Merson pokręcił głową.

— Nikogo takiego sobie nie przypominam.

— Jest pan pewien?

— Oczywiście, że tak — odparł rozdrażniony Merson, nieustannie zwilżając językiem usta. W końcu, wyraźnie spięty, zapytał: — Skąd pan wziął ten dziennik?

— Dostałem go od dżentelmena o nazwisku Chris Reynolds — objaśnił Henderson. — Rozstawał się z nim nieco... er... niechętnie, ale w końcu mi go dał.

— I co zamierza pan z nim zrobić? — spytał Merson lękliwie.

— Zamierzam go zatrzymać — odparł Henderson i dodał: — Na razie.

Oparł się wygodnie w fotelu i przyglądał się swojemu gościowi całkowicie opanowany.

— Niech pan posłucha, Henderson — rzekł Merson. — Bądźmy ze sobą zupełnie szczerzy.

— Bardzo chętnie — padło w odpowiedzi.

— W dzienniku jest też mowa o mnie. Jestem tego pewien.

— To prawda — zgodził się Henderson. — Jest pan w nim wspomniany.

Merson rzekł ponuro: — Dam panu za niego dwa tysiące funtów.

Henderson uniósł brwi. — Dwa tysiące funtów? — Pokręcił głową, ganiąc propozycję. — Hola, panie Merson. Myślałem, że jest wart znacznie więcej.

Ford przeszedł przez pokój z wyciągniętą ręką.

— No, Harry — rzekł ciepło. — Jak miło cię widzieć.

Harry Vincent, a właściwie były inspektor Harry Vincent, był człowiekiem około pięćdziesiątki, średniego wzrostu, ze skłonnością do tycia — choć jego tęgość mogła być zwodnicza, jako że nadwagę miał

raczej niewielką. Był zupełnie różny od stereotypowego wizerunku policjanta; równie dobrze mógł być kierownikiem banku, agentem ubezpieczeniowym czy komiwojażerem. Należał do ludzi, którzy ginęli w tłumie i pozostawali niezauważeni, co w jego zawodzie było cechą nader pożądaną.

Dwaj mężczyźni podali sobie ręce.

— Dawno się nie widzieliśmy, Mike — stwierdził Vincent. — Za długo.

— Dobrze wyglądasz, Harry — zauważył Ford. — Jakby cię cały ten świat nie obchodził.

— Tego bym nie powiedział — rzekł gość. — Ty też nieźle wyglądasz, Mike. A jak tam Roger?

— W porządku. Uczy się teraz w Liceum Rockingham, wiesz... dostał stypendium.

— Tak, słyszałem. Widać odziedziczył inteligencję po swoim starszku.

— Na pewno — zgodził się Ford. — Ale co tam u ciebie, Harry? Co ostatnio porabiasz? Jak to jest być emerytem?

Vincent jakby zbył to pytanie.

— Wygląda na to, że ostatnio piszą o tobie w gazetach, Mike.

— Na to wygląda — odparł kwaśno Ford. — Pracujemy teraz nad dość poważną sprawą. Ale nie mówmy o pracy. Co ty teraz robisz?

— Przez pół roku byłem za granicą.

— Szczęściarz z ciebie — stwierdził Ford. — Na wakacjach?

— Tak to miało wyglądać — odparł wymijająco Vincent.

— A jak twoje serce? Wciąż ci dokucza?

— Nie dokuczało mi nigdy — padła zaskakująca odpowiedź. Vincent z całą pewnością siebie poklepał się po klatce piersiowej. — Zawsze było zdrowe.

— Ale zdawało mi się, że odszedłeś na emeryturę z powodu chorego serca.

— Tak wszyscy mieli myśleć — przyznał szczerze Vincent.

Ford wpatrywał się w niego w oszołomieniu, zaś Vincent mówił dalej: — Prawdę mówiąc, Mike, przyjechałem z Londynu specjalnie, żeby się z tobą zobaczyć.

— Żeby się ze mną zobaczyć? — powtórzył Ford.

— Zgadza się. W mojej drodze na północ.

— Tak mówiłeś — rzeki powoli inspektor i obdarzył przyjaciela przenikliwym spojrzeniem. — O co w tym wszystkim chodzi, Harry? Co się dzieje?

— Nic się nie dzieje — mówił Vincent wciąż tym samym niedballym głosem — poza tym, że mam dla ciebie jedną, może dwie niespodzianki.

— Po ostatnich kilku tygodniach nic nie jest w stanie szczególnie mnie zaskoczyć. A o jakich niespodziankach mówisz?

— Wybawię cię z twoich kłopotów, Mike — odparł Vincent. — A więc po pierwsze, nigdy nie chorowałem na serce i wcale nie odszedłem na emeryturę.

— Nie? — zdumiał się Ford. — Ale przecież odszedłeś. Do licha, urządziliśmy ci przecież pożegnalną kolację! Sam wygłaszałem moją!

— Na pewno tego nie zapomnę.

— Podarowaliśmy ci srebrną tacę — obstawał przy swoim Ford. — Cała była pokryta naszymi podpisami...

— Wiem — rzekł ze skrucą Vincent. — Zawsze miałem lekkie wyrzuty sumienia z powodu tej tacki.

— Zaraz, Harry, o co tu właściwie chodzi? Mówisz poważnie?

Vincent kiwnął głową. — Najzupełniej — odparł.

— Ale skoro nie odszedłeś na emeryturę — mówił Ford bliski rozdrażnienia — to co, u licha, się z tobą działo?

— Zostałem szefem innego wydziału.

— Gdzie? W Scotland Yardzie?

— No, nie całkiem, Mike. Pracuję z sir Edwardem Westerbyem.

— Sir Edwardem Westerbyem!

Ford nie potrafił ukryć odrobiny zalęknionej czci w swoim głosie. Nie wiedział zbyt wiele o poczynaniach Westerbyego z tej prostej przyczyny, że sam sir Edward wychodził ze skóry, żeby utrzymać je w tajemnicy. Wiadomo było tylko, że stoi on na czele pewnej organizacji o zasięgu światowym i prawdopodobnie finansowanej przez skarb państwa, a mającej na celu trzymanie w ryzach czujnych kosmopolitycznych przedsiębiorców, którzy bez skrpułów wykorzystują międzynarodowe kryzysy dla własnych zysków. Ford był wyraźnie pod wrażeniem.

— A więc pracujesz w wywiadzie, Harry?

Vincent uśmiechnął się.
— No, nareszcie na to wpadłeś.
Ford potarł podbródek w zamyśleniu. — No cóż, to już przekracza moje kompetencje — stwierdził.
— Nie bądź taki pewny, Mike. Jestem tu, żeby ci wszystko wyjaśnić.
— Co to znaczy: wyjaśnić?
Vincent uśmiechnął się znowu. — Rocello nie zginął.
— Me zginął? Co, u diabła, masz na myśli?
— Dokładnie to, co mówię. Rocello żyje.
— Chodzi ci o Paula Rocella, tego zamordowanego Włocha?
Vincent polował głową.
— Tego samego, z tą różnicą, że nie został zamordowany.
— Ależ oczywiście, że został zamordowany! — upierał się Ford.
— Widziałem zwłoki.
— Widziałeś jakieś zwłoki, Mike. Ale nie były to zwłoki Rocella.
Ford zacisnął obie pięści na brzegu biurka.
— Jesteś pewien? Zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz?
— Mówię, że Rocello żyje — powtórzył spokojnie Vincent.
— A więc, gdzie jest, na miłość boską?
— W Kanadzie. — Vincent zerknął na zegarek. — Albo będzie tam za jakieś cztery, pięć godzin.
Ford klepnął się dłonią po czole.
— Czyja zwariowałem? — spytał. — Mówię ci, że widziałem...
— Chwileczkę, Mike — uspokajał go Vincent. — Za drzwiami czeka ktoś, z kim powinieneś się spotkać.
— O? Któż taki?
— Mój kolega z pracy — odparł Vincent i uśmiechnął się. — Mówimy na niego Ten Drugi.
— Boże, daj mi siły — jęknął oszołomiony Ford.
Vincent otworzył drzwi i kiwnął na kogoś na zewnątrz.
— Możesz już wejść — oznajmił.
Po chwili Ford wyprostował się na krześle jak świeca i z rozchyłonymi ustami wpatrywał się w Davida Hendersona...
— Witam, inspektorze — rzekł przybyły. — Jak się pan miewa...?

Nie prędzej niż po minucie powróciła inspektorowi zdolność mowy.

— Henderson...—wydukał.—Ale co...?

Henderson zwrócił się do Vincenta:

— Powiedziałeś mu? — spytał.

— Powiedziałem o Rocellu, ale nic poza tym.

— Myślę, że powinieneś opowiedzieć resztę tej historii — rzekł Henderson i uśmiechnął się do Forda. — Zdaje się, że moje przybycie okazało się dla inspektora małym szokiem.

— To prawda — przyznał ponuro Ford. — Ten dzień był pełen niespodzianek, najróżniejszych.

— Naprawdę, muszę przeprosić za wszystkie kłopoty, które panu sprawiłem — ciągnął Henderson. — Moje pojawienie się tutaj musiało być kroplą, która przepełniła kielich.

Ford westchnął. — Cóż, przynajmniej wiem, że nie zamordował pan Rocella, bo ten żyje.

— Nie zamordowałem nikogo, inspektorze. Ale jest pewien dżentelmen, którego chętnie bym zabił, gdybym go tylko dorwał.

— Popelniono już dosyć morderstw — stwierdził Ford.

Coś na kształt uśmiechu przeczyło powadze jego głosu, gdy zwrócił się do Vincenta:

— Nie sądzisz, że powinieneś mi o wszystkim opowiedzieć? Ostatecznie jestem oficerem odpowiedzialnym za tę sprawę.

Obrzucił Hendersona wielce znaczącym spojrzeniem, ale wokół ust wciąż błąkał się uśmiech. Dodał:

— Znane nam obu osoby wystarczająco już przyczyniły się do utrudnienia śledztwa w tej sprawie.

— Wiem, inspektorze, wiem — rzekł Henderson. — Proszę mi uwierzyć, nie kluczyłbym tak, gdybym tylko mógł.

— Opowiem o wszystkim — wtrącił się Vincent. — Jeśli tego nie zrobię, mam wrażenie, że zrobi to za mnie Henderson...

Usadowił się wygodnie w fotelu.

— Wszystko zaczęło się w roku 1941. Czy mówi ci coś słowo Kirbydale, Mike?

— Obawiam się, że nie.

— Kirbydale — wyjaśnił Vincent — to nazwa tankowca marynarki wojennej. Dziesiątego września 1941 stał przycumowany w porcie

w Gibraltarze. Był przepiękny, gorący dzień... dzień, w który niemal można zapomnieć, że toczy się wojna. Nagle, ku zdumieniu wszystkich, tankowiec wyleciał w powietrze. W jednej chwili stało tam dziesięć tysięcy ton solidnego ładunku — w następnej, absolutnie nic. Dwaj Włosi byli odpowiedzialni za ten fajerwerk — Vincent zrobił krótką przerwę — hrabia Paragi i Paul Rocello. Uwierz mi, Mike, ci dwaj wykonali kawał porządnej roboty, wysadzając ten tankowiec...

— Mów dalej, Harry — ponaglił go Ford.

— W tym wczesnym stadium wojny — kontynuował Vincent — nikt nie wiedział zbyt wiele o walce pod wodą. Wszystko było jeszcze w powijakach. Paragi i Rocello należeli do pionierów. Przyczynili się do skonstruowania bomby głębinowej i pierwszej torpedy. Naprawdę wiele osiągnęli w czasie wojny ci chłopcy. Teraz, po prawie piętnastu latach, wszystko jest już na całkiem niezłym poziomie. — Vincent przerwał, by zapalić papierosa. — Gdy wojna się skończyła, Rocello nadal bardzo interesował się marynarką wojenną... I tu zaczyna się to, co zainteresuje cię najbardziej. Rocello zaprzyjaźnił się z Hendersonem, nie wiedząc, że ten związany jest z wywiadem.

Ford popatrzył na Hendersona. — Często zastanawiałem się, co też pan porabiał w czasie wojny. Teraz zacznym rozumieć. Mów dalej, Harry.

— Sam pracowałem wtedy dla wywiadu marynarki wojennej — ciągnął Vincent — zaś Henderson przysłał mi raport. Donosił w nim, że Rocello rozpoczął pracę nad nowym projektem, urządzeniem do zwalczania Briggs D.

— Briggs D? — powtórzył skołowany Ford.

— Briggs D — pospieszył z wyjaśnieniem Vincent — był ładunkiem wybuchowym używanym do wywoływania podwodnych wibracji. Ich skutkiem...

— Chwileczkę, Harry — powstrzymał go Ford. — Nie wdawaj się w szczegóły. Ja nie wiem nawet, jak działa lodówka. Pamiętaj, że jestem tylko zwykłym gliną.

Henderson roześmiał się. — Powiem to panu prostym językiem.

— Nie jestem wprawdzie aż tak tępy — rzekł Ford — ale od tego podwodnego świata kręci mi się w głowie. — Spojrzał przepaszająco na Hendersona i Vincenta. — Jak właściwie działa ten Briggs D?

— Briggs D — wytłumaczył Henderson — był szczególnym rodzajem głębinowego ładunku stosowanym przez statki do zwalczania nurków i torped.

— Rozumiem — rzekł Ford.

— Owo urządzenie wytwarzało serię podwodnych wstrząsów, czy raczej wibracji, i wszystko — dosłownie wszystko — co znajdowało się pod wodą w pewnym promieniu, ginęło w okamgnieniu.

— Zaczynam pojmować — stwierdził Ford. — Rocello pracował nad takim urządzeniem, które pokonałoby Briggs D., nad czymś, co nurek mógłby mieć zawsze przy sobie jako swego rodzaju antidotum. Zgadza się?

— Dokładnie tak — potwierdził Henderson i zwrócił się do Vincenta: — Chyba możesz kontynuować.

Vincent podjął opowieść:

— Praca Rocella nad tym aparatem trwała kilka lat. Jednak jakieś pół roku temu jeden z naszych agentów — niejaki Cooper...

— Cooper! — wykrzyknął Ford. — Zastanawiałem się, gdzie przypięć to nazwisko.

— Za chwilę się dowiesz — odparł Vincent. — Cooper — i uwierz mi, Mike, ten człowiek to niezwykle twardy orzech do zgryzienia — doniósł, że eksperymentami Rocella są zainteresowani pewni ludzie, ludzie, którzy mogliby narobić wiele złego. Właśnie wtedy postanowiliśmy wprowadzić we wszystko Hendersona.

— Wydawało nam się prawdopodobne, że Rocello może być w poważnym niebezpieczeństwie — wtrącił się Henderson. — Pojechałem więc do Włoch i przekonałem go, że znacznie bezpieczniej będzie, jeśli swoje eksperymenty będzie kontynuował tutaj.

— W Anglii Rocello również nie był bezpieczny — ciągnął dalej Vincent. — Więc... musiał umrzeć.

— Rozumiem — rzekł Ford i uśmiechnął się ponuro. — Naprawdę potraficie komplikować życie, co?

— To był jedyny sposób, Mike — powiedział Vincent. — Jedyne, co musieliśmy zrobić, to sprawić wrażenie, że Rocello został zamordowany. Tak też zrobiliśmy.

— Jak? — spytał Ford.

— Powinieneś to wiedzieć, Mike — rzekł chytrze Vincent — że w Anglii zawsze możesz znaleźć jakieś zwłoki, jeśli tylko bardzo tego

chcesz. A więc zdobyliśmy trupa i umieściliśmy go na łodzi — jako zmarłego Paula Rocella.

— Zawsze uważałem, że marnujesz się w policji, Harry — wymruczał Ford z podziwem. — A co z tym anonimowym liścikiem, który dostał Craven?

— Wysłał go Henderson — wyznał Vincent.

— Bardzo potrzebowaliśmy rozgłosu — wyjaśnił Henderson — tyle rozgłosu, ile tylko mogliśmy wywołać. Musieliśmy przekonać wszystkich, że zamordowany mężczyzna rzeczywiście był Rocellem.

— Wiedzieliśmy, że Craven będzie bardzo podekscytowany historią o nurku — uzupełniał Vincent — i zapewni nam rozgłos, którego potrzebowaliśmy.

— Dobrze wiesz, kto się do czego nadaje, Harry — stwierdził Ford. — Craven przyprowadził mnie o ból głowy w tej sprawie... a to już coś mówi.

— Craven idealnie się do tego nadawał — zgodził się Henderson.

— Coś mi wreszcie zaczyna świtać — rzeki Ford. — Tej nocy, kiedy widziała was Billie Reynolds...

— Podrzucaliśmy ciało na łódź — dokończył Henderson. — Rocello był już wtedy w drodze do Liverpoolu.

— Ale to było wcześniej nad ranem — zauważył Ford. — Zaś Katherine Walters widziała was również po południu.

— Zgadza się — potwierdził Henderson.

— Przecież do tej pory zdążyliście już podrzucić ciało. Po co więc było wracać na łódź?

— Nastąpiło małe niedopatrzenie — wyjaśnił Vincent. — Cooper, który był szefem całej operacji, zapomniał zegarka Rocella. Przesłano go potem z Liverpoolu i Henderson wrócił z nim na łódź.

— Rozumiem. — Ford popatrzył na Hendersona. — A co z Billie Reynolds? Jak ona się w to wszystko wplątała?

— Billie troszkę nas niepokoiła — wyznał Vincent. — Widziała znacznie więcej, niż byśmy chcieli. A więc wywieźliśmy ją z Medlow i umieściliśmy w mieszkaniu w Chelsea.

— Nieźle umieściliście — wtrącił Ford.

Vincent uśmiechnął się na to wspomnienie.

— Billie była nieco kłopotliwa, więc musieliśmy ją uspić. Gdy się ocknęła, była wściekła, a do tego miała potwornego kaca.

— Nie mogliśmy powiedzieć jej prawdy — wyjaśnił Henderson — więc trzeba było wymyślić jakąś historyjkę — nie chwając się, całkiem dobrą historyjkę. Niestety, Billie nie postąpiła tak, jak jej poleciliśmy. Wymknęła nam się, wróciła do Medlow i skontaktowała się z jednym ze swoich znajomych.

— I to właśnie ów „znajomy” ją zamordował? — rzekł Ford.

— Tak — odparł spokojnie Vincent. — Jesteśmy tego całkiem pewni.

— A kim on jest?

— To jeden z miejscowych — mówił dalej Vincent. — Obserwaliśmy go od jakiegoś czasu.

— Jak się nazywa?

Vincent popatrzył na Hendersona, zaś ten wyjął z kieszeni pamiętnik Billie Reynolds i podał Fordowi.

— Billie pisze o nim w swoim dzienniku jako o „R” — poinformował.

Ford podniósł wzrok znad kartkowanego dziennika.

— „R”? — powtórzył.

— Tak — rzekł Henderson. — Wymienia go wielokrotnie, ale nigdy nie podaje nazwiska.

— Czy ten „R” to też jakiś agent obcego wywiadu?

— Owszem — przyznał Vincent. — Został tu umieszczony specjalnie po to, by obserwować Rocella.

— I jest stąd?

— Tak.

— Czy domyślacie się, kto to jest?

— Jesteśmy prawie pewni — przyznał Vincent. — Problem stanowi tylko schwywanie tego człowieka.

— Niech mnie ливо, jeśli go nie złapiemy — zawołał Ford. — Przez to, że jest obcym agentem, podlega waszemu wydziałowi. Ale jest też mordercą, a to już moja działka.

— Wiem, Mike — zgodził się Vincent. — Musimy wszyscy połączyć siły w tej sprawie...

12

Doktor Sheldon na linii — oznajmiła telefonistka w siedzibie policji-

— Dziękuję — rzekł Ford. — Halo... to pan, doktorze?

— Co mogę dla pana zrobić, inspektorze? — spytał Sheldon.

— Dostałem kolejną notę w sprawie raportu z sekcji zwłok Billie Reynolds. Zastanawiałem się, czy nie mógłby pan wpaść do mnie dziś po południu.

— Może być o czwartej?

— Jak najbardziej. Będę czekał.

Ford odłożył słuchawkę i dokończył pisanie listu. Włożył go do koperty, zakleił i zaadresował. Potem nacisnął dzwonek.

— Dopilnuj, żeby zostało to doręczone do pana Vincenta — polecił Ford, wręczając list policjantowi w mundurze. — Adres jest na kopercie. Nie czekaj na odpowiedź.

Konstabl wyszedł z pokoju, w którym w tej samej chwili zjawił się sierżant Broderick.

— Coś się stało, Mike?

— Stało się, i to całkiem sporo. Mam dla ciebie wieści w sprawie Rocella.

— Tak?

— Po pierwsze, nie marnuj więcej czasu na Hendersona.

Broderick był najwyraźniej zaskoczony.

— Co masz na myśli?

— Dokładnie to, co mówię — rzekł Ford zajęty zamykaniem na klucz szuflad w swoim biurku. — Mam na myśli to, że Henderson jest poza sprawą... nie jest już podejrzany.

Na twarzy Brodericka odmalowało się bezgraniczne zdumienie.

— Ale Mike — wybuchnął — przecież to nasz główny podejrzany! Jeśli wykreślimy go z naszej listy, z czym, u licha, zostaniemy?

— Wiedziałem, że to cię trochę wzburzy, Bob.

— Ależ to szaleństwo — buntował się Broderick. — To znaczy, że znów znaleźliśmy się w punkcie wyjścia. Do diaska, mogliśmy go areztować w każdej chwili...

— Posłuchaj, Bob. — W głosie Forda autorytet wziął górę i Broderick zamilkł. — Musisz przyjąć do wiadomości to, co ci mówię, i nie zadawać pytań. Henderson jest z całą pewnością, bez najmniejszych wątpliwości poza sprawą. Znalazł sobie alibi.

— Musiałoby być diablo dobre — rzekł z niedowierzaniem sierżant.

— Jest doskonale.

Broderick drapał się po głowie kompletnie zszokowany.

— Ale skoro ma alibi, czemuż, u licha, nie przedstawił nam go wcześniej? Co...?

— Żadnych więcej pytań, Bob. Zapomnij o Hendersonie. Zniknął z naszej listy. Rozumiesz?

Broderick smutno pokręcił głową.

— W porządku — dodał zrezygnowany. — Ty tu rządysz. Ale nie oczekuj, że uwierzę w tę historię.

— Co to ma znaczyć? — ostro spytał Ford.

— Po prostu uważam to za raczej dziwne, że tyle czasu zajęło Hendersonowi znalezienie alibi — wyjaśnił Broderick i mocno wzruszył ramionami. — Nie będę udawał, że to rozumiem. Może to nie moja sprawa, ale...

— Ale co?

— Słuchaj, Mike, ty sam na pewno też nie wierzysz w tę bajkę o alibi Hendersona. To... po prostu za piękne, żeby było prawdziwe. Musiało wydarzyć się coś jeszcze, coś poważniejszego niż morderstwo.

Ford uśmiechnął się do Brodericka i poklepał go po ramieniu. — Zostawmy to tak, jak jest, dobrze?

— W porządku, więc Henderson odpadł z listy. A zatem od czego teraz zaczniemy?

Ford podszedł do biurka, otworzył szufladę i wyjął pamiętnik Billie.

— Nasza nieodżałowana Billie Reynolds prowadziła dziennik — powiedział. — Wielokrotnie wspominała w nim o mężczyźnie, którego nazywała „R”. To właśnie pana „R” szukamy... To on ją zabił.

— Jesteś pewien?

— Absolutnie.

— „R” — wymówił Broderick w zamyśleniu. Przez moment przebiegał palcami po podbródku, po czym podniósł wzrok. — Ralph...

— Myślisz o Ralphie Mersonie? — spytał Ford.

— Tak. A ty nie?

Ford pokręcił głową. — Nie ma mowy, Bob. Billie nazywała go po swoim. — Klepnął dłonią w pamiętnik. — Używa tego zdrobnienia przez cały czas.

— Jak go nazywała?

— Dandy.

— Kurczę — rzucił Broderick, po czym dodał: — Wiem, jak ja bym go nazwał... Mike, czy mogę zerknąć na ten dziennik?

Ford podał mu pamiętnik, a sierżant zaczął powoli przeglądać zeszyt.

— Czego szukasz? — spytał Ford.

— Chcę zobaczyć, czy była kiedyś chora.

— Myślisz o Sheldonie?

— Cóż, to możliwe.

— No tak, to jest możliwe — powiedział powoli Ford. — Doktor Richard Sheldon.

Henderson stał przy oknie w swoim gabinecie i wyglądał na kwadratowy dziedziniec Liceum Rockingham. Ręce wetknął głęboko w kieszenie, w zębach mocno ścisnął wygasłą fajkę. Vincent zamyślony, lecz odprężony, siedział w fotelu.

Henderson obrócił się twarzą do gościa.

— Mimo wszystko uważam, że bezpieczniej byłoby użyć kogoś z twoich ludzi zamiast młodego Cravena.

— Nie zgadzam się — odparł Vincent. — Jeśli Craven zostanie złapany, istnieje spora szansa, iż pomyślą, że zwyczajnie wściubia nos w nie swoje sprawy... Miejscowy pismak usiłuje znaleźć coś dla swojej gazety.

— Wbrew powszechnym sądom, dziennikarze zazwyczaj nie włamują się do domów obcych ludzi — powiedział Henderson.

— Wiem. Ale przypuśćmy, że użyłbym jednego z moich ludzi, a „R” by go przyłapał?

— To by było kłopotliwe, muszę przyznać.

— „R” wyjechałby z kraju, nim zdążylibyśmy mrugnąć. Wykorzystując Cravena, nie mamy nic do stracenia, zakładając, że on nie straci głowy.

— Jak zareagował na ten pomysł? — spytał Henderson.

Vincent uśmiechnął się.

— Z początku był trochę roztrzęsiony, ale poradzi sobie. Poprosiłem go, żeby do nas wpadł i ustalimy wszystko jeszcze raz.

— A propos, czy masz chusteczkę, o którą ci chodziło?

— Przyślą mi ją z Londynu. Aha, dostałem też wiadomość od For-da. Umówił się na spotkanie z Sheldonem dziś o szesnastej.

— To dobrze. Zadzwoń później do Katherine Walters i upewnij się, czy będzie w domu.

— W porządku. Ale co jej powiesz, kiedy się spotkacie?

Henderson zawahał się. — Cóż — zaczął niepewnie — to, co ustaliliśmy... co zasugerowałeś.

— To wiem, ale co jeszcze?

— Nie rozumiem... Jakie „co jeszcze”?

— Nie chciałbyś powiedzieć jej o wszystkim, co ciebie dotyczy?

— Oczywiście, że bym chciał — przyznał Henderson. — Ale nie wolno mi bez twojego pozwolenia.

Vincent rzekł powoli: — Moje pozwolenie raczej zależy...

— Od czego?

Vincent podszedł do okna i wyjrzał na dziedziniec. To pewnie prawdziwe życie Hendersona, pomyślał. Westchnął lekko. Dobierasz się do człowieka — dość niezwykłego człowieka — i zamieniasz go w specjalistę pierwszej klasy. Ale nigdy nie wiesz, czy ten człowiek, którego wybrałeś, jest w swojej pracy szczęśliwy. W rzeczy samej, nikt nigdy o to nie pytał. W przypadku Hendersona najwyraźniej nadszedł czas, by to zrobić.

Vincent kiwnął ręką w stronę Liceum Rockingham.

— Jesteś tu szczęśliwy, Henderson? — spytał.

— Nad wyraz szczęśliwy i chciałbym, żeby tak pozostało.

Vincent raz jeszcze pokazał na dziedziniec i szkolne budynki po jego drugiej stronie.

— To właśnie — upewniał się — tego pragniesz bardziej niż cze-
gokolwiek innego?

— Tak — odparł prosto Henderson.

Vincent odwrócił się i spojrzał mu w twarz.

— Dziesięć lat temu nie myślałeś w ten sposób. Mówiłeś, że zro-
bisz wszystko... wszędzie... zawsze.

— Kto ci to powiedział?

— Sir Edward Westerby. Widziałem list, który do niego napisa-
łeś.

— Ach, ten list — rzekł Henderson. — Ale to nie ja go napisałem.
Napisał go Ten Drugi, ten, o którym ci opowiadałem. Rogata dusza.

— A teraz rogi tej duszy zostały spiłowane, czy tak?

— Tak — potwierdził Henderson.

— Sir Edward prosił mnie, bym się dowiedział, czy byłbyś zainte-
resowany pracą w moim wydziale. Bardzo bym tego chciał.

— Nie, Vincent, ty nie chcesz mnie. Być może chciałbyś pracować
z Tym Drugim, ale on już jest pogrzebany...

Henderson dołączył do Vincenta przy oknie i patrzył na budynki
Liceum Rockingham z czymś w rodzaju miłości.

— Widzisz — mówił dalej — pochowałem tamtego człowieka w
dniu, kiedy przybyłem do Medlow. Tak czy owak, jestem za miękki
jak na potrzeby twojego wydziału. Jedyna okazja, przy której staję się
twardy, to kiedy daję w skórę dorastającym chłopcom, i nawet wtedy
wątpię, bym bardzo ich ranił.

— Bardziej cierpisz ty niż oni — stwierdził Vincent. — Ciekawe...

— Jestem nauczycielem, nic poza tym — powiedział Henderson.

— Jeśli chodzi o pracę dla ciebie, jestem tylko amatorem tkwiącym na
swoim spokojnym odludziu.

— Kiedyś pracowała w moim wydziale pewna starsza pani —
odbięła nieco od tematu Vincent. — Przewodziła jednocześnie Kołu
Gospodyń Wiejskich.

— Interesujące — skwitował Henderson i nagle uśmiechnął się.

— No, ale w tej chwili wciąż jeszcze jesteś moim szefem. Jakie masz
dla mnie zadanie?

— Po pierwsze, musisz całą historię opowiedzieć tej swojej pan-
nie.

Henderson uniósł brwi. — Mojej panie?

— Katherine Walters — wyjaśnił Vincent, nie siląc się na subtel-
ność. — Opowiedz jej o wszystkim, tylko mnie do tego nie mieszaj.

— W porządku, ale pozwolisz, że sprostuję błąd, który popełni-
łem.

— Oczywiście. W moim zawodzie człowiek często uczy się na
błędach.

— Katherine Walters nie jest moją panną — oznajmił Henderson
wyważonym tonem.

— Skoro tak mówisz — mruknął Vincent. — Tak czy inaczej, opo-
wiedz jej o wszystkim. I lepiej nie trać czasu.

— Zajmę się tym od razu.

Vincent, stojąc ciągle przy oknie, przyglądał się, jak Henderson
podchodzi do drzwi.

...Tak więc widzi pani — mówił Henderson — że gdyby Cooper nie
zapomniał zegarka, nie musiałbym wracać na łódź i nie zobaczyłaby
mnie pani. — Uśmiechnął się krzywo. — Nawet się pani nie domyśla,
jak bardzo zależało mi, żeby oczyścić się w pani oczach.

— Cieszę się — odparła zwyczajnie Katherine.

Przez chwilę siedzieli w ciszy. Nagle poczuli się niemal, jakby po
raz pierwszy spotkali się bez chmury podejrzeń wiszącej ciężko mię-
dzy nimi. Stopniowo uświadamiali sobie obecność tej drugiej osoby i
oboju coraz bardziej podobało się to, co widzieli.

— Chociaż czemu przez cały ten czas nic mi pan o tym nie powie-
dział? — spytała w końcu Katherine. — Nie poszłabym wtedy na po-
licję. — Nie dodała, że dopiero po ciężkich zmaganiach z samą sobą
zdecydowała się to zrobić. — Chociaż... cóż, musi pan przyznać, że to
naprawdę wyglądało podejrzanie.

— Jak najbardziej — przyznał Henderson. — Jednak nie mogłem
pani powiedzieć, bo byłem zobowiązany przysięgą do zachowania ta-
jemnicy.

Popatrzył na nią z taką szczerością, że Katherine odczuła gwał-
towny przypływ niewypowiedzianej ulgi. Nagle stali się dwojgiem

normalnych ludzi rozmawiających ze sobą bez żadnych niedomówień, wymówek, łgarstw.

— W każdym razie — ciągnął Henderson — gdybym powiedział pani o zegarku, domyśliłaby się pani, że denat to nie Rocello.

— A gdzie jest teraz Rocello?

— W Kanadzie.

— A jego praca... to, o czym mi pan mówił... czy zdążył ją dokończyć?

— Jeśli chodzi o nas, to tak — odparł Henderson. — Widzi pani, pierwsza część tej pracy — najważniejsze i najbardziej zaawansowane eksperymenty — mogły zostać przeprowadzone tylko w Europie. Dlatego musieliśmy mieć pewność, że nikt go nie obserwuje — i dlatego też chcieliśmy, aby pewni ludzie myśleli, że został zamordowany.

— Zaczynam rozumieć — rzekła zamyślona Katherine i pochyliła się do przodu. — A ten wieczór, kiedy przyszedł pan do mego stryja z bolącym barkiem...?

— Tak?

— To ze mną chciał się pan wtedy zobaczyć, prawda?

— Rzeczywiście — odparł Henderson i spojrzał na nią figlarnie.

— Miała pani coś przeciwko temu?

Katherine błyskawicznie się zarumieniła.

— Mówię poważnie — rzekła.

— Ja też — zapewnił ją Henderson. — Ale słucham dalej...

— Dlaczego tak bardzo panu na tym zależało?

— Wiedzieliśmy, że w okolicy znajduje się agent obserwujący Rocella, i myśleliśmy, że może...

— Podejrzewaliście mnie?

— Nie byliśmy do końca pewni nikogo. Szczerze mówiąc, to sami nie wiedzieliśmy, kogo podejrzewać. — Henderson uśmiechnął się.

— Ostatecznie właśnie wróciła pani z Włoch, była pani nad rzeką, mogła pani obserwować Łódź. Musieliśmy mieć pewność.

— Oczywiście — powiedziała Katherine. — Tak naprawdę, leżałam na słońcu na wpół śpiąca i próbowałam czytać jakąś wyjątkowo nudną książkę.

— Cóż, już pani nie podejrzewamy — uspokoił ją Henderson. — W innym wypadku nie zaprosiłbym się na herbatę.

— Cieszę się, że jednak pan to zrobił. — Z dzbanuszką mleka zawieszonym nad filiżanką Hendersona, Katherine zapytała: — Czy mogę zadać panu bardzo osobiste pytanie?

— Proszę bardzo.

— Czy naprawdę jest pan nauczycielem, czy... pracuje pan w wywiadzie?

Henderson ze smakiem sącył swoją herbatę.

— Jestem nauczycielem w Liceum Rockingham i mam szczerzy zamiar nim pozostać.

— Więc jak, na Boga, został pan w to wplątany?

— Byłem w wywiadzie marynarki wojennej pod koniec wojny — wyjaśnił Henderson. — Wtedy też poznałem Rocella. Gdy wynikła ta sprawa, poprosili mnie o pomoc, jako że wiedziałem co nieco o tym, czego usiłował dokonać Rocello.

— Czy naprawdę było to aż tak ważne?

— Tak uważały wszystkie wielkie głowy — odparł poważnie Henderson.

— Przypuszczam, że teraz, kiedy cała ta sprawa dobiegła końca...

— Obawiam się, że do jej końca jeszcze daleko — przerwał Henderson. — Przed chwilą pani mówiłem, że w Medlow był zagraniczny agent obserwujący Rocella.

— Tak?

— Cóż, wciąż tu jest.

— Ale skąd pan wie?

— Bo wiemy już, kim jest.

— Wiecie?

— Owszem — rzekł cicho Henderson — wiemy.

— Czy to ten sam człowiek, który zamordował Billie Reynolds?

Henderson pokiwał głową.

— Zgadza się. I chciałbym z panią o nim porozmawiać. Stąd moja tutaj obecność.

Z oczami coraz to szerszymi ze zdziwienia Katherine Walters słuchała Davida Hendersona...

Zegar na gzymsie w pokoju Hendersona pokazywał za kwadrans trzecią. Nauczyciel ziewnął i zgasił papierosa. Przepelniona popielniczka i suchość w ustach mówiły same za siebie.

Vincent stracił już nieco z tego swojego niewzruszonego spokoju. Co kilka minut wstawał z fotela, by popatrzeć przez firanki. Porównywał godzinę na swym zegarku z zegarem na kominku.

— Cravenowi musiało się coś przydarzyć — rzucił nerwowo. — Powinien się tu zjawić już godzinę temu.

— Może podjechalibyśmy do tamtego domu i sprawdzili? — zasugerował Henderson.

— Damy mu jeszcze piętnaście minut — postanowił Vincent. — Jeśli nie zjawi się do trzeciej, pojedziemy tam.

Na tacy przy łokciu Hendersona stała butelka whisky i syfon z wodą sodową.

— Co powiesz na drinka? — spytał.

— Dobry pomysł — przystał Vincent.

Henderson wlał do dwóch szklanek po sporej porcji whisky i kropelce wody sodowej.

— Wyszedł stąd zaraz po dwunastej. Jak długo mógł jechać?

— Około dwudziestu minut.

— Powiedzmy, że był na miejscu o wpół do pierwszej — mówił Vincent — potem pół godziny na załatwienie sprawy i piętnaście minut do...

— Chwileczkę — przerwał Henderson — chyba usłyszałem samochód.

Podszedł szybko do okna i wyjrzał zza firanek. Pod budynkiem dostrzegł światło dwóch reflektorów.

— To on.

— To dobrze — rzekł Vincent, przełykając drinka. — Przez moment napędził mi stracha...

Kilka minut później, znalazłszy się w pokoju, Robin Craven nie bardzo przypominał siebie. Ubrany był w znoszony, czarny, nieprzemakalny płaszcz, wytarty kapelusz, rękawiczki i buty na gumowej podeszwie. Lewą dłoń spowijała zakrwawiona chusteczka; w prawej trzymał aktówkę. Był obszarpany, blady i wykończony.

— Co się stało? — spytał od razu Henderson. — Nie było cię bardzo długo.

— Mój Boże, jasne, że tak! — odparł Craven. — W drodze powrotnej zabrakło mi paliwa i musiałem iść półtora kilometra po benzynę. — Spod nowej powłoki wyłonił się na chwilę dawny Robin Cra-

ven. — Jeśli istnieje na świecie czynność, której nienawidzę, to jest nią chodzenie.

Vincent popatrzył na jego owiniętą rękę.

— Skaleczyłeś się — powiedział.

— To tylko zadrapanie — rzekł obojętnie Craven. — Ale nie przedstawiało krwawic.

— No to mów, co się stało?

Craven zdjął płaszcz i rzucił go na krzesło, a tuż za płaszczem poszybował kapelusz. Wygładził włosy i zaczął: — Włamanie do domu było łatwe — nie miałem z tym żadnych problemów. Wszystko poszło jak w zegarku, tak jak planowaliśmy. Byłby ze mnie chyba niezły włamywacz...

— Mów dalej — ponaglił Vincent.

— Rozglądałem się akurat po jednej z sypialń — ciągnął Craven — gdy usłyszałem kroki na zewnątrz. — Tu zrobił dramatyczną przerwę. — Może jednak włamania do domów nie stanowiłyby dla mnie najlepszego fachu. W życiu nie byłem tak przerażony.

— Co się stało? — spytał znowu Vincent.

— Zanim otworzył drzwi i włączył światło, stałem już za szafą. Zdawało mi się, że nigdy stamtąd nie wyjdzie. Nie uwierzycie, ale spędziłem za tą przeklętą szafą prawie godzinę.

— Dobrze, że cię nie zobaczył — wtrącił z powagą Vincent.

— To cud, że nie usłyszał, jak szczękam zębami — odparował Craven. Sięgnął po aktówkę i podał ją Vincentowi. — Nie wiecie nawet, jak się cieszę, że mam to już za sobą.

Vincent uśmiechnął się krótko i otworzył teczkę. Zaczął przeglądać znajdujące się w środku zdjęcia i listy.

— A chusteczka? — zapytał Henderson.

— Wszystko w porządku — odpowiedział Craven. — To była pierwsza rzecz, jaką zrobiłem. — Kiwnął głową w stronę aktówki. — To było w kredensie. Musiałem otworzyć go siłą. Przez przypadek znalazłem tam także radio... krótkofalówkę — dodał po chwili z dumą.

Vincent uśmiechnął się szeroko i poklepał Cravena po ramieniu.

— Dobra robota, synu — pochwalił. — Postaram się, by ci się ona opłaciła.

Henderson spytał Vincenta: — Dostałeś to, o co ci chodziło?

Ten polował głową znacząco.

— Tak. Mam to, czego chciałem.

— No to chyba możemy się napić — stwierdził Henderson. — Craven wygląda, jakby właśnie tego mu było trzeba.

— Rzeczywiście, tego mi trzeba — przyznał Craven szczerze.

— Whisky?

— Poproszę.

Vincent spojrzał znad czytanego właśnie listu. — Nalej mu, i to dużo. Zasłużył sobie.

— Chyba nie ma tutaj ilości whisky, na jaką bym sobie dzisiaj nie zasłużył — stwierdził Craven.

13

Konstabl Sanders był dobrze zbudowanym mężczyzną, który zawsze chętnie witał godziny służby na komisariacie. Nie znaczy to, że był leniwy, ale mając czterdzieści siedem lat, uważał, że należy mu się w pracy stosowny komfort. Sporo lat służby spędził na powietrzu w różnych warunkach pogodowych, skutkiem czego ucierpiały zarówno jego stopy, jak i płuca. Awans na sierżanta w jego wieku nie wchodził w grę, ale też Sanders sam nie chciałby przyjmować na swoje barki więcej obowiązków, niż miał teraz — żona i czwórka dzieci wystarczyłyby każdemu. Służba na komisariacie w Medlow pasowała mu i zamierzał wytrwać na niej do emerytury.

Nie miał nic przeciwko pracy w terenie podczas jakiegoś meczu piłki nożnej czy regat. Zasadniczo wolał jednak spokojny tryb życia na komisariacie, gdzie telefon, księga rzeczy zaginionych i biurko, przy którym udzielał informacji, stanowiły podstawowy ekwipunek potrzebny do pracy. Rzecz jasna te ostatnie dwa morderstwa dodawały życiu nieco pikanterii, o ile nie musiał brodzić po pas w rzece czy zaciąć się przez pół nocy na rogach ulic.

Konstabl Sanders zerknął ukradkiem na gazetę rozłożoną zachęcająco na stronie z informacjami o wyścigach konnych tuż obok stosu rutynowej korespondencji — nie miał wątpliwości, czemu powinien poświęcić swą uwagę najpierw... Red Monk przedstawiał się nieźle i przy odrobinie szczęścia można byłoby na nim porządnie zarobić. Chociaż w ostatniej gonitwie warto byłoby postawić też na Spartana Kinga.

W rozwiązaniu tego zawikłanego problemu przeszkodziło mu pojawienie się Ralpa Mersona, zaś ten wyraźnie nie był w najlepszym humorze.

— Chcę się natychmiast zobaczyć z inspektorem Fordem — oznajmił bez żadnych wstępów.

— Przykro mi, ale w tej chwili inspektor jest bardzo zajęty. Nie może przyjąć nikogo.

— Ale ja muszę się z nim zobaczyć. To bardzo ważne.

— Przykro mi, proszę pana — powtórzył Sanders. — Takie otrzymałem polecenie od inspektora.

— Nie obchodzą mnie pańskie polecenia — rzekł lodowatym głosem Merson. — Żądam, żeby inspektor natychmiast się ze mną zobaczył.

Sanders westchnął lekko. Ludzie tacy jak Ralph Merson dawno już przestali psuć mu nerwy. Podczas lat służby poznał ich wielu: gdybyś wlepił im mandat za parkowanie w niedozwolonym miejscu, zachowywaliby się potulnie jak barany. Dopiero kiedy uznali, że racja jest po ich stronie, zaczęli wydzierać się jak opętani.

— W tej chwili nie wolno inspektorowi przeszkadzać, proszę pana — oznajmił Sanders pokojowo, lecz stanowczo.

Merson zmarszczył nos, jakby zwęszył bezczelność.

— Co to znaczy, nie wolno przeszkadzać? Za kogóż on się u licha uważa, za premiera rządu Jej Królewskiej Mości?

— Wybacz pan — ciągnął Sanders z niewyczerpaną cierpliwością — taki jest rozkaz inspektora.

— Niech pan słucha — zagroził Merson. — Nie radzę tak ze mną rozmawiać. Chcę się zobaczyć z inspektorem, i to natychmiast! Zrozumiano?

— Zrozumiano — odparł Sanders, myśląc: „Chętnie wsadziłbym cię do celi, ty zimnogęba kanalio”. Nie tracąc jednak nic ze swej godności, odrzekł: — Zobaczę, czy inspektor znajdzie dla pana czas.

— No, mam nadzieję — warknął Merson. Patrzył za oddalającym się konstabłem z bezgraniczną niechęcią.

Ford pochłonięty był pisaniem i spojrzał na Sandersa z pewnym rozdrażnieniem.

— Co tam znowu?

— Przepraszam, inspektorze, ale pewien dżentelmen chce się z panem zobaczyć. Mówiłem mu, że nie życzy pan sobie, by mu przeszkadzano, ale...

— Ale on zrobił się niemiły, czy tak, Sanders? — dokończył Ford ze współczuciem. Dobrze pamiętał takie sytuacje z czasów, kiedy sam był konstabłem. — Kto to taki?

— Nazywa się Ralph Merson. Jest czymś bardzo zdenerwowany.

— Merson? — powtórzył Ford. — W porządku, Sanders, powiedz, niech wejdzie.

— Tak jest, panie inspektorze.

Sanders ruszył do drzwi, a każdy jego krok wyrażał ostry sprzeciw.

— Aha, Sanders?

Konstabl odwrócił się. — Tak?

— Postaw za mnie na Red Mońka, dobrze?

Sanders uśmiechnął się szeroko: — Nie ma sprawy. — Do Mersona zaś rzekł po chwili: — Inspektor zobaczy się z panem. Ralph Merson minął go z wyraźnym lekceważeniem.

— Dzień dobry, panie Merson — przywitał się serdecznie Ford.

— Czekam w tym przeklętym miejscu od dziewiętej — wypalił przybyły.

— Przykro mi. — Ford oparł się w fotelu i patrzył na Mersona wielce dobrodusznie. — Co mogę dla pana zrobić?

Merson oparł dłonie o biurko inspektora i spytał zgrzytliwie: — Czy wczoraj wieczorem włamał się do mojego domu? Ford uniósł brwi i wskazał na krzesło.

— Zechce pan spocząć?

Merson popatrzył groźnie, ale usiadł na zaproponowanym krześle.

— A więc? — powiedział.

— Mówił pan, że...

— Pytałem — przerwał mu Merson nieco bardziej opanowanym głosem — czy pan lub ktoś z pańskich ludzi włamał się wczoraj wieczorem do mojego domu. Chciałbym usłyszeć odpowiedź.

Ford uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Jednym z zadań policji jest raczej zapobieganie włamaniom do domów.

— A wczoraj ktoś się jednak do mnie włamał.

— Przykro mi to słyszeć, ale co skłoniło pana do przypuszczenia, że miałem z tym coś wspólnego?

Merson przełknął ślinę.
— Niech pan posłucha, Ford, będę z panem całkiem szczery.
— Bardzo proszę, panie Merson — spokojnie odparł Ford. — Na razie idzie to panu całkiem nieźle.
Merson pochylił się nad biurkiem.
— Uważa pan, że to ja zamordowałem Billie Reynolds, więc wczoraj wieczorem kazał pan przeszukać mój dom.
— Ale czemu mielibyśmy przeszukiwać pański dom?
— Ponieważ szukaliście czegoś.
— Na przykład czego?
— Billie była czymś związana — odparł Merson, wciąż tak samo agresywnie. — Może więc szukaliście liny czy kawałka sznura...
— I uważa pan, że po to wdzieralibyśmy się do pańskiego domu?!
— To chyba możliwe, nieprawdaż?
— A kiedy to odkrył pan, że ktoś się do pana włamał?
— Dziś rano, około siódmej. Zauważyłem stłuczoną szybę przy drzwiach balkonowych.
Ford popatrzył na Mersona przenikliwie.
— Dlaczego więc od razu pan do nas nie zadzwonił?
— Bo z początku nie zauważyłem, żeby coś zginęło — odparł Merson głosem już nieco mniej buńczucznym. — Nie chciałem, żeby żona się dowiedziała — dokończył słabo.
— Cóż, ja nie włamałem się do pańskiego domu — zapewnił go spokojnie Ford — ani też nie poleciłem zrobić tego komu innemu. — Uśmiechnął się pocieszająco. — Ale robimy co w naszej mocy, by spełnić swój obowiązek wobec podatników, sam pan wie.
— Wiem — rzeki z powątpiewaniem Merson.
— Moim zdaniem — ciągnął Ford — naczytał się pan za dużo kryminałów i to nie najlepszych.
Podniósł się z krzesła w chwili, gdy do pokoju wchodził Broderick.
— Ktoś włamał się wczoraj wieczorem do domu pana Mersona — poinformował go. — Weź Morgana i sprawdźcie, czy są jakieś odciski palców. Tak jak zwykle.
— A kiedy to się stało? — spytał sierżant.

— Nie jestem pewien — przyznał potulnie Merson. — Chyba jakoś w nocy.

— Przeprowadzimy szczegółowe dochodzenie — obiecał Ford i kiwnął głową do Brodericka. — No dobrze, sierzancie. Proszę mnie informować, jak sobie radzicie.

— Tak jest — rzekł Broderick i wyszedł z pokoju.

Ford ponownie zwrócił się do Mersona:

— Mam nadzieję — powiedział z dozą ironii — że w pańskim mniemaniu akcja policji została podjęta wystarczająco szybko. — Nie mógł powstrzymać się od jeszcze jednej uwagi. — Gdyby w zwyczaju policji rzeczywiście było włamywanie się do domów, wtedy podatnicy naprawdę mieliby na co narzekać. — Ukłonił się grzecznie. — Do widzenia, panie Merson...

Po kilku minutach wrócił Broderick.

— Nie chciałem wspominać o tym przy Mersonie — powiedział — ale dostaliśmy raport na temat Chrisa Reynoldsa.

— Tak? No i co?

— Najwyraźniej wrócił do Londynu. Pracuje w sklepie warzywnym na Edgware Road.

— Dobrze. Sprawdź, jak spędził ostatnią dobę. W razie potrzeby skontaktuj się ze Scotland Yardem — polecił Ford.

Broderick patrzył na niego, nie rozumiejąc.

— Czy ty wiesz coś o Chrisie Reynoldsie? W raporcie za wiele o nim nie napisali.

— Po prostu sprawdź tę ostatnią dobę, sierzancie...

Konstabl Sanders porządkował pokój Forda, szykując się do wyjścia do domu, gdy wpadł Broderick.

— Gdzie jest inspektor? — spytał.

— Nie wiem, sierzancie — odparł Sanders. — Wyszedł zaraz po czwartej i potem go nie widziałem.

— Dokąd mógł pójść?

— Nie mam pojęcia.

— Nie wiesz, czy zamierza dziś jeszcze wrócić?

— Mam nadzieję. Jakies pięć minut temu telefonował jego syn.

— Roger dzwonił?

— Tak — odparł Sanders. — Nie za dobrze się czuje. Boli go brzuch czy coś takiego. Rany, te dzieciaki są wszystkie takie same. Tak, na przykład, moja najstarsza córka. Głowa ją boli, gdy ma coś zrobić w domu, a jak tylko wspomni się o kinie...

Sanders nie dokończył rodzinnej opowieści, jako że przerwało mu pojawienie się Forda.

— Co to jest? — spytał krótko inspektor. — Konferencja?

— Nie — rzekł przepraszająco Broderick. — Chciałem tylko...

Ford przerwał mu: — Czy dzwonił nadinspektor Harringay? — zwrócił się do Sandersa.

— Nie, panie inspektorze.

— Dzwonił tylko Roger — poinformował go Broderick. — Mówił, że źle się czuje.

— Kiedy to było?

— Jakies pięć minut temu — powiedział Sanders. — Mówił, że boli go brzuch i idzie się położyć.

— W porządku, Sanders — rzeki Ford znużonym nieco głosem. — Możesz się zbierać. — Do Brodericka zaś jęknął: — Tylko tego mi było trzeba! Nie dość, że przez cały dzień miałem urwanie głowy, to jeszcze Roger musiał zachorować.

— Wyglądasz, jakby przydał ci się drink — stwierdził ze współczuciem Broderick.

— A żebyś wiedział, żeby się przydał — rzekł z rozżaleniem Ford i popatrzył na zegarek. — Ale pewnie nic dziś z tego nie będzie.

— Dlaczego? Bar otwierają przecież o szóstej.

— Wiem, ale o szóstej mam się spotkać z panną Walters.

— Cóż, mogę pójść na to spotkanie zamiast ciebie — zaproponował Broderick. — Ty leć do domu, zajmij się Rogerem i gołnij sobie jednego. Jeśli to coś ważnego, zadzwonię do ciebie.

— Dzięki, Bob. Będę w domu.

— A w jakiej to sprawie ona chce się z tobą spotkać? — spytał jeszcze Broderick.

— Nie mam pojęcia. Zwyczajnie zadzwoniła i zapytała, czy mogę przyjść.

— Czy miała zmartwiony głos?

— Nie, nie wydaje mi się.

— No dobrze, dowiem się, o co chodzi — uśmiechnął się Broderick. — Mam nadzieję, że Rogerowi nic nie jest.

— O, nie sądzę, żeby to było coś poważnego, ale zabawne, że to się zwykle zdarza podczas wakacji. Gdy chodzi do szkoły, zawsze jest zdrów jak ryba.

— Pewnie za dużo lodów i telewizji — stwierdził Broderick bez większego współczucia.

— Nie zdziwiłbym się — przyznał Ford.

Skulił ramiona i po raz pierwszy Broderickowi przyszło do głowy, że inspektor wygląda na zmęczonego.

— A przy okazji, jak ci poszło u Mersona?

— Cóż, szczerze mówiąc, nie mogę rozgryźć, o co tam chodzi — przyznał Broderick w zamyśleniu. — Jest stłuczona szyba w drzwiach balkonowych i rzeczywiście wygląda, jakby ktoś się tam włamał, ale... sam nie wiem.

— Co to znaczy: „sam nie wiem”?

— Wydaje mi się po prostu, że za dużo wokół tego hałasu, to wszystko.

— Jakieś odciski palców?

— Żadnych.

— Ktoś coś słyszał?

— W domu był tylko Merson i jego żona. Żadne z nich niczego nie słyszało.

— A co z Chrisem Reynoldsem? Sprawdziłeś go?

— Tak, jest w Londynie. Od dwóch dni.

Ford polował głową, odwrócił się do drzwi, po czym stanął.

— Widziałeś się z panią Merson?

— Owszem.

— I jaka ona jest?

Zdawało się, że Broderickowi zabrakło słów. Gładził się po uchu.

— Cóż — powiedział w końcu — z całą pewnością jest zupełnie inna od Billie Reynolds. Gdybyś ją zobaczył, nie winiłbyś Mersona za skok w bok.

Ford roześmiał się. — Tak myślałem — rzeki i ziewnął. — No, le-cę, Bob. Zadzwoń, gdyby coś się działo.

14

Judy, pokojówka doktora Sheldona, wetknęła głowę przez drzwi pokoju dziennego. Katherine siedziała tam sama i czytała wieczorną gazetę. Teatralnym szeptem Judy oznajmiła: — Sierżant Broderick chce się z panią zobaczyć.

Katherine podniosła wzrok. Judy miała zaraz wychodne i było jasne, że w kwestii wyglądu dziewczyna nic nie pozostawia przypadkowi.

— Poproś go, niech wejdzie, Judy.

Broderick wkroczył, jak zwykle pełen animuszu. Z uznaniem spojrział na pokojówkę, po czym zwrócił się do Katherine: — Dobry wieczór, panno Walters.

— Dobry wieczór — odpowiedziała Katherine.

Judy wciąż kręciła się przy drzwiach.

— Masz dziś wychodne, prawda, Judy?

— Tak, panienko.

Fred, jej aktualny chłopak, lubił punktualność i musiała się pośpieszyć, żeby zdążyć.

— Masz klucz? — spytała jeszcze Katherine.

— Tak, mam, panienko — odparła Judy, poklepując torebkę. Jej oczy powędrowały do Brodericka i z poczuciem winy i braku lojalności dziewczyna porównała go do Freda, przy czym porównanie to nie wypadło korzystnie dla jej chłopaka. Nagle uświadomiła sobie, że jest już trzy minuty spóźniona.

— Dobranoc, panienko — rzuciła w pośpiechu i wyszła z pokoju.

— Może pan usiądzie, sierżancie — zaprosiła Katherine.

— Dziękuję — odparł Broderick i przysiadł na brzegu fotela.

— Nie zdejmie pan płaszcza?

— Nie zajmę pani dużo czasu, panno Walters — zapewnił detektyw. — Inspektor Ford poprosił mnie, żebym panią odwiedził. Mówił, że dzwoniła pani do niego dziś po południu.

— To prawda, dzwoniłam. — Katherine popatrzyła pytająco na Brodericka. — Czy sam inspektor nie przyjdzie?

— Obawiam się, że mu się to nie uda. Stąd moja obecność — wyjaśnił gość.

— Rozumiem...

— Zachorował jego syn.

— Przykro mi. Mam nadzieję, że to nic poważnego.

— Nie sądzę — rzekł Broderick. — Hm... co właściwie mogę dla pani zrobić, panno Walters?

Katherine zmarszczyła lekko czoło. — Wydaje mi się, że powinienam jednak porozmawiać o tym z inspektorem Fordem — powiedziała niepewnie. — To naprawdę dość ważne.

Broderick wskazał na telefon.

— Mogę po niego posłać, jeśli pani chce...

Katherine, wahając się, przygryzała dolną wargę. — Cóż...

— Może gdyby zechciała mi pani choć wspomnieć, o co chodzi... — zasugerował Broderick.

Katherine zerknęła szybko w stronę drzwi na korytarz.

— Chodzi o mojego stryja.

Sierżant był wyraźnie zaintrygowany.

— To znaczy doktora Sheldona?

— Tak.

— Więc co w związku z nim?

Katherine mówiła niepewnie: — Dowiedziałam się o nim czegoś. Czegoś, o czym powinien wiedzieć inspektor... o czym powinna wiedzieć policja.

— Proszę dalej, panno Walters — zachęcił Broderick zatroskanym tonem.

— Nie bardzo wiem, jak to powiedzieć — kontynuowała Katherine — ale na dwa dni przed zniknięciem Billie Reynolds mój stryj...

Katherine przerwała, gdyż oboje usłyszeli, jak otwierają się, a potem zamykają wejściowe drzwi. Dziewczyna spojrzała w stronę korytarza, a potem na swojego gościa. Ten zaś przechylił się w fotelu...

Pojawienie się doktora Sheldona zaskoczyło ich oboje. Na sobie miał płaszcz, kapelusz, a w prawej ręce niósł torbę lekarską. W lewej dłoni zaś ścisnął niewielką aktówkę. Wyglądał na zaniepokojonego i brakowało mu tchu; najwyraźniej musiał biec.

— Stryju... co się stało? — spytała Katherine.

Sheldon nie odpowiedział od razu, lecz przeszedł przez pokój do telefonu.

— Co się dzieje, doktorze? — spytał Broderick.

Sheldon wykręcał numer. Przez ramię rzucił tylko: — Był wypadek na moście... przerażający. Obaj kierowcy są ciężko ranni. Niecierpliwie stuknął palcami w słuchawkę.

— Katherine, w mojej szafce jest strzykawka i igła. Możesz mi je przynieść?

Gdy Katherine wybiegła z pokoju, Broderick podszedł do Sheldona.

— Co się dokładnie stało? — spytał.

— Bóg jeden wie. Nigdy nie widziałem takiej katastrofy. Samochód zderzył się z ciężarówką wożącą piach ze żwirowni... — Przerwał i znów popukał w słuchawkę. — Co się, u licha, z tym dzieje?

— Czy wie pan, kto był w samochodzie?

— Człowiek nazwiskiem Berson czy jakoś tak. Kiepsko z nim.

— A może to był Merson? — spytał szybko Broderick. — Ralph Merson?

— Zgadza się — odparł Sheldon. — Przeklęty telefon...

Katherine wbiegła z pudełkiem w dłoni.

— To chyba to — powiedziała.

— Dobrze, dziękuję ci, dziecko — skinął głową Sheldon. Podał słuchawkę Broderickowi i wepchnął pudełko ze strzykawką do swojej torby. — Proszę zadzwonić do Szpitala Świętego Piotra... Medlow 22... wewnętrzny 4. Niech ich pan zawiadomi, co się stało, i powie, że to pilne.

Broderick kiwnął głową i sam zaczął pukać w słuchawkę.

— Centrala! — rzekł głośno i niecierpliwie. — Niech to licho... Centrala!

Sheldon w pośpiechu chwycił swą torbę i wcisnął Katherine do ręki aktówkę.

— To musiało wypaść jakoś z samochodu. Należy do kierowcy. Popilnuj, dopóki nie wrócę.

I wybiegł z pokoju.

Broderick ostatecznie zaniechał wysiłków uzyskania połączenia z centralą. Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Katherine:

— Coś jest nie tak z telefonem. Musiał się popsuć.

— Ależ działał jak należy jeszcze dziś po południu. Jest pan pewien, że nikt nie odpowiada?

Broderick jeszcze raz zastukał w słuchawkę.

— Głucha cisza. Zepsuty, bez wątpienia. Chyba lepiej poszukam budki z aparatem. Jeśli coś...

Mówiąc to, szedł już w stronę drzwi, lecz nagle zamarł w bezruchu. Patrzył na Katherine coraz węższymi oczami.

Otwierała właśnie aktówkę, którą dał jej Sheldon. Wyciągnęła zdjęcie i kilka kopert. Rozpieczętowała jedną z nich i wyjęła list.

Broderick zapytał cicho: — Skąd pani ma ten list?

Katherine podniosła wzrok.

— Był w teczce. — Popatrzyła jeszcze raz na kopertę, a potem na Brodericka. — Jest zaadresowany do pana od Billie Reynolds. Pisała: „Drogi Robercie” — to pan, nieprawdaż? — „Jestem teraz w Londynie, ale muszę się z tobą zobaczyć...”

— Proszę mi oddać ten list! — nakazał Broderick.

Zawrócił, omal się nie potykając; wyraźnie zaciskał też pięści. Katherine nie mogła w nim rozpoznać pewnego siebie oficera policji, z którym rozmawiała jeszcze parę minut temu. Usta Brodericka tworzyły teraz wąską, ostrą linię. Jego rysy wydawały się w jakiś niezwykły sposób zmienione. Katherine cofnęła się instynktownie. Potem stanęła i spojrzała mu w twarz.

— Jest tu też fotografia pana z... Billie Reynolds.

— Wiem. Te rzeczy zostały wczoraj wieczorem zabrane z mojego domu. Należą do mnie. — Broderick wyciągnął rękę. — Proszę mi je oddać, panno Walters.

Katherine cofnęła się tak, że między nią i Broderickiem znalazł się fotel.

— Dlaczego panna Reynolds chciała się z panem spotkać? — spytała głosem, który sama ledwo mogła poznać. — Czy była pana przyjaciółką?

Broderick zbliżył się nieco.

— To nie pani sprawa. Listy i zdjęcia, proszę...

Katherine zerknęła na inne koperty. Jej serce zabiło szybciej, gdy zobaczyła niektóre adresy. Usiłując powstrzymać głos od drżenia, mówiła: — Ma pan sporo znajomych za granicą... panie Broderick.

Broderick rzucił się zniechęca i przewrócił dzielący ich fotel.

— Proszę... oddać... mi... te... listy!

Stał pośrodku pokoju z palcami wygiętymi jak szpony.

— Oddam, ale inspektorowi Fordowi i nikomu poza nim — orzekła Katherine.

Broderick podszedł bliżej. Starając się przewidzieć jego następny ruch, Katherine czuła się jak mysz w obliczu wielkiego, drapieżnego kocura.

Jego głos przybrał miękki i trudny do opisanego złośliwy ton:

— Panno Walters, ostrzegam. Jeśli nie zrobi pani tak, jak każę...

— To co pan robi, panie Broderick?

Broderick nie odpowiedział, lecz przysunął się jeszcze bliżej.

— Zabił pan Billie Reynolds, prawda? — powiedziała Katherine spokojnie.

— Chcę dostać te listy — naciskał Broderick.

— Zabił pan Billie Reynolds, prawda? — powtórzyła Katherine z wyczuwalnym napięciem w głosie.

Broderick stracił resztki opanowania.

— Tak, zabiłem! — wykrzyczał. — Zabiłem tę sukę! Zaczęła za dawać pytania... różne pytania. Sama się o to prosiła.

Katherine wpatrywała się w Brodericka wielkimi oczami. Zdjął swój niebieski szal i zbliżał się do niej powoli, acz nieubłaganie, oplatając szal wokół palców.

— No, panno Walters — mówił znowu głosem miękkim i przekonującym. — Proszę nie robić głupstw. Nikt nie widział tych listów i fotografii prócz pani i Mersona. Z pewnością najmądrzej byłoby...

Wciąż zbliżał się do niej po te listy. Katherine obiema dłońmi trzymała się stołu, jakby próbowała dzięki temu zapanować nad strachem. Gdy znalazł się już niemal na wyciągnięcie ręki, dokonała nagle ogromnego wysiłku i uniosła ciężki stół tak, że zakotłosał się na dwóch nogach, po czym pchnęła go na Brodericka, a ten musiał błyskawicz-

nie odskoczyć, by nie zostać przygniecionym. W kilku szybkich krokach znalazła się przy drzwiach na korytarz i zgasiła światło.

Wiedząc, że znalezienie kontaktu to tylko kwestia sekund, Katherine zbliżyła się szybko do okna balkonowego i schowała się za ciężkimi zasłonami. Słyszała, jak Broderick wpada na meble i miota przekleństwa głosem, który w ciemności brzmiał tym bardziej przerażająco. Usłyszała pstryknięcie i rozbłysło światło.

Broderick stał przy drzwiach i rozglądał się po pokoju. Wiedział, że dziewczyna wciąż tam musi być, bo nie słyszał, by uciekła na korytarz. Zauważył klucz tkwiący w zamku od strony pokoju i przekręcił go ostrożnie. Potem przeszedł w stronę gabinetu doktora i stał przez moment niezdecydowany. Upewnił się, że Katherine nie chowa się za kanapą, i niemal równocześnie jego uwagę przykuł ruch zasłon. Przez kilka sekund stał nieruchomo, po czym wyciągnął rękę i pociągnął gwałtownie za kotarę.

Mężczyzna tkwiący tam z rękami na biodrach stał w takim bezruchu, że równie dobrze mógł być woskową figurą.

— Henderson! — wysapał Broderick. — Co pan tu, u diabła, robi?

Henderson patrzył na niego przez dłuższą chwilę, zanim odpowiedział i opuścił ręce wzdłuż boków. Broderick cofnął się o krok.

— Ponieważ zdawało mi się, że czegoś pan nie rozumie, sierżancie, pomyślałem, że co nieco panu wyjaśnię...

— Na przykład co?

— Po pierwsze, uważa pan, że tę fotografię i listy widział tylko Ralph Merson i panna Walters. Otóż widziało je znacznie więcej osób, przy czym Merson do nich nie należy.

— Niech pan nie będzie głupcem! — odparował Broderick, który wyraźnie odzyskał już część dawnego tupetu. — Merson zabrał je wczoraj wieczorem z mojego pokoju.

Henderson pokręcił głową.

— Rozumiem, iż mógł pan odnieść takie wrażenie, aczkolwiek jest ono błędne, sierżancie. Całkowicie mylne. Sam włamał się pan do Mersona, żeby odzyskać listy, ale ich pan nie znalazł, bo nigdy ich tam nie było. To nie Merson je ukradł.

— Mówię panu, że tak! — odparł rozzłoszczony Broderick. — Znalazłem chusteczkę z jego monogramem.

— No właśnie — rzekł tajemniczo Henderson. — Znalazł pan chusteczkę, tak jak oczekiwaliśmy.

Broderick próbował złapać oddech.

— To znaczy, że chusteczka została podrzuciona? Mój Boże! Co to jest? Jakaś pułapka?

Wycofał się na środek pokoju i oparł o przewrócony stół.

— Ta historia z Mersonem... z wypadkiem... jest wymyślona?

— Być może.

Henderson dostrzegł, że Broderick zerka w stronę drzwi do gabinetu. Nim jednak zdążył wykonać jakikolwiek ruch, drzwi otworzyły się i stanął w nich inspektor Ford. Wyglądał na zasmuconego. Zdrada policjanta wydała mu się grzechem śmiertelnym.

— Wygląda na to, że to koniec, Broderick — rzekł cicho.

Broderick nie odpowiedział. Zamiast tego podniósł do ust lewą rękę, zanurzoną wcześniej w kieszeń płaszcza, i wszyscy zobaczyli, że między palcem wskazującym i kciukiem trzyma białą kapsułkę. Henderson rzucił się do przodu, by złapać go za ramię, ale było za późno. Broderick zatoczył się i opadł na kanapę.

— Zawołajcie szybko doktora Sheldona — polecił Henderson.

Ford podbiegł do otwartych drzwi balkonowych. Gdy tylko znalazł się na zewnątrz, Broderick nagle zerwał się na nogi, odepchnął na bok Hendersona i pognał w stronę gabinetu. Henderson już go chwycił, kiedy Broderick zamachnął się mocno kolanem i jego przeciwnik upadł, na chwilę pozbawiony tchu.

Gdy otworzył oczy, zobaczył, jak Broderick zatrząskuje drzwiami od gabinetu i usłyszał przekręcany w zamku klucz. Ze sporym wysiłkiem poruszył się i spróbował otworzyć te drzwi. Za oknem mignęła mu sylwetka Forda. Kilka sekund później usłyszał brzęk tłuczonego w gabinecie szkła i odgłos szarpaniny. Potem nastąpiła cisza, która zdawała się trwać całe minuty.

W końcu przez balkonowe drzwi wrócił Ford.

— Wszystko w porządku — zapewnił go z uśmiechem. — Chłopcy na zewnątrz złapali go, gdy wyskakiwał przez okno.

Popatrzył na Hendersona, który wciąż usiłował złapać oddech.

— Nic panu nie jest?

Henderson pokręcił głową; podszedł do drzwi prowadzących na korytarz i otworzył je. Wraz z doktorem Sheldonem do pokoju

powróciła Katherine. Od razu też zauważyła, że Hendersona coś boli, i bardzo chciała się dowiedzieć, co tu zaszło. Zapewnił ją, że za minutę lub dwie nic mu już nie będzie.

Ford pomógł im przywrócić do porządku pokój, po czym powiedział: — Dziękujemy za współpracę, doktorze. Pani również, panno Walters. To najbardziej zagmatwana sprawa, z jaką miałem do czynienia.

— Proszę mnie więcej o nic takiego nie prosić! — stanowczo za protestowała Katherine.

— Niech się pani nie obawia, nie będziemy.

Inspektor zawahał się i zwrócił się do doktora Sheldon:

— Chyba powinien pan zajrzeć do gabinetu. Broderick, zdaje się, roztrzaskał okno... rzecz jasna, pokryjemy wszystkie straty.

— Niewielki to koszt — uśmiechnął się Henderson, gdy doktor wyszedł oszacować straty.

Katherine, która wciąż przyglądała mu się z troską, poszła przygotować drinka. Ford nie miał ochoty na nic do picia i powiedział, że musi wracać na komisariat.

— Chciałbym, żebyście oboje przyszli tam i podpisali oświadczenie — dodał. — Mogę zawieźć was teraz?

Henderson najpierw popatrzył na Katherine, po czym odpowiedział: — Chyba wolelibyśmy pójść pieszo, jeśli to panu nie przeszkadza. Zjawimy się za dwadzieścia minut.

— W porządku — zgodził się Ford. — Prawdę mówiąc, da mi to czas na uporządkowanie paru spraw.

Po wyjściu inspektora odezwał się Henderson:

— Naprawdę uważam, że powinnaś się napić po całym tym przejściu. Pewnie jesteś roztrzęsiona.

— Jestem bardziej twarda, niż ci się wydaje — odparła Katherine.

— Bałaś się? — spytał Henderson, sącząc już whisky.

— Szczerze mówiąc, byłam przerażona. Zwłaszcza gdy za zasłoną zobaczył cię. Mógł cię zabić.

— W tej akurat chwili czułem wyłącznie ulgę, że ty jesteś bezpieczna na zewnątrz.

Spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się.

Henderson dopił whisky, a Katherine wyszła powiedzieć stryjowi, że idą na komisariat.

Dziesięć minut później przystanęli na chwilę na starym moście, by popatrzeć na odbijające się w rzece światła.

— Tam stoi łódź, na której widziałam cię po raz pierwszy... — Katherine pokazała ciemny zarys tonącej w mroku bario.

Ręka Hendersona zamknęła się na jej dłoni na kamiennej balustradzie.

— O czym myślisz? — spytała.

— To zabawne... o motcie rodziny Rocello.

— Jakim to?

— No cóż, jest wielce adekwatne. *Suaviter in modo...*

— W sposobie łagodny — rzekła spokojnie, zaciskając rękę pod jego dłonią.

— Lecz mocny w rzeczy — dokończył Henderson i delikatnie, lecz zdecydowanie przyciągnął jej twarz ku swojej.